

L A U R A
Adori

O czymkolwiek marzysz, zajmuj się tym teraz

*Żywioły
Lukrecji*

L I R A
WYDAWNICTWO

L A U R A
Adori

Żywioty
Lukrecji

L i R A
WYDAWNICTWO

ROZDZIAŁ 1

Jeśli nie wiesz, od czego zacząć, zacznij od siebie

Żegnaj, niewiniątko! Przyczyniłaś kobiecej niedoli — czas cię uśmiercić. Czy istnieje coś gorszego niż nieświadomy przymus, by pozostać na zawsze grzeczną dziewczynką? Niektóre z nas cierpią na ten syndrom do końca życia, nie pozwalając sobie na dorosłość. Na bycie kobietą, która nawet jeśli zazwyczaj jest słodsza od karmelu, czasem zamienia się w rozwścieczone zwierzę i wie, że jej wolno. Że to normalne w dżungli codzienności. Po prostu — czasem się zdarza. Natomiast bycie niewiniątkiem, tą wiecznie miłą, to więzienie. Niezdolność do odczuwania życia wszystkimi zmysłami. Kto jak kto, ale ja wiem o tym najlepiej i nie zawahałabym się użyć swojej bynajmniej nie niewinnej wściekłości... gdyby tylko Konstanty wreszcie się tu zjawił.

Ale niestety. Nic nie jest takie, jakie miało być. Wrześniowe słońce zaczęło się już osuwać za horyzont. Dochodziło dwadzieścia pięć po ósmej, a jego nadal nie było. Niestabilny stolik kawiarni chybotął się za każdym razem, gdy wykonywałam najmniejszy ruch, a kelner, zupełnie jakbym była niewidzialna, błędził wzrokiem po wszystkich twarzach, tylko nie dostrzegał mojej. A ściślej mojego wzroku, którym błagalnie za nim wodziłam. Czułam się jak ofiara męskiej zmywy. Byłam gotowa wyłączyć komórkę, by stać się niedostępną, a potem wyjść stąd i zza przeciwnych filarów obserwować, jak podenerwowany Konstanty wpadnie tu zdyszany i nie mogąc mnie znaleźć, zacznie bezskutecznie za mną wydzwaniać. Już prawie poczułam słodki smak zemsty i zaczęłam się nią rozkoszować, kiedy zabręczała moja komórka. Chwyciłam za telefon i jednym tchem chciałam wykrzyknąć Konstantemu, co sądzę o jego dzentelmeństwie.

— *Ciao, bella* — dobiegł mnie ożywiony głos Claudynki. — Nie wyobrażasz sobie, co się stało — dodała jednym ze swoich bardziej sensacyjnych tonów.

— Napotkana na Marszałkowskiej cyganka przepowiedziała ci, że twoja przyjaciółka urodzi dziesięciokilogramowe trojaczki — zaproponowałam grobowym tonem.

— Lukrusiu, czyżbyś czytała kronikę kuriozów? — Zaśmiała się Claudynka.

— Nie, po prostu mam ważące kilkadziesiąt kilogramów myśli i złe przeczucia — odpowiedziałam, machając rozpaczliwie ręką w kierunku kelnera.

— Kochana, musisz się zrelaksować, na początku ciąży wahania nastrojów to zupełnie normalne następstwo burzy hormonalnej. Najważniejsza jest akceptacja tego stanu.

— Konia z rzędem temu, kto mi w tym dopomoże — ironizowałam.

— Zrobię to dla ciebie, *bella*, bo w przeciwnym razie twoja nerwowość może zainfekować mózg maleństwa, a wtedy...

— O nie! Błagam, tylko mnie nie strasz! — przerwałam categorycznym tonem. — Już i tak jako seniorka rozplodowa, kiedy myślę o zestawie czekających mnie badań i zagrożeń, chce mi się wyć — jęknęłam, wstając z krzesła.

Nie byłam pewna, czy bardziej mnie irytuje przekrzykiwanie siedzących przy stolikach ludzi, czy to, że obsługa nie widzi, że siedzę tu samotna jak kolek. Do tego kolek w początkowej fazie ciąży, której może i nie widać, ale jakże wyraźnie ją czuć.

— No, *darling*, chyba rzeczywiście macie dziś sztorm hormonalny. W Chicago jakaś sześćdziesięcioletka właśnie urodziła dziecko swojej córce, a ty mi tu wyjeżdżasz z seniorką

rozplodową? — Roześmiała się Claudynka.

— W Chicago to sobie mogą, wiesz co — odburknęłam. — Zaraz, jak to córce? — zapytałam półprzymtomnie, wychodząc na zastawiony samochodami chodnik wzdłuż ulicy Mokotowskiej.

— Normalnie, córka ronila kolejne ciężę, bo miała jakiś problem z macicą, więc pobrali od niej jajeczko, zrobili zapłodnienie *in vitro* i wszczepili zarodek jej matce, no a ta miała macicę w porządku. Po trzydziestu dziewięciu tygodniach urodziła zdrowego chłopczyka, czyli swojego wnuka — wyjaśniła rzeczowo Claudynka.

— Madonno — pisnęłam z wrażenia, jednocześnie truchlejąc na samą myśl, że moja własna matka miałaby urodzić moje dziecko. — Dobrze, że przynajmniej macica, jak na razie, mi działa — wymamrotałam pod nosem.

— A co nie działa? — zapytała rzeczowo Claudynka. — Bo ja tu właśnie dzwonię zakomunikować, że wszystko działa. Znaleźliśmy boskie miejsce na nasz ośrodek, w którym będziesz prowadzić warsztaty zdrowej kuchni.

— Ech, chociaż ty jesteś niezawodna — powiedziałam lżejszym tonem.

— Dawaj! Co się stało?

— Słuchaj, chyba muszę pogadać z Konstantym — wymamrotałam.

— Tylko nie mów, że trwa wojna o imię albo że chcesz, by dziecko nosiło twoje nazwisko. Ta feministyczna moda jest nie do zniesienia. — Podekscytowała się Claudynka. — Właśnie Jeremi mi opowiadał o swojej znajomej, która...

— Claudynko, odkąd Konstanty dowiedział się, że jestem w ciąży, cały czas jest jakiś nieprzytomny, spóźnia się, o wszystkim zapomina... — Zawiesiłam na chwilę głos, by złapać głębszy oddech. — Myślisz, że on się wystraszył i planuje ucieczkę? — wydusiłam wreszcie.

Był piękny jesienny wieczór. Liście, mocno jeszcze trzymające się konarów drzew, mieniły się pierwszymi zażółceniami. Niebo łagodnie ciemniało, obiecując słoneczny dzień nazajutrz, a ja, zamiast spacerować u boku ukochanego alejami parku i omawiać z nim kolory ścian w dziecięcym pokoju, nie miałam pojęcia nie tylko, gdzie będzie ten pokój, ale co gorsza — nie wiedziałam nawet, gdzie podziewa się ojciec mojego dziecka, który jeszcze do niedawna szczycił się swoją punktualnością.

— Lukrusiu — powiedziała łagodnie Claudynka po chwili milczenia. — Prawdziwa kobieta rozumie moc swoich hormonów, ale nie wyciąga życiowych wniosków na skutek ich wzmożonego działania.

— Co masz na myśli? — Zaniepokoiliam się.

— Po prostu przestań snuć katastroficzne wizje.

— A co mam snuć, skoro go nie ma?

— To normalne, że Konstanty musi przejść teraz coś na kształt przebudzenia.

— Sugerujesz, że zaszywa się gdzieś pod drzewem, zamyka oczy i siedzi w bezruchu, świadom swojego uśpienia, czekając na oświecenie w temacie, jaką to obrać wizję ojcorzyństwa? — zakpiłam, próbując sama siebie rozbawić tą koncepcją.

— Po prostu przestawia się na tryb kooperacji i nową wizję waszego wspólnego życia. Może i jest więc trochę zamyślony, ale to normalne — wyjaśniła mi moja praktyczna przyjaciółka, akcentując ostatnie słowo.

— To w ogóle nie jest normalne. — Westchnęłam. — Czekam na niego od pół godziny. Muszę z nim porozmawiać. Czy odpowiedzialny facet w takiej chwili nie pojmuje, że kobieta w ciąży może czuć się porzucona?! — krzyknęłam.

— Lukrusiu, spróbuj głębiej oddychać. Rozumiem, że źle się czujesz, że potrzebujesz teraz więcej bliskości i te rzeczy, ale w żadnym wypadku z nim o tym nie rozmawiaj.

— Dlaczego?

— Przecież dobrze wiesz, że mężczyźni absolutnie nie reagują na słowa. Nieraz to analizowaliśmy.

— Najgorsze, że na nic nie reagują — jęknęłam, bo trudno było nie przyznać racji Claudynce.

— O, nieprawda — zaprotestowała. — Reagują na brak kontaktu.

— To co ja mam robić?!

— Jedyne, co możesz zrobić, to być nieobecna tam, gdzie zawsze byłaś. Tylko to zdoła zauważyć — powiedziała Claudynka swoim rzeczowym tonem.

W takich chwilach jak ta była po prostu niezastąpiona. Umiała przywrócić człowieka do pionu. Zrobić szybką analizę sytuacji i co najważniejsze — zaproponować proste i konkretne wskazówki działania. Od razu rozprężyła mi się twarz, a zaciśnięta ze złości żuchwa uwolniła lekki uśmiech. Wzięłam głębszy oddech i wypuściłam powoli powietrze. A potem powtórzyłam to drugi raz i trzeci. Klatka piersiowa wysunęła się naprzód, ku życiu, ramiona lekko opadły. Poczulałam, jak niesamowite ciepło rozchodzi się w dole mojego podbrzusza, zupełnie jakby ta mała istotka zaczęła tam nagle skakać niczym maciupęńka piłeczka, wprawiając w ruch wszystkie moje pozlepiane ze sobą tkanki i budząc je z uśpienia.

Żadnych kłótni z rzeczywistością! — pomyślałam, gładząc się delikatnie po brzuchu, kiedy skończyłam rozmowę z Claudynką. Wystarczy rozpałić ogień i płonąć. Utrzymywać stałą temperaturę wewnętrznego ciepła, które ogrzewa nas od środka, niezależnie od zewnętrznych podmuchów wiatru i słów innych ludzi. Tylko tyle. Wyłączyłam komórkę i poszłam na spacer do Łazienek. Może Konstanty naprawdę przestawia się na nowe tory i planuje, jak zredukować za kilka miesięcy liczbę godzin przeznaczonych na sesje z klientami, by spędzać czas z naszym dzieckiem? Chodzić na wspólne spacer, być świadkiem tych wszystkich pierwszych razów, pierwszego siadania, pierwszych rosnących ząbków, pierwszych artykułowanych dźwięków, które przekształcają się w słowa. Na samą myśl wypełniło mnie błogie ciepło. Ojcowska miłość to niesamowita siła, dzięki której dziecko osadza się w sobie, czuje swoje granice i potem potrafi ich strzec. Umie wychodzić do świata, by działać, zdobywać, odważnie iść naprzód, podążać za swoim sukcesem, stawiać czoła trudnościom, dokańczać rozpoczęte zadania. Ma rozmach, by marzyć.

Myślałam o tym wszystkim, co będzie szczęściem naszego dziecka, a czego tak bardzo brakowało mnie. O cechach płynących z tego, co męskie, których z braku ojca sama musiałam się nauczyć wiele lat po tym, jak opuściłam schron dzieciństwa i zaczęłam sobie uświadamiać, że ceną za jego nieobecność jest to, że wybieram niedostępnych partnerów. Szłam bardzo wolno, przypatrując się drzewom, próbowałam wyobrazić sobie prędkość ich wzrostu. O ile milimetrów wyciągną się ku górze do chwili, kiedy na świat przyjdzie ta mała istota? Zapach lekko wilgotnej ziemi mieszał się z przyniesioną raz po raz przez podmuch wiatru zawieszoną perfum mijanych przechodniów. Wciąż jeszcze nie mogłam w to wszystko uwierzyć. Od czasu, kiedy porzuciłam moje korporacyjne życie w Mediolanie i towarzyszącą mu udrękę, nie minął nawet rok. A ja wyrzuciłam swój los do góry nogami. Zdażyłam już na dobre osiedlić się w Warszawie, wymyślić nowy sposób na życie, zacząć zarabiać na tym, co naprawdę sprawia mi przyjemność, stając się uznaną ekspertką kulinarną. I jakby tego było mało, znalazłam to, czego zawsze szukałam — mężczyznę mojego życia, z którym w niespełna cztery miesiące po pierwszym spotkaniu zaszłam w ciążę, mimo swoich czterdziestu lat. Podniosłam do góry ręce i rozpostarłam je w powietrzu jak wielki ptak, szykujący się do lotu.

— To wszystko wygląda jak sen — powiedziałam sama do siebie, na głos, rozglądając się wokół.

A może raczej wyglądałoby... Gdybym jeszcze tylko potrafiła sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy przyjdzie na świat nasze dziecko. Konstanty nawet nie wspomina o mojej przeprowadzce do niego. Tym bardziej trudno mi uwierzyć, że wprowadzi się do mojego małego mieszkanca, które wynajmuję od dość nieprzewidywalnego znajomego Wery, nie mając nawet gwarancji, jak długo mogę w nim zostać. A do tego zbliża się czas badań prenatalnych i związana z nimi nerwówka. Na samą myśl zrobiło mi się gorąco. Może powinnam ustalić konkretny plan, a potem przedstawić go Konstantemu? A co, jeśli poczuje się zbyt przyściśnięty do ściany i zacznie szukać ucieczkowych rozwiązań? Jak torpeda wystrzeliło mi przed oczami wspomnienie mojej mediolańskiej przyjaciółki, która wbrew swojemu chłopakowi zaszła w ciążę metodą podmiany pigułek antykoncepcyjnych na tabletki kwasu foliowego, które dzień w dzień zażywała. A kiedy obwieściła mu triumfalnie, że to dziecko to ich przeznaczenie, skoro pcha się na świat pomimo antykoncepcji, on niestety odkrył, że jego przeznaczeniem jest wspinaczka wysokogórska, i ruszył czym prędzej w Andy, gdzie po kilku tygodniach los pchnął go w ramiona jakiejś alpinistki i ślad po nich zaginął.

No cóż, jak mawiała moja ukochana ciotka Aurelia: *Kobieta jest mądrzejsza od mężczyzny, ale tylko wtedy czerpie z tego profity, gdy ukryje przed nim ten fakt.* Niewykluczone, że przeprowadzka z Mediolanu do Warszawy i radykalna zmiana życia to pikuś w porównaniu z wyzwaniem, jakim wydaje się omówienie tematu wspólnego mieszkania z Konstantym. Usiadłam na ławce i zaczęłam obserwować pluskające się w stawie kaczki. Przynajmniej one nie musiały się zastanawiać, gdzie się szwendają ich samce. Rzucałam kamyczki w ciemnoniebieską taflę, wpatrując się w powstające wokół kręgi. Chciałam poświęcić się chwili relaksującej medytacji, ale uznałam, że może lepiej poczytać komentarze na blogu. Nic nie daje większej motywacji do działania niż uczucie, że to, co robisz, zupełnie jak kamyczek rzucony z właściwym rozmachem, zatacza coraz szersze kręgi. Włączyłam telefon.

Niestety. Konstanty nawet nie wysłał mi SMS-a. Tylko po to, by przezwyciężyć przemożną chęć wykrzyknięcia mu tego, że prawdopodobnie będzie najgorszym ojcem świata, weszłam na moją ulubioną stronę z I-Chingiem, pokładając nadzieję w wyroczni. Czy mam wierzyć, że jest tak, jak mówi Claudynka — że on tylko się przysposabia do nowej roli? Wylosowałam heksagram. Wypadł numer 49: Rewolucja. Poczułam skurcz w żołądku. Różnych rzeczy możesz pragnąć w chwili takiej jak ta, ale — na litość boską — nie rewolucji! *Jeziro na górze. Ogień na dole.* Podpis donosił, że przede mną radykalna zmiana, która odmieni całe moje życie. Nie oglądaj się za siebie, bądź wierny swojej wizji przyszłości... Świetnie. Tylko jak wdrażać wizję udanej rodziny, gdy nie masz pojęcia, co planuje i gdzie się podziewa jej męski element?

— Ludzie nie rozumieją ptaków — usłyszałam głos z boku.

Nawet nie zauważyłam, kiedy wyrosła obok mnie ta staruszka. Drobniutka, niewysoka, z tak pomarszczoną twarzą, że mogłaby mieć z dziewięćdziesiąt lat, ale w jej oczach było tyle życia, a w wyprostowanej postawie tyle śmiałości, że trudno było określić, w jakim naprawdę jest wieku. Patrząc na nią, mimowolnie się uśmiechnęłam.

— Gdybyśmy nie rozumieli tylko ptaków... — Westchnęłam. — Przecież my nawet siebie nawzajem nie pojmujemy.

— O, wprost przeciwnie, siebie nawzajem rozumiemy. — Zaśmiała się starsza pani.

— Na pewno nie dotyczy to relacji damsko-męskich.

— Wszystko zawsze zaczyna się od nas. Bywamy zbyt zajęci szukaniem dla siebie samych głasków, by dawać je innym — powiedziała kobieta, wpatrując się w kaczki.

— Ale co mają do tego ptaki?

— Do ptaków niektórzy ludzie mają stosunek zupełnie taki jak do urzędzeń. Sypią im okruchy, żeby patrzeć, jak one, niczym na komendę, zaczną je dziobać. A chleb tylko im szkodzi.

— Może samotni ludzie przez to dzielenie się bułką mają poczucie budowania jakiejś wspólnoty? — powiedziałam bez przekonania.

Chciałam nawet się przyznać, że sama nieraz karmiłam ptactwo w Łazienkach, ale akurat zadzwieczał sygnał SMS-a. Chwyciłam raptownie za torebkę i z nadzieją wyciągnęłam z niej telefon. Jedyne, co na mnie czekało, to przypomnienie o zbliżającej się płatności. Zrobiło mi się chłodno. Minęła już ponad godzina, a Konstanty się nie odezwał. Musiało się coś stać. Może spóźnił się jakiś klient i przeciągnęła mu się sesja? A może zderzył się czołowo z rozpędzonym wozem straży pożarnej? Oblała mnie fala gorąca. Chwyciłam za gazetę, żeby się powachlować, i przypomniałam sobie o staruszce. Przyglądała mi się czujnym wzrokiem.

— Spójrz na ten staw — powiedziała do mnie łagodnym głosem. — Jeśli będziesz spokojna jak lustro wody, to męska energia sama do ciebie przyplynie.

— Spokój to za mało, trzeba działać. — Westchnęłam.

— Nie zawsze. To zupełnie jak ze zwierzętami, które intuicyjnie idą do wodopoju, żeby się z niego napić energii życia, by poczuć przy źródle harmonię.

— Łatwo pani mówić, muszę chyba tej męskiej energii zmienić kompas, bo coś mi się wydaje, że od godziny błądzi w niewłaściwym rewirze — próbowałam zażartować, zdumiona przenikliwością nieznaną.

— Nie możesz w mężczyźnie niczego zmienić. Mężczyzna zmienia się tylko sam z siebie. Zdarza się to jedynie w dwóch przypadkach — powiedziała rzeczowo tajemnicza staruszka. — Kiedy poniesie życiową klęskę albo kiedy naprawdę kogoś pokocha i nie będzie chciał go stracić.

— Ho ho... To skoro mój supermen pod wpływem miłości akurat zmienia się na gorsze i nie obawia się ewentualnej straty, to chyba pozostało mi czekać na klęskę, żeby wreszcie poczuł, że go potrzebuję? — Roześmiałam się.

— Lepiej, żeby czuł, że jesteś z nim z wyboru, a nie dlatego, że go potrzebujesz. Tylko wtedy fala będzie płynąć — powiedziała staruszka, wskazując na parę ptaków szybujących obok siebie po niebie. — Zamknij oczy i wyobraź sobie, że masz dla siebie całe przestworza. Że rozpościerasz skrzydła, wzbijasz się nad ziemię i fruniesz. A on jest tuż obok. Nie musisz się odwracać, czujesz, że on tam jest. Że szybuje z tą samą prędkością. Po prostu fruniesz, patrząc przed siebie. Coraz dalej i dalej...

Kiedy otworzyłam oczy, na ławce było pusto. Rozejrzałam się wokół, ale poza parą nastolatków po drugiej stronie stawu nie dostrzegłam żywej duszy. Nie byłam pewna, czy ta tajemnicza wróżka naprawdę jeszcze przed chwilą tu siedziała, czy była tylko częścią mojego snu. Może nie miało to aż takiego znaczenia. Czulałam się lżejsza. Przypomniałam sobie starą maksymę jakiegoś poety: *Bądź sobą, bo wszyscy inni są już zajęci*. Roześmiałam się na głos i ruszyłam w stronę domu, z czułością zerkając na kasztanowiec, z którego powoli opadały pierwsze nasiona. Te jadalne już za moment będą święcić chwile swojego triumfu w brytfance, do której wystarczy wlać na dno trochę wody. Lekko ponacinane, wypuszczą aromatyczne soki, przywodząc przez nozdrza paryskie obrazki, a podniebieniu dostarczając przyjemnych wrażeń.

Tymczasem albo pod wpływem odcienia szala, który zarzuciłam na ramiona, albo z głodu słońca zapragnęłam ulec innej jesiennej pokusie. Z pozorów niewyraźny smak owoców kaskazuje je na przeoczenie przez słodkolubnych smakoszy. Dla mnie sama radość wbijania zębów w ich miąższ jest już dostatecznym powodem, by podreptać po nie do odległego od domu supersamu. To jedyne miejsce w okolicy, gdzie można znaleźć mięsiste owoce, które zdążyły dojrzeć, a jeszcze nie zaczęły się rozpadać. W tej właśnie formie ujawniają swoją

najprawdziwszą słodycz. Już czułam ten smak. Sałata radicchio, czerwone winogrona, orzeszki piniowe, świeża kolendra i owoce kaki. Wszystko w delikatnym sosie z oliwy z oliwek zmieszanej ze świeżo zmielonym pieprzem, solą himalajską, sokiem wyciśniętym z cytryny, posypane czarnym sezamem.

Smaki wprawiły w ruch wyobraźnię, ale nie uwolniły mnie od natarczywych pytań. Zanim doszłam do sklepu, jednak się zламаłam i zadzwoniłam do Konstantego. Raz, drugi, nic. Telefon milczał jak zaklęty. Próbowałam liczyć oddechy, żeby znów się nie zirytować. Jeśli będziesz spokojna jak lustro wody, to męska energia sama do ciebie przyplynie — powtórzyłam słowa tajemniczej staruszki. Energia życia jest przy źródle. Energia życia jest we mnie... Energia... Energia... Tylko jak się podpiąć do tego zasilania?

Na szczęście w supersamie nie było tłoku. Ale nie było również owoców kaki. Zrekompensowałam je sobie dwoma dojrzałymi granatami. W końcu, czy istnieje piękniejszy symbol płodności niż granat ze swoją niezliczoną ilością pestek przypominających małe jajeczka? Kupiłam jeszcze cytrusy, natkę i jarmuż na koktajle. Do tego kilka malinowych pomidorów i mogłam ruszać spokojnym krokiem w kierunku domu, delektując się podmuchami ciepłego wiatru.

— Piękny szal.

— Dziękuję! — rzuciłam pogodnie w stronę głosu, który dobiegał gdzieś z boku.

— Jest pani barwniejsza niż cała ta jesień dookoła — kontynuował nieznamy brunet w świetnie skrojonej marynarce, zatrzymując się w pół kroku.

— Bo to będzie najbarwniejsza jesień tego stulecia. — Uśmiechnęłam się, zerkając kokieteryjnie w jego stronę.

Najwyraźniej moc spokoju zaczęła już kierować energię męską w stronę mojego źródła — pomyślałam z zadowoleniem. Może rzeczywiście to, co jest wokół, to manifestacja naszych myśli? Tylko że te myśli wymagają nieustannego detoksu. I nie bardzo wiadomo, jak utrzymać je w harmonii. Zapragnęłam usłyszeć Werę, ale jej telefon, podobnie jak Konstantego, milczał.

W domu czekał na mnie Dolcevito. Ponacinałam pomidory, delektując się ich słodkawym aromatem, posypałam je solą, pieprzem, odrobiną oregano, papryczki i czosnku, polałam oliwą, na koniec dodałam kwiat mojego sekretu, czyli troszkę startej skórki z pomarańczy i cytryny, i wstawiłam całość do rozgrzanego piekarnika. Mając przed sobą wolną godzinę, zabrałam wierzącego się już z błagalnym spojrzeniem buldożka na krótki spacer. Wera przysłała dziwny SMS, że oddzwoni dopiero jutro, ale żebym niczym się dziś nie martwiła. Czyżby Claudynka już zdążyła jej streścić naszą rozmowę? To się nazywa solidarność jajników, uśmiechnęłam się sama do siebie. Przyjaźń — przynajmniej ta część mojego życia była zupełnie wolna od niepokojów. Jak całodobowa elektrownia, która wciąż wysyła ci doładowanie. Wysłałam do Konstantego SMS. Bez słów, tylko dwa znaki zapytania.

Po wyjściu spod prysznicę spojrzałam na telefon. Żadnych oznak życia. A jeśli on kogoś poznał? Podobno czas ciąży partnerki to okres najwyższej podatności na zdradę. Zanurkowałam do internetu. Statystyki dowodzą, że najgorszy jest okres pierwszego i trzeciego trymestru. Najczęściej zdradzają mężczyźni typu Z — supermeni w stylu golfisty Tigera Woodsa. Tylko typ Y (najrzadziej występujący) pożąda kobietę w ciąży jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Typ X w czasie oczekiwania na dziecko odnotowuje ogólny spadek libido, co znacznie redukuje ryzyko zdrady. Tylko skąd mam wiedzieć, jakie są szanse, że Konstanty reprezentuje typ Y lub

X?

Znająca się na wszystkim Claudynka miała zajęty numer telefonu. Żeby ochłonąć, włączyłam medytację światła i wsunęłam się pod kołdrę. Jedyna szansa, by choć trochę uspokoić emocje przed snem. Ledwie przyjąłam pozycję zrelaksowaną i poczułam, jak rozprężają się moje barki, jak rozluźniają się pośladki, uda i łydki, zadzwonił dzwonek do drzwi.

Było po dwudziestej trzeciej. Na wycieracze stał potargany Konstanty. Miał wymiętą koszulę i bukiet lekko sfatygowanych lewkonii w ręku.

— Kochanie, przepraszam, nie miałem jak cię zawiadomić — wydusił.

— O czym? — szepnęłam prawie niesłyszalnym tonem.

— Zostawiłem telefon w hotelu w Józefowie.

— W jakim hotelu?

— Tam, gdzie prowadziłem szkolenie.

— Nie mogłeś przyjechać bez telefonu?

— Przyjechałem.

— Ale dokąd?

— Pędziłem na oślep do Warszawy. Lenka wpakowała się rowerem pod jakieś auto. Właśnie wracam ze szpitala. Czekałem na wynik badań, na szczęście jest tylko lekko poobijana, nie ma wstrząśnienia mózgu ani żadnych wewnętrznych obrażeń, więc...

— Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie z komórki Lenki, żeby mi o tym powiedzieć? — zapytałam z wyrzutem.

— Wybacz, Lukrusiu — zawiesił głos. — Po prostu na to nie wpadłem.

— Nie pomyślałeś o tym, że ja odchodzę od zmysłów, że się martwię? Że jestem w ciąży, więc nie mogę się denerwować?! — wykrzyczałam jednym tchem.

— Uspokój się, kochanie — powiedział ciepłym tonem Konstanty, odgarniając mi włosy z twarzy.

— Jak mam się uspokoić?

— Przecież już jestem, nic się nie stało.

— Czy ty nie rozumiesz, że ja czuję teraz wszystko podwójnie? — szepnęłam przez łzy.

— Rozumiem, wszystko rozumiem... Chodź, położę cię do łóżka — odparł Konstanty, obejmując mnie ramieniem.

Zakręciło mi się w głowie. Może z emocji, a może od intensywności zapachów, mieszanki jego perfum, potu i upieczonych w ziołach pomidorów. Gdzieś, jakby z oddali, odbite echem od wnętrza ciała dopływały do mnie urywane słowa. Pozwól się kochać... uspij to, przez co byłaś nieszczęśliwa w związkach... im więcej będzie w tobie spokoju, tym więcej popłynie energii miłości... energia podąża za uwagą... uwaga przyciąga miłość... wdech... wydech... *uno... due... tre...* czekasz na to, co najważniejsze...

Moje ramiona otoczyły jak obręcz jego plecy. Ciało sklezione z ciałem zatraciło swoje granice. Złączeni w jedną bryłę przeturlaliśmy się przez łóżko. Wpisani we wspólny rytm, wypadkową naszych oddechów i uderzeń serc, kołysaliśmy się, raz przyspieszając, raz zwalniając, jakby napędzani jakąś zewnętrzną siłą, metronomem, który wystukiwał tajemne tempo naszej bliskości. Czułam się lekka, jakbym składała się tylko z tych najczulszych punktów ciała, które odbierały przepływające między nami wibracje. Płynęłam. Coraz szybciej, coraz dalej. Popychana przez lawę rozkoszy.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy tracisz to, co uwielbiasz, i dostajesz to, z czego możesz zrezygnować

Był blady świt, gdy poczułam przez sen głaszczącą mnie dłoń Konstantego, a zaraz potem zauważyłam, jak wysuwa się z łóżka, a wraz z nim znika otaczające mnie ciepło. Przez szybę balkonowych drzwi wdzierało się jesienne słońce, monstera rzuciła na ścianę intrygujące cienie, które przy każdym najmniejszym podmuchu wiatru przybierały inne kształty, przypominając tajemnicze żyjątka. Z łazienki dobiegał odgłos szumiącej wody. Po chwili zobaczyłam nachylonego nade mną Konstantego. Pocałował mnie pospiesznie w czoło i wybiegł, szepcząc:

— Śpij, kochanie, jest jeszcze wcześniej. Zadzwonię, jak tylko odzyskam telefon.

Kiedy przestanie tak wybiegać? — pomyślałam. Czy to się zmieni, gdy urodzi się nasze dziecko? Choć rzadko udawało się nam jeść razem śniadanie, już same odgłosy obecności Konstantego w te poranki, gdy budziliśmy się razem, dawały mi przyjemne ukojenie. Nawet nie wiem, kiedy zdążyłam tak do nich przywyknąć, że pobudka w pojedynkę zaczęła mi doskwierać.

Byłam jeszcze rozespana, ale już czułam nadciągające mdłości. Po kilku minutach leżenia w pozycji relaksującej na szczęście minęły. Wstałam powoli i podlałam rośliny, włożyłam do cotygodniowej kąpieli w misce moje oplątwy, namoczyłam obydwie orchidee w doniczkach. Zaczynały przekwitać, ale jedna z nich miała dwa nowe pączki. Zrobiłam sobie koktajl z jarmużu i puściłam Edytę Geppert.

Wierzę w niezmienność

Nadziei nadziei

W światelko na mierzei

Co drogę wskaże we mgle

Nie zdradzi mnie

Nie opuści mnie

A ja szepnę skrycie

Och życie, kocham cię, kocham cię

Kocham cię nad życie...

Usiadłam do odpisywania na maile. Odkąd wprowadziłam na blogu cykl *Zdrowa ciąża*, liczba wiadomości i komentarzy potroiła się. Mimo utyskiwań konserwatywnych polityków i wyników badań Głównego Urzędu Statystycznego miałam wrażenie, że żyję w kraju ogarniętym baby boomem. Liczba kobiet ciężarnych czytających mój blog zwiększała się w szalonym tempie. Najpiękniejsze było to, że pisało do mnie całe mnóstwo ciężarnych czterdziestolatek, które podobnie jak ja czuły, że pod wpływem hormonów ulegają reakcjom emocjonalnym zupełnie jak wtedy, gdy były nastolatkami. Dzięki nim szybko przestałam się dręczyć chwilami większych wahań nastrojów.

Dostałam kolejne zaproszenia do poprowadzenia zajęć kulinarnych. Za trzy dni miałam wziąć udział w następnym stopniu mojego warsztatu z ajurwedy, który dostałam w prezencie od dobrodusznego Jeremiego. Życie toczyło się właściwym rytmem. Gdybym tylko jeszcze potrafiła tak po prostu być za to wszystko wdzięczna, zamiast wpadać w panikę, gdy tylko Konstancy za długo milczy. Dlaczego czuję taki niepokój? Od rana kręcę się po domu, przestawiając rzeczy z kąta w kąt. Czy to pod wpływem tego mojego rozwibrowania Dolcevito też traci balans? Wydaje się jakiś dziwny. Dochodzi dziewiąta, a on nie kwapi się do spaceru. Normalnie o tej porze nie daje mi zrobić kroku, płacząc się pod moimi nogami.

Słońce jakby chciało spalić cały trapiący mnie lęk. Grzało resztką swoich sił, wydając dziś z siebie ostatnie tchnienie minionego lata. Było pięknie. Kolory liści nabierały intensywności. Przechodnie zwalniali kroku, chłonąc to światło, nabierali lekkości w ruchach, czułości w spojrzeniach. Kwiaty u straganiarek przy placu Zbawiciela mieniły się jaskrawiej niż w ostatnich dniach. Zatrzymałam się po lilie, ale ich duszny zapach wydał mi się nie do zniesienia. Kupiłam bukiet jaskrów — różowawych, pomarańczowych odcieni namiętności. Kwiaciarka przypomniała mi, że dziś pełnia. Aplikacja astrologiczna dodała, że to także pełnia na moim natalnym księżycu, czyli niebo dziś zaktywizuje moje uczucia. Może to być czas wielkich napięć — no, tego mi brakowało, pomyślałam, czytając opis. Po chwili wahania, czy brnąć w to dalej, poszłam jednak za ciosem...

Jeśli świadomie poprowadzę uwagę ku temu, co chcę pożegnać wraz z jesiennym przesileniem, zyskam idealny czas na uzdrowienie zranień i wzmocnienie relacji. Jeśli wewnętrznie czuję, że coś muszę pożegnać, czas to zrobić. Jeśli czuję nadciągające zmiany, najważniejsza jest głęboka uczciwość wobec siebie, wniknięcie w swoje motywacje i intencje, by samej zdecydować o zmianie, nie pozwolić okolicznościom na przejęcie nad sobą kontroli. Napady złości, wybuchy — jeśli nadpłyną — trzeba dać im przestrzeń, pozwolić sobie na wypuszczenie tych uczuć i obserwację wewnętrznych obrazów, które im towarzyszą. Mogę w tej pełni odkryć źródło swoich blokad i je uzdrowić. O, madonno! Zapowiadało się ostro. Miałam jednak dziwne uczucie, że bardziej niż jakieś dogłębne obserwacje stanów duszy uzdrowiłby mnie kawałek miazgi nasion oleistych maczanych w karmelu. Dotarłam na mokotowski bazar i poczułam, że niezle się spociałam. Zaczęłam od wody, potem przeszłam do bakaliowej chałwy i już nieco zbalansowana zajęłam się wybieraniem topinamburu na piątkowe warsztaty. Zdażyłam zapakować kilka dorodnych okazów, gdy zadzwonił telefon.

— Lukrusiu, doradź, bo odchodzę od zmysłów. Welon niesiony czy z opadem? — zaświergotała w słuchawkę moja matka.

— Gdzie opady? Jaki welon? — zapytałam zaszokowana.

— No, córeńko, widzę, że masz zaburzenia percepcji i syndrom gwałtownych oszołomień, ale niestety w pierwszym trymestrze to się zdarza.

— Jakich oszołomień?

— W połączeniu z parciem na pęcherz i obstrukcjami to nie jest na pewno łatwe — wyliczała jednym tchem moja troskliwa matka.

— Mamo, nie mam żadnego parcia — wtrąciłam.

— Parcie to jeszcze nic, najgorsze będą te gwałtowne skoki wagi. Przy twojej budowie to raczej nieuniknione.

— Nie mam żadnych skoków! — przerwałam gwałtownie.

— Córuś, ja wiem, jak to jest.

— Nie projektuj na mnie swoich ciążowych wspomnień.

— Niczego nie projektuję, ja w ciąży byłam o dwadzieścia lat młodsza od ciebie, więc nie miałam żadnych dolegliwości, zupełnie nic.

— No to się ciesz — warknęłam.

— Ale to w końcu nie jest kwestia wieku, ja mam zupełnie inny metabolizm. Chociaż biorę pod uwagę, że teraz w ciąży może już mi nie pójść tak gładko. — Zamyśliła się.

— Co ty wygadujesz? Mamo! To ja jestem w ciąży, a nie ty! — zawołałam.

— Na razie tak — odparła matka.

— Co masz na myśli? — zapytałam oszołomiona, odkładając oglądane warzywa.

— Nic, Lukrusiu, jeszcze nic, na razie bierzemy ślub, ale to chyba normalne, że interesujemy się z Miciem nowymi technologiami, które powstają z myślą o człowieku.

— Mamo?! — jęknęłam zdezorientowana. — O czym ty mówisz?

— O nowoczesnych formach rozrodu. Podobno transfer komórki od młodej dawczyni, przy tak dobrych parametrach jak moje, daje niewielki, ale jednak ułamek procenta szans na donoszenie ciąży kobiecie w moim wieku.

— Zwariowałaś! — krzyknęłam. — Mamo, ty już przeszłaś menopauzę!

— Córeńko, po pierwsze, się nie unoś, bo to wpływa na zaburzenia w mózgu twojego dziecka. Po drugie, wspomniałam, że na razie tylko rozważamy temat, bo jesteśmy zajęci przygotowaniem do ślubu.

— Uff...

— No właśnie, wracając do welonu, czy ty optujesz za ciągnącym się po ziemi? Bo Micio jest przeciw, a ja bym taki chciała... — rozmarzyła się matka.

— Ja jestem za brakiem welonu — odpowiedziałam chłodno.

— Jak to?

— Normalnie. Symboliczny kwiat we włosach, bez żadnego cyrku. Pa, mamo, muszę kończyć, bo jestem na zakupach — rzuciłam, odkładając słuchawkę.

Miałam dosyć jej obłądu. Jak można tak postradać rozum, żeby w wieku emerytalnym w ogóle rozważać transfer komórki jajowej? Czy ona to robi, bo nie może znieść myśli, że zostanie babcią? Wróciłam do stoiska z zieleniną, ale poczułam tak straszne parcie na pęcherz, że zdecydowałam się zawrócić i wstąpić na chwilę do pobliskiej kawiarni. W dodatku robiłam się coraz bardziej senna. Nie do wiary. Był środek dnia, a ja marzyłam o drzemce. Na samą myśl o czekających mnie za dwa dni warsztatach poczułam przerażenie. Czy właśnie tak będzie wyglądać kolejne sześć miesięcy? Na szczęście Konstanty przysłał mi całusy SMS-em. Chociaż tyle. Wypiłam sok wyciśnięty z cytrusów, dokończyłam zakupy i przyczłapałam do domu.

Zakręciło mi się w nosie od skubania gałązek rozmarynu. Ich aromat wydał mi się tak natrętny, że zdecydowałam się użyć ich o połowę mniej niż zwykle. Obrabiałam topinambur ze skórki, większe kawałki pokroiłam na pół, mniejsze od razu wrzucałam do miski. Ziola

wymieszałam z olejem, solą i pieprzem. Zrezygnowałam z papryki, bo miała za ostry zapach. Wyłożyłam blachę papierem do pieczenia i wstawiłam warzywa na dwadzieścia minut do rozgrzanego piekarnika. W międzyczasie zajęłam się sosem, mieszając z jogurtem liście rukoli i posiekany drobno szczypiorek z dodatkiem odrobiny soli. Kiedy wszystko było gotowe, zrobiłam zdjęcia i wpis na blog.

Rozmach rozmarynu, czyli swoiste pragnienia ciężarówek

Zmiana nastrojów to tylko rozgrzewka na karuzeli twoich zmienności. Prawdziwe wirowanie czujesz w kwestiach smaku. Podobno aż sześćdziesiąt procent z nas w pierwszym trymestrze ma swoiste pragnienia żywieniowe, a co druga — tak zwane awersje. Odczuwanie smaków, podobnie jak zapachów, bardzo się wyostrza. Późniejsze mamy często opowiadają o tym, jak w ciąży nabierały dziwnego apetytu na coś, czego nigdy nie lubiły, np. na wątróbkę, a potem się okazało, że ich dziecko poprzez ciężowe zachcianki mamy uwielbia jadać właśnie wątróbkę.

Tymczasem badacze twierdzą, że jest na odwrót. To przyszła mama w ciąży niejako „podłącza się” pod pragnienia jej dziecka na określony rodzaj smaku i dlatego w tym stanie sięga często po produkty, których dotąd nie lubiła, a które potem będzie lubiło jadać jej dziecko.

Nieważne, czy wierzymy w tę teorię, czy nie. Jedno jest pewne — podążajmy za tym, co podpowiada nam nasz organizm. Pamiętając, że smaki i zapachy wydają się nam teraz intensywniejsze, bądźmy ostrożniejsze niż zwykle z dodawaniem przypraw... Ale nie zapominajmy o rozkoszowaniu się samą czynnością jedzenia!

Przygotuj:

- 2 łyżki oliwy z oliwek
- 500 g topinamburu
- 1 ząbek czosnku, drobno posiekany
- 2 łyżeczki świeżego, posiekanego rozmarynu (lub 1 łyżeczkę suszonego)
- 130 ml wytrawnego białego wina
- sól
- świeżo zmielony czarny pieprz

Na patelni rozgrzej oliwę. Dodaj pokrojony w plasterki topinambur i czosnek, smaż około 2 minut. Dodaj sól, rozmaryn i wino. Następnie smaż jeszcze przez około 7—10 minut, aż większość płynu wyparuje, a topinambur będzie miękki. Dopraw pod koniec solą i pieprzem.

Ledwo skończyłam spisywać przepis na mój topinambur w rozmarynie, udostępniłam

post i zajęłam się wyciąganiem z piekarnika gorących warzyw, a już rozzwonił się telefon. To się nazywa prędkość światła! Claudynka brzmiała naprawdę entuzjastycznie.

— *Bella*, czy coś jeszcze zostało z tych aromatycznie wyglądających korzonków, czy też jako ciężarna wchłaniasz teraz całe dania? — zaświergotała w słuchawkę.

— Tylko nie nabijaj się z mojego apetytu, ostrzegam, to drażliwy temat — zażartowałam.

— *Bella*, wiesz, że zaraz po porodzie doprowadzisz się do formy dzięki innowacyjnym ćwiczeniom mięśni dna miednicy, które teraz zgłębiam na YouTube.

— Swoją drogą, czy ty przez całą dobę jesteś online?

— Odkąd zdecydowałam się przeprowadzić z Jeremim rewolucję żywieniowo-duchową Polaków, nie spuszczałam z oka największej gwiazdy w branży. — Roześmiała się. — Kończymy omawiać z Werą kwestie mieszkania mojego supermena, może więc wpadniemy za kwadrans do ciebie, żeby uchronić cię przed obżeraniem się tymi warzywkami? — zaproponowała Claudynka.

— Doskonale! Czekam! I już odpalam piec.

Czy może się zdarzyć coś miłszego w życiu ciężarnej kobiety niż niespodziewany nalot przyjaciółek, z którymi można zjeść obiad? I to kobiety, która od wczoraj czuje wzmożoną huśtawkę emocjonalną, od dzisiaj czuje wzmożone parcie na pęcherz, a do tego ma chłopaka o wiele bardziej nieobecnego od momentu, kiedy zaszła w ciążę, oraz niezrównoważoną matkę, która na starość rozważa ponowne macierzyństwo? Z nostalgią spojrzałam na przechowywany w lodówce ostatni z naszych wspólnych niedopitych szampanów, który cierpliwie czekał na swój czas. Tymczasem nakryłam do stołu. Konstanty napisał, że zjawi się o dwudziestej. Przewornie odłożyłam więc dla niego część warzyw, nim moje żeńskie łasuchy załomotały do drzwi.

— *Che odore! Mamma mia!* — zawołała od progu Claudynka, wciągając powietrze nosem. — Cudowny zapaszek rozmarynu unosi się aż pod sufit.

— Uff, bałam się, że to ja dostałam obsesji zapachowej. Czuję go w całym domu — odpowiedziałam.

— Rzeczywiście pachnie bosko! — włączyła się Wera.

— Werciu, wyglądasz na zmęczoną — powiedziałam, patrząc na niepodobny do niej nieład sukienki i niepomalowane paznokcie.

— Kiedy opadają liście i zbliża się chłód, ludzie intensywniej polują na nowe, przytulne domki — próbowała obrócić to w żart. — Ledwo zipię od tego biegania po schodach i nawijania o pięknych widokach z okien — dodała, wzdychając, i opadła na kanapę.

— *Bella*, to do ciebie niepodobne — zauważyła rzeczowo Claudynka. — Ledwo zipać to może aktualnie Lukrusia, skazana na nadmiar progesteronu, rozluźnienie mięśni gładkich, w tym dolnej części przełyku.

— O, *sorry*, ale zgagi nie mam — zaprotestowałam. — I nie odbija mi się przy jedzeniu.

— Zaraz się okaże. — Wybuchnęła śmiechem Claudynka.

Zaserwowałam warzywa, polewając je delikatnie wspaniałą oliwą truflową. Intensywny aromat ziół rozniósł się po całym pokoju. Dziewczyny wzięły głębszy oddech. Zwłaszcza Wera wyraźnie się rozprężyła, jakby opadł z niej niewidzialny balast. Rzeczywiście wyglądała nieszczęśliwie. Ale miałam wrażenie, że nie jest to kwestia fizycznego zmęczenia, lecz czegoś, co szarpie ją od środka. Znałam ją przez całe dorosłe życie. Z wyrazów jej twarzy czytałam niczym muzyk z nut. Nie miałam wątpliwości, że coś ją trapi.

— Werciu, a jak twoje plany przeprowadzki do Piotra? — zaryzykowałam otwarcie puszką Pandory.

— Hm... — westchnęła. — Nie wiem, dziewczyny, czy się z tego nie wycofać — wystękała po dłuższej chwili i nerwowo odgarnęła włosy do tyłu.

— Co?! — krzyknęłyśmy obie z Claudynką.

— Ale co się stało? — zapytałam, nie dowierając tej niespodziewanej zmianie.
— Nic takiego — odpowiedziała Wera. — Po prostu on jest ciągle nieobecny.
— O! To witaj w klubie. — Westchnęłam.
— Lukrusiu, ale Konstanty to wiesz, ciągle o tobie myśli, a Piotr? On ma w głowie tylko swoje biznesowe imperium. Co ja będę robić sama w za dużej konstancińskiej willi?
— Skąd ci to przyszło do głowy? — zapytała Claudynka.
— Konstanty tak o mnie myśli, że jak ma nie przyjść na spotkanie, to mnie nawet nie zawiadamia — dałam upust przechowanej od wczoraj złości.
— Lukrusiu, to niemożliwe. Konstanty to co innego. A Piotr to już właściwie... — Wera zawiesiła głos, a jej oczy stały się jeszcze większe niż zazwyczaj.
— Nie mów, że poznałaś kogoś innego? — wystrzebiła Claudynka.
— Daj spokój, jest gorzej. Chodzi o to, że Piotr...
— Podejrzewasz, że to on ma kogoś? — wyszeptalam z niedowierzaniem, prostując się na krześle.
— Nie wiem, dziewczyny. W każdym razie my coraz rzadziej mamy seks — jęknęła Wera.
— Jak rzadko? — rzuciła Claudynka.
— Naprawdę bardzo rzadko.
— Nie zostaje u ciebie w ogóle na noc? — zapytałam.
— Zostaje, ale od razu zasypia.
— Może jest w stresie, przepracowany, no wiesz... — próbowałam ją pocieszyć.
— Słuchaj — zaczęła rzeczowo Claudynka. — A czy on ma bezdech senny?
Spojrzałyśmy jednocześnie z Werą na Claudynkę, próbując wyczytać z jej mimiki, ku czemu zmierza. Niestety w wyrazie jej twarzy nie czaił się nawet cień żartu. Była zupełnie poważna. Tak jak zwykle, w tych wszystkich momentach, kiedy z poczuciem jakiejś wrodzonej misji zamierzała rozpocząć swoją kolejną akcję ocalenia bezbronnej żeńskiej istoty od zgubnej nieświadomości.
— Co takiego? — jęknęła Wera.
— Pytam po prostu, czy nadmiernie chrapie.
— Nie wiem. A co to ma do rzeczy? — Zniecierpliwiła się Wera.
— To jest kluczowe. Chrapie czy nie?
— No dobrze, chrapie, ale skąd mam wiedzieć, czy nadmiernie? Zwyczajnie. Ale co z tego?
— Chrapanie wpływa na libido, działa sedatywnie — wyjaśniła Claudynka, robiąc jedną ze swoich ulubionych min, która wyrażała lekki triumf połączony z poczuciem utraty wszelkiej nadziei.
— Jak? — zapytałam niespokojnie, próbując w myślach oszacować poziom chrapania Konstantego.
— Po prostu obniża facetom sprawność seksualną.
Trudno powiedzieć, czy to Wera miała bardziej zaniepokojoną minę, czy ja. W każdym razie coś musiało być na rzeczy, bo Claudynka zerkała badawczo na nas obie. Nie miała już wątpliwości, że nie tylko Piotr, ale i Konstanty znajduje się w kręgu potencjalnych ofiar redukującego libido bezdechu. Dokończyła w ciszy ostatnie kawałki warzyw, które miała na talerzu, i wytarła usta chusteczką.
— Dziewczyny, tylko bez paniki — powiedziała spokojnym tonem. — Werciu, czy on w ogóle ma normalne erekcje rano? — zapytała bez ceregieli.
— Claudynko, litości — powiedziałam, widząc zaszokowany wyraz twarzy słynącej

z dyskrecji Wery.

— Po prostu pytam.

— No, ale... Istnieje przecież jakiś poziom intymności, której nie ma co tu patroszyć — wtrąciłam.

— Daj spokój, w przyjaźni dyskrecja prowadzi do nieszczęść — wyjaśniła. — Poza tym w dzisiejszym świecie nawet zupełny brak erekcji nie jest dramatem, jeśli ma się odwagę o tym mówić i działać — dodała rzeczowo Claudynka.

— No nie, na impotencję sama odwaga jednak nie pomoże, bez jaj — wtrąciłam.

— Macie pojęcie, że robi się już nawet implant prącia?

— Co takiego? — zapytałam.

— Normalnie. Wycinają facetowi gruczoł krokowy i w ciałach jamistych penisa umieszczają dwa cylindry, a w mosznie pompkę. I facet sobie pompuje.

— Bez jaj, Claudynko. — Roześmiała się tym razem Wera.

— Ależ jak najbardziej z jajami. Pacjent w chwili prawdy, gdy dochodzi co do czego, naciska sobie pulsacyjnie mosznę i członek się natychmiast podnosi. Podobno w stu procentach skuteczne.

— A jak z pomiarem satysfakcji? — zażartowałam.

— Osobiście nie testowałam, ale w literaturze fachowej piszą o tym w samych superlatywach — odpowiedziała Claudynka.

Wszystkie trzy ryknęłyśmy śmiechem. Nawet jeśli brzmiało to jak science fiction, wiedziałyśmy z Werą, że Claudynka nie zmyśla. W sprawach ducha i ciała nigdy nie żartowała. Poza tym zawsze była na bieżąco w kwestii wszelkich nowinek, a jej chłonny, zdyscyplinowany umysł miał nadprzyrodzoną zdolność wylapywania tych informacji, magazynowania i robienia z nich użytku w najmniej dla nas spodziewanych chwilach. Zebrałam talerze i udałam się do lodówki, wyciągając z niej przewidziany do jutrzejszego wpisu tofurnik.

— Dziewczyny, ponieważ prawie mieszczę się w limicie przytycia przewidzianym dla pierwszego trymestru — powiedziałam, stawiając ciasto na stole — to znaczy przekraczam normę tylko o jeden kilogram — możemy zaszaleć.

— Woooow. Czy to sernik z glonami? — zapytała zaintrygowana Claudynka.

— Z tofu ze szpinakiem — wyjaśniłam. — Tylko błagam o sekundę cierpliwości, muszę jeszcze zrobić sobie dokumentację na blog — rzuciłam, chwytając za komórkę.

— Nadzwyczajny. — Westchnęła Wera, gdy tylko ugryzła pierwszy kęs.

— Jesteś boginią! — zawtórowała jej Claudynka.

— Dzięki, dziewczyny. Dam wam na wynos.

— O nieee! — zawołała niezbyt przekonująco Wera.

— O, taaaak! — Zaśmiała się Claudynka.

— Wera, dam ci też kawałek dla Piotra, dobrze? — zaproponowałam. — No wiesz, na zasadzie „przez żołądek do serca”.

— Raczej do penisa! — wybuchnęła rozbawiona Claudynka.

— I tu, i tam — dodałam.

Śmiałyśmy się przez dłuższą chwilę, nie mogąc się uspokoić. Claudynka dopiła łyk wody i odebrała dzwoniący po raz kolejny telefon. Wera zaczęła się niespokojnie wiercić, kątem oka łapiąc swoje odbicie w lustrze. Jej twarz dziwnie spowazniała. Oczy zrobiły się jeszcze większe niż zwykle, jakby starały się dostrzec jakieś niewidoczne szczegóły.

— Dziewczyny, a jeśli ja już go nie pociągam? — zapytała nieoczekiwanie.

— Zwariowałaś? — Podniosłam głowę znad talerza.

— Może już mu minął stan zakochania? — brnęła dalej Wera i wyglądało na to, że

wierzy w to, co mówi.

— Weruś, to niemożliwe — zaoponowałam natychmiast.

— Skąd wiesz? Nie jesteś facetem, *bella*.

— Nawet najbardziej pesymistyczne statystyki pokazują, że zakochanie utrzymuje się do około roku, optymistyczne mówią o dwóch, trzech latach — próbowałam uspokoić Werę, a przy okazji samą siebie.

Claudynka tymczasem skończyła rozmawiać przez telefon z jakimś stolarzem i z troską spojrzęła na Werę. Objęła ją ramieniem, siadając na kanapie, i przyglądała jej się bacznym wzrokiem, najwyraźniej próbując oszacować skalę zjazdu emocjonalnego naszej przyjaciółki.

— A tak pięknie się zapowiadało. — Westchnęła tymczasem Wera.

— Weruś, co z tobą? — zapytałam. — Musisz przekierować myśli.

— Za późno — jęknęła Wera. — Nie ma się co łudzić.

— Już samo to, że siedzisz i mówisz te rzeczy, osłabia wasz związek. Słowa tworzą wibracje, przecież sama o tym wiesz — starałam się przywołać ją do porządku.

— Jakie myśli, takie słowa, nic nie poradzę — wymamrotała, nachylając się nad Dolcevitę. — Chodź, smutasku, ty też dzisiaj jesteś jakiś nie w sosie — dodała, głaszcząc buldożka.

Dolcevito wyciągnął się u stóp Wery i wpatrywał w nią tak dziwnym spojrzeniem, jakby nazwał się czegoś otumaniającego i pokornie uprzedzał, że wszystko może się wkrótce zdarzyć, więc na razie doprasza się o więcej głasków. Najwyraźniej on też był dziś w nie najlepszym humorze. Nawet nie zamachał ogonem, jak to miał w zwyczaju, gdy ktoś zaczynał z nim pieszczoty.

— Moje drogie, przede wszystkim bądźmy szczerze — powiedziała Claudynka.

— Och, Claudynko! — Westchnęła Wera.

Claudia wstała energicznie z kanapy, zrobiła skłon, wyprostowała się, wyrzucając ręce do góry, wzięła głęboki wdech, po czym zaczęła chodzić w tę i z powrotem, co sugerowało, że ma nam do przekazania jakieś nowe odkrycie.

— Szczerze... To znaczy? — zawiesiłam głos w napięciu.

— Zacznijmy od samej istoty zakochania — powiedziała Claudynka.

— No, dawaj — rzuciłam, niepewna, do czego zmierza nasza elokwentna przyjaciółka.

— Mężczyzna zakochuje się nie tyle w samej kobiecie, co w pewnym stanie, który ona stwarza.

— Co takiego? — zapytała Wera, kładąc się na kanapie.

— Masz na myśli erotyczną bieliznę i okoliczności, które wywołują stan uniesienia do pozycji poziomej? — Roześmiałam się.

— Nie, dziewczęta, mówię o stanie ducha. — Podekscytowała się Claudynka.

— *Oh, yees!* — zawołała z ironiczną miną Wera.

— Właśnie dlatego superwoman nie musi wyglądać jak Julia Roberts — zaczęła wykład Claudynka. — Nie musi mieć mózgu Einsteina i tyle lajków na Fejsie co...

— Co Ewa Chodakowska — weszłam jej w słowo.

— A co musi? — zapytała Wera.

— Superwoman po prostu pamięta o tym, żeby obdarowywać swojego supermena takim stanem, w jakim on czuje się kochany, podziwiany i... — zawiesiła tajemniczo głos.

— I? — zapytałyśmy jednocześnie z Werą.

— No i w jakim zakochuje się na wieki wieków.

— Nawet jeśli rzeczywiście to wystarczy, żeby się zakochał na amen, to załatuje mi to niezłym patriarchatem. — Westchnęłam.

— Ależ to jest kwestia odmiennych funkcji biologicznych — wyjaśniła Claudynka.
— To nawet gorsze niż patriarchy — rzuciła Wera.
— Fakt — przytaknęłam.
— Owszem, ale żaden gender tego nie zmieni — podsumowała Claudynka, rozsiadając się na kanapie.
— W tej sytuacji — może jeszcze ciasta? — zaproponowałam.
— Tak, dawaj, muszę ochłonać! — zawołała Wera. — Może jak się doładuję cukrem, łatwiej mi dziś pójdzie z tym dosładzaniem. — Zaśmiała się.
— O, trochę szacunku dla mojego tofurnika, nie ubliżaj mu od cukrów — zaprotestowałam.
— Nie wmówisz nam, że nie był słodzony! — powiedziała przekornie Wera.
— Był w nim cukier, czułam! — orzekła Claudynka.
— Zero cukru! Jedynie najszlachetniejszy z akacjowych miodów — wyjaśniłam.
— Uff. — Uśmiechnęła się Wera. — To jeden kawałek więcej, poproszę.
Śmiałyśmy się chyba z pół godziny. Już sama nie wiem, z czego najbardziej. Zupełnie jak dawniej. To była jedna z tych boskich chwil, kiedy czujesz, że twój świat jest światem twoich przyjaciółek, a ich świat jest prawdziwie twoim. Puściłam Lou Reeda w jego najwspanialszym wydaniu i razem zanuciłyśmy:

Oh it's such a perfect day

I'm glad I spent it with you

Oh such a perfect day

You just keep me hanging on...

Dochodziła szesnasta. Przez otwarte drzwi balkonu wdzierał się jesienny powiew wiatru. Dziewczyny zaczęły się zbierać. Wera miała za pół godziny ważnego klienta, a Claudynka pędziła oglądać jakieś materiały. Zapakowałam im ciasto na wynos, uściskałyśmy się na pożegnanie i obiecałyśmy sobie częściej jadać razem obiady. Choć ziściło się niedawno moje marzenie i Claudynka namówiona przez Jeremiego przeniosła się do Warszawy, pochłonięte swoimi zajęciami rzadko znajdowałyśmy czas na wspólne posiłki. Ale wystarczyła spontaniczna godzina razem i czułam się jak po tygodniowym pobycie w luksusowym SPA. Od śmiechu bolały mnie mięśnie. Znów byłam lekka i energiczna, jakby poranne mdłości nigdy mnie nie nawiedzały.

Zatrzymałam się przed kryształowym lustrem w przedpokoju i popatrzyłam na swoje ciało. Brzuch był prawie niezauważalny. Wyglądał jak po zjedzeniu dużego obiadu. Zastanawiałam się, o ile może się rozciągnąć za miesiąc, dwa czy trzy. Podobno w późnych ciążach o wiele rzadziej robią się rozstępy. Czy wielkość mojego brzucha ma związek z tym, jak duży był brzuch mojej matki? Czy to, że ona miała cesarkę, może wpłynąć na to, że i ja będę musiała tak właśnie rodzić? Próbowałam sobie wyobrazić setki moich praprababek, ciągnące się

aż do początków cywilizacji, które tak jak ja teraz nosiły w brzuchu małą kuleczkę i podobnie jak ja przeklinały hormonalne wahnięcia nastrojów — od lęku po ekscytację, od smutku po zachwyty. Zaczęłam nawet nucić pod nosem. Ale po chwili spojrzałam na dwa obeschnięte liście na mojej dracenie i uświadomiłam sobie, że moje rośliny w ostatnich tygodniach dziwnie często więdną. Może tu jest za sucho? Otworzyłam laptop, by przejrzeć ofertę domowych nawilzaczy powietrza. A może to ja podświadomie czuję, że ten dom nie jest właściwy dla mnie i dla zbliżającego się macierzyństwa? Coś mnie tknęło i weszłam na stronę wyroczni. Czy w najbliższym czasie cokolwiek zmieni się na moją korzyść? Wylosowałam heksagram numer 36: *Zmrok. Ziemia na górze. Ogień na dole. Nadchodzi trudny czas. Musisz pokonać przeciwności zewnętrzne i wewnętrzne. Nie pozwól sobie teraz na tracenie sił.*

Celebracja przyrody, widok drzew, spacer. Choćby krótki. To jedyne, co przychodziło mi teraz do głowy. Zabrałam Dolcevita, który wciąż wyglądał dziwnie markotnie, jakby niczym jego pani przeżywał w ostatnich dniach hormonalne huśtawki. Światło zbliżającego się zmierzchu nadawało liściom ciepłe odcienie. Było tak barwnie, że przez chwilę wyobraziłam sobie zastępy młodych graficiarzy, którzy zakradają się tu nocą, by pokolorować dla nas wszystkie drzewa. Miałam wrażenie, że nawet przemykające auta pasują kolorami do krajobrazu. Jakbyśmy wszyscy byli jednością. Drzewa, ludzie, maszyny. Jakbyśmy zależeli od siebie nawzajem i uzupełniali się w wielkiej kosmicznej wymianie. Na co dzień żyjemy dziwnie porozdzielani, pilnujemy swoich wersji JA, zupełnie zapominając, że nasze myśli oddziałują na myśli innych. Nasze uczucia odbijają się jak w lustrze w napotykanym ludziach. Udajemy, że jesteśmy niewinne, jakby nie starczało nam odwagi na to, żeby być i takie, i takie. I zapominamy, że wszyscy dookoła też tak mają. Że im wolno. Czułam jeszcze w sobie ten śmiech sprzed kilku chwil. Mieszał się z jakimś napływającym niepokojem. Czy tak właśnie będzie przebiegać cała ciąża? Jak karuzela nastrojów? A może właśnie teraz, na tym hormonalnym paliwie, o wiele pełniej odczuwa się świat?

Ruszyłam obsypaną żółtawymi liśćmi Agrykolą w kierunku stawu, skąd rozpościerał się przyjemny widok na położony nad schodami Zamek Ujazdowski. Dolcevito włókł się, jakby naprawdę miał dziś zły dzień. Może się czymś zatrul? Człapał, ocierając się o moje nogi. Dopiero nad stawem minimalnie się ożywił na widok jakiegoś wilczura. W pewnej chwili dziwnie się poderwał i pogalopował za nim w kierunku Myśliwieckiej. Już prawie zaczęłam tracić go z oczu, jakby rozplątywał się w przestrzeni. Wydawało mi się, że przebiegł na drugą stronę jezdni.

— Dolcevito, do mnie, wracaj! — krzyknęłam.

Długo nie było żadnej reakcji. Znowu krzyknęłam. Podeszłam w tamtym kierunku i zaczęłam go nawoływać. Zupełnie jakby się roztopił. Poczulałam dziwny niepokój. Wreszcie zobaczyłam, jak wyskakuje zza drzewa i pędzi za tym wilczurem przez ulicę. Nagle zamarłam. Zza zakrętu wyskoczyło rozpędzone ciemne auto. Usłyszałam tylko pisk hamulców i straszny huk.

ROZDZIAŁ 3

Jakby to było, pozwolić smutkowi być smutkiem, a bólowi bólem?

Krople deszczu, niczym akompaniament dla uderzeń serca, rytmicznie spadały na parapet. Poranek miał odcień zmierzchu. Na stoliku obok obsychała owsianka z kawałkami owoców i rodzynkami, którą przygotował dla mnie Konstanty przed wyjściem. Nie mogłam przełknąć ani łyżki. Jakby zablokowane łyżki zapchały mi gardło. Leżałam pod kołdrą, wpatrując się tępo w bukiet więdnących jaskrów, którym wczoraj nie nalałam nawet wody. Głowa była ciężka jak gruz, wewnątrz niej miałam ciemną dziurę. Nie potrafiłam odtworzyć w pamięci wydarzeń minionego wieczoru. W uszach dźwięczał mi jeszcze ten straszny huk, po którym nie było nawet słyhać pisku, jazgotu, nic. Przyćmił całą fonię. A potem już tylko nieruchome oczy Dolcevita.

Zwlekłam się wreszcie z łóżka. O dziwo, nie miałam mdłości. Nalałam wody do dzbanka i zajęłam się podlewaniem roślin. Oderwałam obsychający liść monstery. Schyliłam się, żeby zebrać obsypane płatki przekwitniętych astrów. Nagle poczułam lekki skurcz poniżej pępka. Dotknęłam ręką podbrzusza. Po chwili mi przeszło. Trzymałam dłoń w tym miejscu jeszcze przez chwilę, ale skurcz się nie powtórzył. Poszłam do toalety i w napięciu przyglądałam się strumieniowi moczu. A jeśli na skutek stresu uruchomiłam skurcze macicy i za chwilę wszystko się skończy? To maleńkie życie, które ledwo zaczęło we mnie bić swoim mikroskopijnym serduszkami. Ta nadzieja, to całe wyczekiwanie... Wytarłam papierem toaletowym ciekące łyżki. Wróciłam do łóżka i przykryłam się szczelnie kołdrą. Czulałam się ciężka i bezwładna. Obrazy sklejały się w jakąś magmę, chwile z przeszłości, kiedy towarzyszył mi Dolceviso, nakładały się na siebie. Przymknęłam oczy. Dzwoniło mi w uszach. Zaczęłam liczyć szeptem swoje oddechy, próbując je wyrównać, a potem trochę wydłużyć, by chociaż odrobinę się uspokoić. *Uno... due... tre...*

Szum powoli cichnął. Oddech zwolnił. Obrazy przestały pędzić. W pewnej chwili zobaczyłam, jak z odbitego na szybie światła wyłania się ruchoma plama. Zaczęła się zbliżać, aż wreszcie przeobraziła się w ludzką postać. Wyprostowana, dostojna, bardzo powoli, z gracją sunęła w moją stronę. Ubrana w białą połyskującą sukienkę, wyglądała jak z baśni. Jej długie białe włosy lśniły. Byłam pewna, że gdzieś już tę kobietę widziałam. Może wtedy miała na sobie inny strój? W pewnej chwili dobiegł mnie odbijający się jak echo od jaskiniowych ścian głos:

Masz dla siebie całe przestworza... rozpościerasz skrzydła... wzbijasz się nad ziemię... fruniesz... patrząc przed siebie... jest tak, jak miało być... ten, kto odleciał, macha ci z oddali... napelniona wracasz na ziemię... do swojego źródła... jest spokojne jak tafla wody... czujesz swoje energetyczne centrum... środek ciężkości twojego ciała... tam, gdzie styka się ze sobą sto tysięcy połączeń... gdzie zaczyna się życie... twoje zaufanie do świata... twoja moc... ukryta moc... zbudzona moc...

Z oddali dosłyszałam świergotanie ptaka. Dźwięk wydawał się dziwnie znajomy. Rozbrzmiewał coraz głośniejszy, musiał być coraz bliżej. Wdzierał się do uszu, do wnętrza głowy. W pewnej chwili stał się nieznośnie natarczywy. Otworzyłam oczy. Rozejrzałam się po pokoju i podniosłam wibrującą komórkę.

— Halo — wymamrotałam.

— Lukrusiu, jak się czujesz? — zapytała czułym głosem Claudynka.

— Jakoś...

— Mogę cię odwiedzić?

— Może jutro — zaproponowałam słabym głosem.

— Lukrusiu...

— Albo później, wieczorem.

— Akurat przechodzę pod twoim domem...

— Ale...

— Zajrzę tylko na chwilę — dodała prosząco.

— Dobrze, chodź — szepnęłam.

Wstałam z łóżka, by dowlec się do drzwi. W lustrzanym odbiciu zobaczyłam bladą mumię. Czułam się tak ciężka, jakbym w jedną noc przytyła dziesięć kilogramów. Na progu stała Claudynka w zwiewnej pomarańczowej sukience z bukietem intensywnie fioletowych wrzosów. Wyglądała jak udoskonalona wersja *Narodzin Wenus*. Przytuliła mnie bardzo mocno, nie mówiąc ani słowa, i weszła do salonu. Z płóciennej siatki wyciągnęła jakieś pudełko, a potem inne, mniejsze.

— Lukrusiu, kupiłam ci zupę — odezwała się wreszcie łagodnym głosem, nie przerywając rozpakowywania.

— Jaką znowu zupę?

— Twoją ulubioną, laksę.

— Po co? — jęknęłam.

— Bo akurat przed chwilą przechodziłam koło tej uroczej tajskiej knajpki, wiesz, tam obok mojego klubu fitnessowego.

— Ależ, Claudynko...

— Bo może nie masz dziś melodii na gotowanie, a musisz się przecież dobrze odżywiać.

— Nie mam nastroju.

— Niezależnie od nastroju — wyjaśniła.

— Dzięki, *Bella*, ale naprawdę zupełnie straciłam apetyt — powiedziałam szczerze.

— Wiem, kochana, ale spróbujemy go odzyskać — dodała troskliwie. — Może od razu ci ją podgrzeję, co?

— Nie, nie. — Schowałam pudełko do lodówki.

— Może masz ochotę na coś innego?

— *Bella*, zjem później — spróbowałam ją zbyć.

— A może jednak wolisz najpierw sałatkę?

— Nie, absolutnie.

— Mam tu jakąś z awokado.

— *Bella*, nie chcę, naprawdę.

— Jest jeszcze sok wyciśnięty z marchewki i mus z mango — wyliczała Claudynka.

— Zwariowałaś, słowo daję. — Patrzyłam na nią tępym wzrokiem. — *Bella*, dzięki, ale chwilowo naprawdę niczego w siebie nie wcisnę — dodałam skruszona.

— Lukrusiu, to może zrobisz ci herbaty? — rozkręciła się na dobre Claudynka. — Czy wolisz najpierw wypić sok?

Przyjaźń nie zna umiaru — pomyślałam. Mimo wszystko zrobiło mi się ciepło na sercu. I od jej słów, i od widoku tych wszystkich pudełek. Energiczne ruchy przyjaciółki przyjemnie ożywiły przestrzeń mojego mieszkania, która jeszcze kilka chwil temu wydawała się tak martwa, jakby nawet z kwiatów uszło życie. Właściwie to sama chciałam zaparzyć jej herbatę — z wdzięczności i z nadzieją, że wybudzę się trochę z marazmu, ale zadzwoniła moja komórka. Konstanty. Już trzeci raz od rana. To chyba jego rekord. Tym razem pytał, czy ma mi przywieźć obiad. Był naprawdę przejęty i gotowy odwołać jakąś konsultację tylko po to, by przejechać pół miasta z pudełkiem wegetariańskich gołąbków. Uspokoiliam go, że może przybyć z nimi na

kolację, nie umrę tak łatwo z głodu. Nie dawał za wygraną, trzy razy powtórzył pytanie i dopiero wtedy odpuścił, przystając na moją propozycję. Nawet mnie wzruszył tym zapalem. Takiego zatroskanego o mój żołądek nigdy go jeszcze nie widziałam.

Ledwo skończyłam z nim rozmawiać i już chciałam wkroczyć między Claudynkę a ustawiane przez nią na stole filiżanki i spodki z cynamonowymi ciastkami, o których sobie przypomniałam, kiedy zadzwonił domofon. Spojrzałam na Claudynkę pytająco, ale wyglądało na to, że nie ma z tym nic wspólnego. Na wycieracze stał kurier z małym pudełkiem. Pospieszenie mi je przekazał i pognał, zanim zdążyłam ustalić nadawcę.

— Zupełnie jakbym miała urodziny. — Westchnęłam, spoglądając na srebrne opakowanie tajemniczego prezentu. — Co to może być?

— Lukrusiu, świat zawsze jest po naszej stronie, robi, co może, by trochę wyrównać straty — powiedziała Claudynka, pijąc herbatę.

— Nie do wiary! — krzyknęłam, wyjmując z pudełka buteleczkę. — To Maria Candida Gentile — powiedziała oszołomiona. — Wibracja sycylijskiego słońca, cytrusów i kadzideł. — Zaciągnęłam się upojną wonią. — To naprawdę Gershwin, zapach, o którym marzę co najmniej od wiosny!

— Piękny, rzeczywiście — zachwyciła się Claudynka, nachylając się nad buteleczką.

— Od kogo to może być? — Podekscytowałam się.

— No, no, nawet w ciąży tajemne romanse — próbowała żartować Claudynka. — Ładne rzeczy!

— Nuta pieprzu, drzewo sandałowe, chyba też goździki, jakie to intensywne. — Wciągnęłam nosem woń. — Powąchaj, *bella*, to istny odlot.

— Czy tu są też jakieś owoce, Lukrusiu?

— Wyrabiasz się. — Uśmiechnęłam się. — Gorzka pomarańcza na pewno, może cytryna, albo nie, raczej grejpfrut. Nadzwyczajne zestawienie. To będzie bohaterka mojej jesieni. — Westchnęłam.

Obejrzałam raz jeszcze połyskujące metalicznym odcieniem opakowanie. Nigdzie nie było żadnego adresu. Czyżby Konstanty? To do niego nie pasowało. Poza tym skąd by wiedział, że właśnie o tych perfumach marzyłam? Wybrał je przez przypadek? Nie sądzę. To raczej Wera. Czujna na upodobania najbliższych, zawsze zapamiętująca wszystkie szczegóły ze świata urody. Tylko po co miałyby wysyłać je anonimowo przez kuriera, skoro w dowolnej chwili mogła tu wstąpić? Kimkolwiek był tajemniczy nadawca, wiedział, jak mnie zaczarować, by przenieść moją wyobraźnię w zupełnie inny rewir. Na chwilę ożyłam.

— Może pójdziemy do ogrodu botanicznego? — zaproponowała niespodziewanie Claudynka.

— Dziękuję ci, *bella*, ale nie wierzę, żebyś w samym środku dnia nie miała żadnych zajęć — odpowiedziałam. — Nie ma sensu, żebyś się dla mnie poświęcała.

— Lukrusiu, oszalałaś? Chcę ci po prostu towarzyszyć w chwilach twojego smutku.

— Ale to mój smutek, tylko ja go mogę przetrwać, to ja nie umiałam upilnować swojego psa — odparłam stanowczo. — Także dzięki, ale nie.

— Proszę cię, nie mów głupstw.

— Ale Claudynko...

— To nie jest kwestia upilnowania, dobrze wiesz. Są zdarzenia, na które nie mamy żadnego wpływu — powiedziała z przejęciem Claudynka.

— Czy to nie ty tyle razy mi powtarzałaś, że energia podąża za uwagą? — powiedziałam podminowana. — Że to, co mamy w głowie, manifestuje się w rzeczywistości? No powiedz, kto mi to trąbił do uszu?! — wykrzyknęłam, nie mogąc powstrzymać łez.

Claudynka popatrzyła na mnie pełnym troski spojrzeniem, a zaraz potem bez słowa wzięła mnie mocno w ramiona. Trwało to dłuższą chwilę — ten dziwny stan, kiedy wiesz, co myśli ktoś obok ciebie, i masz pewność, że rozumie cię mimo twojego milczenia. Tak rzadko zdarzały się momenty, kiedy Claudynka nie miała potrzeby mówienia czegokolwiek, dawania rad, wykładów, przytaczania najnowszych badań jakichś światowej sławy naukowców. Doceniałam siłę tej naszej wspólnej ciszy.

Wyszliśmy na ulicę. Liście na drzewach lekko się kołysały od podmuchów jesiennego wiatru. Ich kolory, z każdym dniem nabierające większej ostrości, dzisiaj świeciły jak neony. Rześki wiatr przyjemnie łaskotał skórę. Na przejściu dla pieszych przy skrzyżowaniu ulicy Pięknej z Alejami Ujazdowskimi jakiś rowerzysta, mijając nas, odwrócił głowę i puścił nam całusa. Spojrzałyśmy na siebie zdumione, nie tyle całusem, co wiekiem nadawcy. Chyba mógłby być synem każdej z nas.

— Wyglądasz na tyle lat, na ile... — zaintonowała Claudynka.

— Na ile się czujesz — dokończyłam jedno z naszych ulubionych powiedzonek.

— Albo na jeszcze mniej — dodała Claudynka.

Wybuchnęłyśmy śmiechem. Nic nieznaczące mgnienie, ot, słodki cukierek rzucony przez rzeczywistość do naszych stóp, który wywołuje nagłą radość. Gdyby tylko potrafić być ciągle w stanie takiej gotowości, by wylapywać z otoczenia to, co najlepsze. Może te wszystkie trudne zdarzenia, które na siebie ściągamy, wcale nie są po to, by nas dobić? Raczej służą temu, żeby efektywniej korzystać z własnej mocy. Przemieniać to, co w nas kruche, niepewne, podejrzliwe, wiecznie szukające dziury w całym? Każdy dzień coś nam daje i zabiera. Nawet dając miłość, domaga się czegoś w zamian. Może więc zamiast dręczyć się stratą, lepiej ją przyjąć, choćby ze łzami, i uznać, że zrobiła miejsce czemuś innemu, co nadchodzi.

— Wiesz — odezwała się niespodziewanie Claudynka. — Podobno zawsze, gdy ma przyjść na świat nowy człowiek, w okolicach jego narodzin ktoś z rodziny odchodzi, trochę tak, jakby robił dla niego miejsce — powiedziała, zupełnie tak, jakby słyszała moje myśli.

— Myślisz, że dlatego zginął Dolceviso?

— Nic nie dzieje się przez przypadek — odpowiedziała Claudynka, błędząc myślami gdzieś hen, daleko.

— Ciekawe, czy moje dziecko będzie miało jakąś cechę charakteru po moim psie... — odpowiedziałam, uśmiechając się. — Czy takie rzeczy są możliwe?

— Być może jakiś nawyk albo upodobanie? Przecież on był twoją rodziną, więc jego cechy krążą w polu rodzinnej konstelacji, nie odeszły razem z nim, tylko przeszły dalej, do wiru życia.

— Brzmi to jak jakaś czarna magia — powiedziałam.

— To, że czegoś jeszcze nie potrafimy racjonalnie wyjaśnić, nie oznacza, że to magia. Po prostu ciągle więcej jest w świecie zagadek do wyjaśnienia niż pewników.

— Może to lepiej dla nas? Przynajmniej nie umrzemy z nudów. — Zamyśliłam się. — Masz ochotę na słony karmel? — zapytałam, gdy doszłyśmy do kawiarni przy Agrykoli.

— Nawet dwa. — Zaśmiała się Claudynka.

Uzbrojone w trzy kule lodów każda, o smaku słonego karmelu, pistacji i whisky, ruszyłyśmy do ogrodu botanicznego. Słońce przyjemnie ogrzewało nam twarze. Przeszłyśmy aleją bżów do niskopiennych rabat, które żółciły się resztkami kwiatów. Dalej było rosarium i rośliny lecznicze. Z uwagą nachylałyśmy się nad etykietami. Zajrzałyśmy do oranżerii pamiętającej czasy króla Stanisława Augusta. Na chwilę przysiadłyśmy w alpinarium wśród

starych głązów, wpatrując się w romantyczny maciupęński staw. Wciągając raz po raz przyjemną rzeźkość powietrza, doszliśmy do mojego ulubionego zakątka, otulonego gałęziami starego miłorzębu, klonu polnego i dębu szypułkowego oraz ustawionego między nimi kamienia opatrności. Zanurzałyśmy się w ten przyjemny gąszcz, rozkoszując się bliskością dzikiej przyrody w samym środku miasta. Zerkałam na opiekuńcze duchy tego miejsca — najstarsze drzewa, takie jak mój ulubiony buk nieśmiało strzegący krańca ogrodu. Niektóre rosną tu nieprzerwanie od dziesiątek lat, widziały całe zastępy nieszczęśników, którzy doznawali chwilowej euforii, delektując się pięknem przyrody. Trwają tu, niezależnie od tego, co dzieje się wokół nich.

Krażyłyśmy między alejkami jak dwa motyle zwabione przez wonne kwiaty. Raz na jakiś czas wzdychając z zachwytu nad jakimś cudem, czasem wymieniałyśmy spojrzenia na widok tej czy innej rośliny. Zupełnie jakbyśmy przełączyły się z trybu mówienia na tryb odczuwania, „bezmyślenia”. Odczuwania, które zależy od patrzenia, nasłuchiwania, oddychania, a zwłaszcza od ruchu.

To Claudia w pewnej chwili dała ten tajemniczy znak milczenia, a ja go przyjąłem. Z każdym krokiem coraz głębiej oddychałam. Kiedy dotarłyśmy pod gołe już drzewa magnolii, coś we mnie pękło. Zaczęłam gwałtowniej oddychać, aż w końcu odblokowało się moje zaciśnięte gardło, z oczu popłynęły łzy, a ja z każdą sekundą coraz donośniej szlochałam. Claudynka objęła mnie ramieniem. Nie mówiła, nie pocieszała, po prostu była. Pozwoliła mi wypłakać smutek po utraconym psie. Dała mi na to przestrzeń. A ja stałam i chlipałam, prawie krztusząc się od łez. Coraz lżejsza czułam, jak cała rozpacz wypada ze mnie niczym fala i odpływa gdzieś hen, do oceanu wszechświata.

Zatrzymałyśmy się przed osłoniętą drzewami Café Flora. Wewnątrz było zupełnie pusto. Zamówiłyśmy espresso i wyszłyśmy przed kawiarnię, by pochwycić jeszcze trochę promieni jesiennego słońca. Ledwie zdążyłyśmy zgodnie z naszym zwyczajem pozłocić kawę cynamonem, gdy kelnerka wywiesiła na drzwiach kartkę z napisem: „Przepraszamy, awaria wody, zamknięte”. Minutę później zaczęli zjawiać się kolejni klienci. Podchodzili, szarpali za klamkę, patrzyli z zazdrością na nas dwie rozkoszujące się kawą, znowu szarpali się z drzwiami w nadziei, że jednak jest otwarte, i dopiero po chwili, zauważywszy kartkę, odchodzili z kwitkiem. A my spoglądałyśmy na siebie z delikatnym wyrazem triumfu na twarzy i nawet nie musiałyśmy wypowiadać tego głośno, obydwie miałyśmy w tej chwili wrażenie, że życie stoi po naszej stronie.

Czułam się poruszona jak przekopana ziemia, gotowa do tego, by coś nowego do siebie przyjąć, coś, co już może spokojnie wzrastać. Coś zwyczajnego, codziennego, co stanowi o magii życia. Daje poczucie płynięcia, dotykania brzegów i jednoczesnego trzymania się prądu rzeki. Ciało — nasza najlepsza mapa — wyrzeźbione przez doświadczenia, niewyrażone emocje, niedożyte uczucia, dawało mi wskazówkę, że mogę iść dalej, że coś udało się wypuścić. Dotykając swoją nagrzaną delikatnymi promieniami słońca rękę, miałam wrażenie, że nawet moja skóra wydaje się gładza niż kilka godzin temu, kiedy jeszcze ciało tłumilo w sobie łzy. Ociepliłam się.

Claudynka popędziła do swoich spraw, a ja przed jutrzejszym kursem ajurwedy zapragnęłam gruszkowego risotto. Najwyraźniej wypuszczenie smutku i tęsknoty za czymś utraconym robi w sercu miejsce na to, co pragniemy odczuwać. Zanim wróciłam do domu, Konstanty wysłał mi SMS-em czułą litanię o tęsknocie i moich powabach. Ożywiona, kupiłam po drodze amarylis. Jego długie językowate liście zabarwione odcieniem delikatnego fioletu przeżyły się dumnie jak kolumna, na zwieńczeniu której układały się lejkowate różowawe kwiaty odchodzące od żółtej słonecznej gardzieli. Wstawiłam pachnące berło do wazonu. „Życie to

radość, radość to ruch, apatia to zastygnięcie” — zapisałam na kartce, którą przykleiłam na lodówce. Włączyłam Cassandrę Wilson i nucąc do jazzowych fraz, zajęłam się przygotowaniem risotta.

I can hear his heart beat for a thousand miles

And the heavens open every time he smiles

And when I come to him, that's where I belong

And I'm running to him like a river's song

He gives me love, love, love, love, crazy love

Intensywny aromat tymianku przenikał do słodkawego smaku jesiennych gruszek. Przełamany wyrazistą nutą sera gorgonzola przypominał mi o wyrafinowanej prostocie, która tak mnie uwodziła we włoskiej kuchni. Dom znów ożył. Zieleń roślin doniczkowych wydawała się bardziej świeża i intensywna. Żółte rybki pływające w akwarium, czy to za sprawą promieni słońca, czy nagłego entuzjazmu, który mnie ogarnął, złościły się jak klejnoty. Zabrałam się do tego, co lubię najbardziej.

Risotto w rytmie serca bijącego w odległości wielu mil

Jeśli chcemy zawsze tylko otrzymywać, to będziemy tylko tracić. Tak już jest. Strata chce być zauważona, by przywołać nas do stanu równowagi. Zarówno w życiu, jak i w kuchni.

Robiąc gruszkowe risotto, nie ma sensu, tylko po to, by zyskać na czasie, kroić na szybko gruszek — trzeba je zetrzeć na tarce, bo dzięki temu wypłynie z nich więcej soku.

Przygotuj:

- 2 ząbki czosnku
- 4 soczyste gruszki
- białe wytrawne wino (lepsze będzie to o owocowych nutach)
- 150 g ryżu arborio
- garść orzechów laskowych
- bulion z warzyw

- ok. 150 g sera gorgonzola
- świeży tymianek (kilka gałązek)
- sól, pieprz
- odrobinę chili
- 1 łyżkę masła
- oliwę

Na rozgrzanej patelni z oliwą i odrobiną masła podsmażamy rozdrobniony czosnek. Wlewamy starte gruszki wraz z sokiem. Chwilę je smażyjemy, dodajemy pieprz i chili, a po kilku minutach pokruszony tymianek i dolewamy pół kieliszka wina. Czekamy, aż składniki się połączą, i dodajemy ryż. Gdy się zeszkli, dolewamy wina, dodając pokrojone drobno orzechy. Spokojnie czekamy, aż ryż wchłonie wino, i wlewamy pół szklanki bulionu warzywnego. Czekamy, aż bulion się wchłonie, i stopniowo dolewamy kolejną porcję. Pod koniec, gdy ryż będzie już al dente, dodajemy rozdrobnioną gorgonzolę, solimy do smaku... I serwujemy z kieliszkiem wina.

Jeśli akurat jesteśmy w ciąży, to nuczimy sobie jakiś jazzowy kawalek, np. Cassandry Wilson:

Yes I need him in the daytime

Yes I need him in the night

Bo przecież dobrze wiemy, że ta wersja risotto będzie dla tego, na kogo czekamy, sobie zrobimy wersję bez gorgonzoli i z wodą zamiast kieliszka wina. Od serów pleśniowych, podobnie jak od wina, lepiej trzymać się w ciąży z daleka.

Po opublikowaniu posta rozejrzałam się odruchowo po domu. Uświadomiłam sobie, jak brakuje mi wychodzenia na wspólne spacerunki z Dolcevitem. Spojrzałam na zegarek. Do powrotu Konstantego miałam jeszcze dwie godziny. Stały przede mną jak znak nieskończoności. Chwyciłam za telefon, żeby wysłać mu SMS z błagalną prośbą, by był wcześniej, chociaż trochę. Owszem, dobrze wiedziałam, że trzeba dać przestrzeń ludziom i rzeczom. Nawet potrawy lubią mieć czas, by dotrzeć do esencji swoich smaków, przemieszać się, dojrzeć. Ale jak znieść w samotności takie puste chwile, w których atakują cię dziesiątki pytań bez odpowiedzi.

Telefon Wery znów milczał. Czy był to dowód na nagłą reaktywację jej życia seksualnego z Piotrem, czy wprost przeciwnie — zwiastun, że nadciągają mroczne chwile po rozpadzie związku? Nie mogłam uwierzyć, że tak szaleńczo zapatrzony w nią mężczyzna mógłby nagle przerzucić się na kogoś innego. Wyglądali jak swoje lustrzane odbicia. Tacy głodni siebie, rozumiejący się bez słów. Wydawało się, że skryta w okazywaniu uczuć Wera po raz pierwszy się otworzyła, jej pragnienie odczuwania świata w pełnej harmonii miało swoje lustrzane odbicie

w Piotrze. Sam często wspominał, jak długo na nią czekał, po co miałby to niszczyć? Po co by urządzał tę całą maskaradę z wynajmowaniem kawalerki, robieniem pozorów, że jest skromnym człowiekiem, który szuka prawdziwej miłości? Chyba że to seryjny monogamista, który pod powłoką marzyciela skrywa przypadek najwyższego ryzyka, jakim jest... niezdiagnozowany seksoholik.

Udałam się do punktu pierwszej pomocy — zanurkowałam w Google. To było olśnienie! Poczulałam wypieki na twarzy. Jak zadziwiająco wiele elementów dobrze do siebie pasowało. Kiedy w ciele mężczyzny jest dużo napięć, mięśnie usztywniają całe partie, penis jest w ciągłej gotowości. Mężczyzna dąży do szybkiego rozładowania stanu napięcia. To oczywiste, że woli niezobowiązujący seks, w czasie którego nie musi dbać o potrzeby partnerki. Potrzebuje szybkiego rozprężenia. Często miewa problemy ze snem, bo wszystkie narządy są w stanie permanentnej gotowości. Ma skłonność do ciągłego kontrolowania sytuacji. Lubi sporty ekstremalne, szybkość, uznanie. Chce osiągać najwyższą pozycję, błyszczeć. Nie do wiary, wszystko pasowało do Piotra. Seksuolicy miewają skłonności do nadużywania alkoholu, za pomocą którego starają się rozluźnić napięcie wewnętrzne ciała albo rozmiękczyć je przed wybuchem gniewu. O tej przypadłości Wera co prawda nigdy nie napomykała, ale mogła po prostu wypierać fakt, że jej chłopak zмага się z takim problemem.

Idealizacja, projekcja, wyparcie. No cóż, życie. Wszystkie objawy typowe dla pierwszej fazy zauroczenia miłosnego. Teorie na temat genezy seksoholizmu nie wydawały się już tak klarowne jak opis objawów. Poważne zakłócenia w pierwszej czakrze na poziomie fundamentów, dużo strachu, przemocy wewnętrznej, brak bezpieczeństwa w pierwszych miesiącach życia, czasem uczucie zagrożenia już w łonie. Głód bliskości do matki... Czy to nie Piotr puścił kiedyś na kolacji żart:

Jaka kobieta może być szczęśliwa w małżeństwie?

Taka, która potrafi być szczęśliwa bez małżeństwa.

Nie mogłam się mylić. Wszystkie puzzle pasowały do łamigłówki.

Chwyciłam za telefon. Wera znów nie odpowiadała. Może to pierwsze oznaki depresji? Czy powinnam jej o tym wszystkim powiedzieć? Telefon Claudynki był dla odmiany ciągle zajęty. Zostawał tylko I-Ching. Wylosowałam Powrót, heksagram numer 24. *Ziemia na górze. Piorun na dole.* Wyrocznia donosiła, że problemy miną i znów będzie tak jak dawniej. *Nadzieje i marzenia spełnią się, jeśli będziesz cierpliwy i zaufasz odpowiedniej osobie.*

Jak miałam to zinterpretować? Włożyłam buty, owinęłam się szalem i zesłam na dół. Zapach kawy dobiegający z kawiarni na rogu połaskotał mi nozdrza. Poczulałam szaleńcze pragnienie, by chociaż zamoczyć usta w espresso. Poczuć przyjemną gorzkość na języku, która po chwili zamienia się w słodcz. Ale owinąwszy się szalem, tylko przyspieszyłam kroku. Tę akurat przyjemność musiałam sobie dozować. Dwie kawy tygodniowo to maksimum, które ustaliłam na cały okres ciąży. Obeszłam się więc zapachem i czułym wspomnieniem. Może dlatego czułam w ciąży tak wzmożoną ochotę na kawę, bo jej woń przypominała mi chwilę, kiedy poznałam Konstantego. Na ulicy Mokotowskiej zatrzymałam się przy witrynie z butami. Czy te czółenka w panterkę to mój *must have* tej jesieni? Ze szpilek już zrezygnowałam, za chwilę nie będę mogła chodzić nawet na koturnach, a te, mimo że na płaskim obcasie, wspaniale uwysmuklałyby nogi. Leżały idealnie. Kupiłam bez namysłu i rozpromieniona, z torbą pod ręką, ruszyłam w kierunku placu Zbawiciela.

— Nie ma to jak mieszkać w tym samym domu i nie mieć czasu na wspólną kawę, co? — usłyszałam.

— Kto niby nie ma czasu? — Ucieszyłam się na widok Patrycji, która nagle wyrosła mi zza pleców.

— Lukrusiu, jak się miewasz?
— Jak poszukiwacze szczęścia, którzy już wytyczyli trasę w GPS-ie — zażartowałam.
— Wyglądasz promiennie!
— Ty też! I do tego pachniesz czymś niebywałym. — Wciągnęłam nosem woń. — Nuta fiołka, białe piżmo?
— Bogini, tak! To Smart Andrea Maack.
— Chyba drzewo sandałowe, ale co jeszcze?
— Sama nie wiem.
— Bardzo do ciebie pasuje. Drzewno-cytrusowe zestawy Kocham najbardziej. A może ekspresowy sok w Charlottcie?
— Niestety, pędzę na spotkanie.
— Czyżby przystojny brunet? — zagałam prowokacyjnie.
— Owszem, ale nie mój. — Roześmiała się Patrycja.
— Żonaty?
— Nie, zajęty... Przez naszą wspólną znajomą Werę.
— Idziecie na kolację? — zapytałam trochę zmieszana.
— Nie, omawiać wielki projekt. — Roześmiała się Patrycja. — Muszę pędzić. Ale po niedzieli kawka koniecznie — rzuciła na pożegnanie, całując mnie w policzek.

Czy ta elegancka, zawsze dobrze pachnąca Patrycja może z nim sypiać? Dlaczego tak szybko się pożegnała zaraz po tym, gdy zadałam pytanie o kolację? Jeśli teoria, że chłopak Wery to seksoholik, jest prawdziwa, a wszystko na to wskazuje, najprawdopodobniej zdarza mu się też seks z jego współpracowniczkami. Patrycja mogłaby być w jego typie. W pewien sposób jest nawet podobna do Wery. Ale czy to możliwe, że nie miałyby żadnych skrupułów, skoro wie, jak bardzo moja przyjaciółka jest zaangażowana? Właściwie dlaczego tak atrakcyjna dziewczyna jak Patrycja ciągle nie ma stałego partnera? — pomyślałam. Oczywiście brałam pod uwagę te wszystkie niuanse, które przez wiele lat czyniły mnie singielką, jednak Patrycja wydawała się stworzona do bycia w parze. Miała tak zwany idealny wzorzec wyniesiony z domu, Kochających się rodziców z niedzielnymi obiadkami w pakiecie.

A jednak nie tylko nie miała stałego partnera, ale jak wyznała kiedyś po czwartym kieliszku prosecco — nie doznawała też orgazmów. Nasza niedościgniona detektyw Claudynka zadała jej wtedy kilka rzeczowych pytań i, jak to miała w zwyczaju, postawiła błyskawiczną diagnozę, że serce Patrycji wciąż jest przywiązane do jakiejś licealnej miłości, co blokuje jej macicę i w ostatniej fazie zatrzymuje dojście do przyjemności. Jeśli diagnoza ta miała jakiś procent prawdopodobieństwa, a co by mówić — werdykty Claudynki w sprawach ciała, seksu i mężczyzn zazwyczaj plasowały się wysoko — mogłoby to znaczyć, że Patrycja, niemogąca się rozładować seksualnie, a wciąż mająca nowych partnerów, podobnie jak Piotr jest seksoholiczką. Zrobiło mi się gorąco na samą myśl, jakie to wszystko nagle wydaje się klarowne. Zastanawiałam się tylko, w jaki sposób podzielić się tymi odkryciami z biedną Werą.

Skręciłam z Mokotowskiej w Koszykową i żeby ochłonić, wstąpiłam do perfumerii. Na chwilę odpłynęłam w krajobraz Afryki — drewno, spalony kamień, balsamiczny heban, słodycz wanilii, jałowiec przełamany lawendą, gdzieś w tym jeszcze jakaś świeża bryza, chłodzące piżmo, czar zmierzchu, przedsmak żywicznej nocy. Arcydzieło skomponowane przez Alberto Morillasa. Grenadille d’Afrique — to będzie moje marzenie, gdy nadejdą listopadowe szarugi. Zamówię je u Mikołaja.

Wysłałam oszołomiona. Ulicą Służewską doszłam do alei Wyzwolenia. Okna w mieszkaniu Wery pozostawały uchylone, ale na dźwięk domofonu nie było żadnej reakcji. Chwyciłam za telefon. Cisza. Wysłałam SMS. Bez skutku. Było dwadzieścia po dziewiętnastej.

Mało prawdopodobne, by o tej godzinie Wera miała spotkanie z jakimś klientem. Czy to możliwe, że sama dokonała już tych odkryć, które jej niosłam niczym posłaniec śmierci, i właśnie leży na kanapie po uprzednim połknięciu fiołki środków nasennych? Nieprzyjemny dreszcz przebiegł mi przez całe ciało. Wstukałam kod do drzwi głównych i wbiegłam na górę. Czułam, jak łomocze mi serce. Pukałam, dzwoniłam, bez skutku. Skoro Piotr był na spotkaniu z Patrycją, gdzie mogła się podziewać Wera o tej porze? Zaczęłam już rozważać pukanie do sąsiadów, ale kiedy z naprzeciwka wychyliła się przygarbiona staruszka, zaniepokojona moim waleniem do drzwi, zrezygnowałam z tego pomysłu. Ukłoniłam się tylko i zeszłam na dół.

Na parkingu stał jej samochód. Na tylnym siedzeniu leżały rulony papieru z planem jakiegoś wnętrza, jak to często bywało w jej aucie. Nie miałam żadnego pomysłu. Dochodziła za kwadrans dwudziesta, a ja umówiłam się z Konstantym na kolację. Ruszyłam do domu, żeby przygrzać mu dzieło dnia — moje gruszkowe risotto, które w ciągu zaledwie kilku godzin osiągnęło na Fejsie tysiąc lajków. Na placu Zbawiciela panował jak zwykle o tej porze gwar. Nagle wśród zatłoczonych stolików wyłapałam żółtą bluzkę Wery. Naprzeciwko niej siedział Konstanty. Przed nimi stały dwa kieliszki z winem. Skamieniałam.

ROZDZIAŁ 4

Jedni mówią sobie „tak”, inni wolą milczeć

Od kilku dekad przez naszą planetę przepływa wielka fala duchowości. Ewolucja świadomości trwa. Rozszczępienie między duchem a materią powoli dobiega końca. Budzimy się. Mówimy: jestem tu i teraz...

Już pierwsze słowa wykładu sugerowały, że krągły i wąsaty Hindus podczas warsztatu zdrowego odżywiania według ajurwedy nie poprzestanie na samym wymienianiu ogrzewających i chłodzących przypraw. Byłam zaintrygowana. Zwłaszcza od momentu, w którym zacytował słowa Dalajlamy o tym, że świat mają zbawić kobiety, i to już w naszym stuleciu. Kiedy podczas przerwy kawowej dostrzegłam Jeremiego z Claudynką, nie szczędziłam im słów wdzięczności za to, że zorganizowali ten warsztat.

— Coraz bardziej mi się podoba ta cała ajurweda, a już zwłaszcza to, że przynajmniej ona wierzy w zbawicielską moc kobiet — powiedziałam.

— Lukrusiu, z całym moim szacunkiem i wiarą w kobiety, chciałbym zauważyć, że on nie mówił, że „kobiety” zbawią świat, tylko „to, co kobiece” — sprostował Jeremi.

— A jaka to różnica? — zapytałam.

— *Bella*, chodzi o jakość, którą mają w sobie i kobiety, i mężczyźni, pierwiastek żeński i męski, *yin* i *yang* — wyjaśniła Claudynka.

— Znowu ta unifikacja, że wszyscy mają mieć to samo — zażartowałam.

— No ale bądźmy szczerzy, kobietom pójdzie z kobiecym łatwiej. Wy macie lepszy dostęp do tej energii — dodał Jeremi.

— Rozumiem, że narzędziem naprawy świata będzie szukanie pretekstów do zgody zamiast powodów do walki? To jest ta przewaga kobiecego nad męskim? — zapytałam.

— Chodzi o coś szerszego. — Zamyślił się Jeremi. — O doświadczenie czasu. O świadomość życia na ziemi, tu, w tej chwili, o zdolność powiedzenia, że cieszę się już samym faktem bycia tutaj.

Właściwie to, co Jeremi nazywał siłą kobiecej energii, która ma zbawić świat, dla mnie oddawało definicję zakochania. Czyż właśnie wtedy nie czerpiemy największej przyjemności z bycia tu i teraz — kiedy jesteśmy z najbliższą nam osobą, w pełni otwierając się na doznania obecnej chwili? Poprzez współodczuwanie tych samych zjawisk najbardziej czujemy swoją obecność, samych siebie. Rozumiemy się bez słów, po prostu jesteśmy. Razem, połączeni, wspólni. To takie proste. Dlaczego więc nie potrafiłam poczuć tego wczoraj? Zaraz po tym, gdy zmieszani moim widokiem Konstany i Wera w dziwny sposób zaczęli się tłumaczyć z przypadkowości swojego spotkania. W głowie wirowały mi najdziwniejsze myśli, także i ta najbardziej żenująca, że może Wera, zdradzana przez swojego chłopaka seksoholika, z rozpaczą próbuje się na nim odegrać, używając do tego Konstantego. Skąd przyszło mi do głowy tak absurdalne podejrzenie? Z niepewności? Z chwilowego zamętu umysłu? A może z hormonalnej sinusoidy, po prostu. Miotalam się z myślami, czy opowiedzieć o tym Claudynce, ale obecność Jeremiego przechylała szalę na stronę studzenia emocji w pojedynek.

Po przerwie zaczęło się to, co króliczki lubią najbardziej, czyli długi wstęp o walorach zieleniny, a zaraz potem pojawił się klasyk gatunku w dziedzinie strączkowego rozgrzewania, czyli przepis na dal z soczewicy. Zapowiadał się niezłe. Zestaw przypraw był znacznie bardziej złożony od tego, który praktykowałam przy swojej wersji dala. Proporcje były podane dość

ściśle. Na sto dwadzieścia gramów soczewicy mała szczypta asafetydy, której intensywny cebulowy zapach przyjemnie łagodnieje wraz z postępem gotowania. Dalej odrobina kurkumy, dokładnie tyle, ile zostanie na zamoczonym nożu zanurzonym w torebce z przyprawą. Pół łyżeczki majeranku, pół bazylii, szczypta tymianku, pół łyżeczki rozgniecionego kminku, jedna łyżeczka kminu rzymskiego, półtorej łyżeczki rozgniecionego kardamonu, jedna łyżeczka suszonego imbiru, pół łyżeczki kolendry, kilka ziaren kozieradki, jedna łyżeczka chili, dwa ziela angielskie, jeden liść laurowy, jeden mały ząbek czosnku.

Wypróbowałam przepis zaraz po przyjściu do domu. Nie pożałowałam. Był to najlepszy dal, jaki kiedykolwiek przyrządziłam. Czym prędzej wrzuciłam przepis na blog. Zrobił furorę. Zadziałał najwyraźniej kobiecy pierwiastek, ten, który ma zbawić świat jeszcze w obecnym stuleciu, a w tym akurat przypadku świetnie wpasował się w tu i teraz, bo rozgrzewający dal wpisał się w aurę dzisiejszego deszczu i chłodu, który zniemacka zawiadomił mieszkańców Mazowsza, że słoneczna jesień to jeszcze nie wszystko, czego można się o tej porze roku spodziewać. Podekscytowana czekałam, jak ta kwintesencja udanej żeńskości oczaruje wieczorem męskość należącą do mojego chłopaka, kiedy nieoczekiwanie zadzwonił Konstanty. Najczulszym ze swoich tonów przeproszał mnie za to, że dziś nie przyjdzie, bo ma do późna dodatkowe sesje z klientami, a potem jeszcze musi popracować przed komputerem, żeby przygotować na jutro prezentację. Chciałby oczywiście bardzo mnie przytulić, ale w tej sytuacji lepiej, by spał u siebie w domu, żeby mnie nie budzić nocnym kręceniem się i włączonym światłem.

Nie nalegałam. Zaraz po tym, jak odłożyłam słuchawkę, spróbowałam spokojnie oddychać, licząc szeptem: *uno... due... tre...* Ale nie na wiele się to zdało. Zaparzyłam sobie melisę i zanurzyłam się w lekturze książki o duchowym położnictwie. Tajniki witamin i minerałów, te wszystkie wykrzykniki typu: niedobór B12 wywołuje niedokrwistość, więc jedz dużo produktów bogatych w folacynę (wiwat obiekty ciemne liściaste!), jedz koniecznie kiełki lucerny, bo tam znajdziesz minerały — dobrze już to znałam, zanim jeszcze zaszłam w ciążę. W pierwszych tygodniach zdążyłam poznać urok wrażliwych i nabrzmiątych piersi, byłam przygotowana na to, że lada moment pojawi się w nich przezroczyście-żółtawa siara. Dobrze wiedziałam i to, że dobroczynne w białko rośliny strączkowe, gdy dodamy do nich kurkumę, majeranek i kminek, nie wywołują wzdęć. Nawet i to, że ocalenie przed rozstępami przynosi wcieranie w skórę oleju sezamowego zmieszanego z kokosowym i szczyptą kurkumy. W pełnej gotowości stałam wobec nadciągających być może niebawem hemoroidów, na które zakupiłam zioła oczaru, kory dębowej i alun do robienia ciepłych nasiadówek. Nic nie było mi straszne.

Jedynie, co wydawało się nowe i czego nie umiałam sobie wyobrazić, to kwestia seksu w życiu kobiety ciężarnej. W tej sprawie nie mogła mi pomóc nawet wszechstronnie doinformowana Claudynka, która o ciele wiedziała niemal wszystko, ale ciąża była dla niej nieznanym jeszcze rewirem. Wszystkie trzy wkroczyłyśmy w czterdziestkę, ale tylko ja, jak na razie, miałam debiutować na parkiecie rozrodczym. I to ja miałam przetrzeć szlaki życia seksualnego w tym szczególnym okresie. Ajurwedyjska położna donosiła, że współzycie w ciąży to nie tylko przyjemność, ale coś w rodzaju troski o zdrowie. Kobiety aktywnie współzyczące w ciąży — dowodziła ekspertka — o wiele rzadziej są narażone na pęknięcie krocza podczas porodu. Jeszcze bardziej niż krocze zajmowało ją emocjonalne połączenie partnerów przez życie intymne. Dobry seks w ciąży przekłada się podobno na energetyczną więź partnera z dzieckiem. Brzmiało to naprawdę optymistycznie, do momentu, gdy wstałam z łóżka i stanęłam przed lustrem. Kończył się pierwszy trymestr, a ja już czułam, że wraz z nim kończą się akceptowalne

rozmiary mojego ciała. Zaraz potem zaczęła się wzmożony stan krąglej i obsesja maskowania jej. Jak w takim gabarycie czuć się seksowną?

Ze studni wątpliwości wyrwał mnie telefon.

— Lukrusiu, dzień dobry, wyobraź sobie — udało się!

— Co takiego?

— Wynając białe konie, no co za szczęście, wszystko, po prostu wszystko układa się pomyślnie — entuzjazmowała się matka.

— Wynajęliście do ślubu powóz z końmi? — zapytałam lekko oszołomiona.

— Nie, po co powóz? — Zdziwiła się. — Tylko my w siodłach na białych koniach, w galopie przez łąki, powiewający welon, ach, to będzie, córeńko, najpiękniejszy ślub, na jakim będziesz w życiu. — Rozmarzyła się matka.

— Nie wątpię — powiedziałam. — Ale, mamuś, gdzie wy zrobicie ten galop, jeśli mogę spytać? Z Żoliborza na plac Zamkowy do Urzędu Stanu Cywilnego? — Staralam się utrzymać powagę, ale nie przychodziło mi to łatwo.

— Ech, Lukrusiu, ta twoja ciąża i wieczne rozkojarzenie. Mówiłam ci, że finalnie jednak urzędnik przyjedzie dawać nam ślub od razu tam, gdzie będzie wesele, w tej posiadłości w Kampinosie — wyjaśniła spokojnie matka. — A my przygalopujemy na polanę, na której odbędzie się ślub.

— A w razie deszczu? — zapytałam. — Nie żebym złorzeczyła, ale wiesz, jak to bywa z jesienną słotą.

— Nie przewidujemy deszczu — ucięła szybko matka.

Jej ton świadczył, że dotknęłam czulego punktu programu. Wolałam dalej nie drażnić. Bądź co bądź wiedziałam, że moja ironia nie jest całkiem niewinna. Płynie z zazdrości. W końcu to matka, a nie ja, potrafiła przeforsować własne pragnienia i skutecznie realizować plan nowego, wspaniałego życia według własnego widzimisię. To ona miała mieć już niebawem ślub swoich marzeń. A ja tymczasem nie tylko nie umiałam zdobyć się na rzeczową rozmowę z Konstantym, w której powiedziałabym mu wprost, że musimy wreszcie razem zamieszkać, bo męczy mnie to czekanie i niepewność, kiedy się zobaczymy. Ja nawet nie umiałam rzeczowo ustalić, dlaczego nagle mój chłopak, od momentu, kiedy dowiedział się o ciąży, stał się o wiele bardziej zajęty niż na początku naszego związku. A co gorsza, nie wiedziałam, jak skutecznie dowiedzieć się, z jakiego powodu przyszedł ojciec mojego dziecka pić wieczorem wino z moją najlepszą przyjaciółką, w czasie, gdy miał być na sesji z klientem.

Przecucie podpowiadało mi, że to wcale nie było, jak zdawkowo poinformował mnie Konstanty, przypadkowe spotkanie, kiedy akurat przechodził przez plac i zobaczył siedzącą w Charlotte Werę. Czułam szóstym zmysłem, że coś się za tym kryje. Za nic w świecie nie chciałam jednak uwierzyć, że moja siostra z wyboru, najukochańsza, najwierniejsza i najbardziej niezawodna Wera, która od chwili rozpoczęcia roku szkolnego, gdy ją pierwszy raz przed laty zobaczyłam, stała się nieodłączną częścią mojego życia, wspierającą mnie na wszystkich jego zakrętach i rozstajach, mogłaby w najgorszej nawet rozpaczy szukać pocieszenia w moim chłopaku. Nawet jeśli Piotr był najplugawszym seksoholikiem na ziemi i Wera już to odkryła, nie mogłaby przecież naruszyć z tego powodu naszej przyjaźni.

Chwyciłam za komórkę. Telefon Wery tym razem był zajęty. Czy zapytać ją wprost, po co umówiła się wczoraj z Konstantym? Weszłam na stronę wyroczni. Heksagram 16, czyli Entuzjazm. *Piorun na górze. Ziemia na dole.* I-Ching sugerował, by zaufać swojej intuicji i robić to, co dyktuje serce. Iść do przodu, bo każde działanie zaowocuje pomyślnym skutkiem.

Zaparzyła ziele skrzypu polnego. Jego ziemisty aromat wypełnił pokój kojącym ciepłem. Usiadłam do laptopa. Jeśli istniała jakaś część mojego życia, która wywoływała we

mnie bezgraniczny entuzjazm o każdej porze dnia, był to mój blog. Mój rozrastający się z dnia na dzień przylądek w oceanie wirtualnych głębin, który wciąż przyciągał do siebie nowych poszukiwaczy smaków i degustatorów życia, a teraz jeszcze przyszłych matek. Zajął się odpisywaniem na maile, których dziesiątki od wczoraj spłynęły do skrzynki, lajkowałam komentarze, udzielałam odpowiedzi na pytania. Pochłaniało mi to coraz więcej czasu, ale przynosiło satysfakcję. Precyzja pytań i celność spostrzeżeń wprawiały mnie w zdumienie i zachwyty. Ale nawet dzięki krótkim zdaniom zachwyty czy wrzuconym w przelocie dobrodusznym emotikonom życie nabierało całej gamy smaków. A ja uczyłam się odmieniać to wstydlive słowo. Jutro miałam być gościem na konferencji kobiet sukcesu w wirtualnym świecie i poświęcić temu swoje wystąpienie. Zaczęłam przygotowywać jego treść.

Smak wstydlivego słowa na S

W odróżnieniu od mężczyzn ciągle mamy z nim kłopot. Już łatwiej przechodzi nam przez gardło mówić o seksie niż o własnym sukcesie. Wieki patriarchy zrobiły swoje. Wolimy dygać i przeproszać za najdrobniejsze niedociągnięcia, niż przyznać, że coś nam się udało. Że wystartowałyśmy i dobiegłyśmy do pierwszej mety, a teraz triumfalnie, nie zwalniając tempa, biegniemy dalej.

Sukces jest drogą. Naszymi potknięciami i momentami, w których się podnosiłyśmy. Wszystkimi potrawami, które w życiu przesoliliśmy i próbowaliśmy potem dosłodzić. Przypaleniami, które przyszło nam zeskrobywać.

Sukces to te wszystkie lęki, którym wyszliśmy naprzeciw, choć wcale nie byliśmy pewne, czy mamy na to siłę. To te granice, które przekroczyliśmy, gdy cały świat mówił nam: „STOP — ty możesz tylko dotąd”.

Sukces to odwaga powiedzenia „Nie!”, gdy inni domagają się „Tak!”, a ty wiesz, że akurat nie masz go w sobie. To każde z tych miejsc, w których czujesz, że jest ci bliżej do siebie samej, a dzięki temu do innych.

Sukces to każdy nasz najmniejszy ruch, który niesie nas ku życiu — takiemu, jakie wybrałyśmy.

Oklaski długo dźwięczały w moich uszach. Podchodziły do mnie kolejne osoby, gratulując, wręczały swoje wizytówki. Czułam ciepło w ciele i bulgoty w brzuchu. Nawet nie mdłości, tylko coś na kształt poruszenia, jakby ta mała istotka wewnątrz mnie, kręcąc się, próbowała zawiadomić, że odbiera cały ten zamęt, ale nie bardzo może go pojąć. Słowo „sukces” brzęczało mi w uszach, odbijało się z ust do ust jak echo. Przyglądałam się twarzom, mimice, gestom, które zdradzały więcej niż słowa. Ujawniały, ile w nas apetytów, niezaspokojonych głodów. I odsłaniały jeszcze jedną prawdę — że na drodze do sukcesu każdy staje sam. Dopiero wtedy, gdy znajdzie go w sobie, może pomnażać go wśród innych. Jeśli szuka sukcesu we współniku, inwestorze, partnerze, znajdzie tylko swoje odbicie. Swój głód.

— Olsniłaś wszystkich — usłyszałam z boku głos Konstantego, który wręczył mi różowy

kwiat kurkumy.

— O! Dziękuję, *amore mio*, zaskoczyłeś mnie. — Ucieszyłam się. — Mówiłeś, że musisz zawieźć Lenkę na prześwietlenie i nie zdążysz, a tu proszę...

— Zawsze tam, gdzie ty — zaintonował teatralnym szeptem Konstanty, nachylając się nad moim uchem.

Już chciałam dodać: „Ładne mi zawsze” lub coś w tym stylu, ale w porę sobie przypomniałam, że najgorszy cios, jakim możesz znokautować samą siebie, to zniechęcić faceta do mówienia ci miłych rzeczy przez ich podważanie. Jak mawiała ciotka Aurelia: *Za każdą niezadowoloną kobietą kryje się jakiś słaby facet, a w każdym facecie kryje się lęk przed zasugerowaniem mu słabości.*

— Uważaj, zaraz poznasz cały zastęp kobiet sukcesu — powiedziałam na widok zbliżających się w moją stronę kilku panelistek.

Dziewczyny, które do mnie podeszły, były jak ognie. Każda na swój sposób płonąła. Jedna miała ceglaste usta, druga elektryzująco długie rzęsy, trzecia niebotyczne czerwone szpilki, czwarta zabójczo obciskającą ołówkową spódnicę, która podkreślała jej piękne wcięcie w talii. Konstanty przyglądał im się z zainteresowaniem. A one gratulowały mi występu, komentowały poszczególne wątki.

— Największe kłamstwo, jakie w sobie nosimy, to paranoja, że inni są zawsze lepsi od nas — powiedziała laska w czerwonych szpilkach. — To nas paraliżuje.

— Tak nauczyłyśmy się widzieć ludzi. W innych dostrzegamy zawsze to, co lepsze, a więc to, czego nam brak. Zamiast spojrzeć na całość jak na paletę możliwości, my, kobiety, definiujemy się poprzez braki — zgodziła się z nią ceglastousta blondynka.

— W ten sposób wychowuje się dziewczynki, wmawiając im, czego jeszcze nie umieją — dodała właścicielka wciętej talii.

— Ale chłopcom też się to powtarza. Często służy to motywacji. Jeśli czujesz niedosyt, pracujesz, by stać się w czymś lepszy — wtrącił się niespodziewanie Konstanty.

— O, nie sądzę — zaprotestowała ceglastousta. — Chłopcom mówi się raczej: nie umiesz jeszcze tego i tego tak dobrze, ale masz wystarczająco dużo siły, by się za siebie wziąć. Zrób to, a zobaczysz, że wkrótce będziesz to umiał — dodała.

— Gdyby rzeczywiście tak było, skąd by się wzięły te zastępy lwic, które przejęły stery nad dzisiejszym światem i wciąż doskonałą swoje kompetencje? — powiedział Konstanty, serwując jeden ze swoich najbardziej kokieciarskich uśmiechów.

— W celu? — zapytała uwodzicielsko długorzęsa.

— By uczynić mężczyzn istotami podległymi — dokończył Konstanty, patrząc jej w oczy.

— Bo mają dosyć rozpedzonych ujeżdżaczy, przy których nie udaje im się zaznać przyjemności — wtrąciła ceglastousta.

— Jakich ujeżdżaczy? — brnął dalej Konstanty.

— Tych fundamentalnych — rzuciła wyzywająco długorzęsa i wypięła biust. — Współczesny samiec powstrzymuje w kobiecie dojście do przyjemności, bo myśli tylko o własnej i wierzy w kult cierpiętnicy, a ta cierpiętnica to relikwinię minionej epoki. Dawno już skończyła, tak jak te wszystkie dziewice niewiniątka.

— A może kobiety same boją się swoich orgazmów? — wypalił niespodziewanie Konstanty, a na jego twarzy pojawił się nieznan mi rodzaj dzikiego ożywienia. — Orgazm to obnażenie, finał i nowy początek.

Fotograf, który podszedł, by zrobić mi portret do mediów społecznościowych, ocalił mnie przed eksplozją. Od dobrych kilku minut walczyłam ze sobą, chcąc tę ognistą siłę, która

napływała gdzieś z głębin brzucha i w okolicy czakry gardła bulgotała, gotowa uwolnić całą złość, powstrzymać przed wylaniem. *Uno... due... tre...* Kliknięcia aparatu fotograficznego spowolniły mój oddech. Przypomniałam sobie jedną z rozmów z Claudynką. Zazdrość to zastępstwo brania — streszczała nam swoją lekcję z duchowego coachingu. Jeśli nie umiesz od kogoś brać, nie umiesz przyjmować, nie mogłaś brać w domu jako mała dziewczynka, pojawia się w tobie coś zastępczego, uczucie zazdrości...

Jeszcze w aucie czułam to lekkie drżenie. Kiedy przez oświetlone ulice miasta Konstanty mknął w kierunku Pięknej. Ciało wychylało się w przód, a potem wstrzymywało się. Słowa podpływały do ust i grzęzły w gardle. Fontanny uczuć rozbryzgiwały się w małych niewidzialnych drobinkach. Czy to przez ciężę ciągle czuję wszystkiego za dużo? Czy przedtem czułam za mało i dopiero teraz hormony rozmroziły mi ciało i otworzyłam się na coś więcej? Na życie. Poszczególne tkanki dopiero uczą się mnie prawdziwszej.

— Tak się, kochanie, cieszyłaś, że nasze dziecko przyjdzie na świat w chińskim roku psa, a nie koguta, a to będzie podobno bardzo wybuchowy rok — odezwał się Konstanty.

— Jakikolwiek by był, energia przyjacielskiego psa o wiele lepiej się kojarzy niż egocentrycznego koguta — odpowiedziałam. — A dlaczego ma być wybuchowy?

— Mają nastąpić pęknięcia baniek spekulacyjnych, bitcoin jeszcze chwilę poszybuje, aż spadnie z hukiem. Wera mówiła, że na rynku nieruchomości już widać podbijanie cen, nadpodaż mieszkań do wynajmu i tego typu tendencje — ciągnął rzeczowo Konstanty.

— Czy przyrost mieszkań do wynajmu nie jest po prostu odpowiedzią na trend tymczasowości, przemieszczania, wypożyczania rzeczy zamiast ich kupowania? — zapytałam, powstrzymując się od dociekań, czy o tych nieruchomościach rozmawiał z Werą wtedy w Charlotte, czy może jeszcze kiedy indziej.

— Miejmy nadzieję, że trend tymczasowości powoli wyjdzie z mody, świat zatoczy koło, a my znów powrócimy do celebrowania tego, co trwałe — odpowiedział Konstanty, parkując samochód pod moim domem.

Wieczór był chłodny. W powietrzu czuć już było przedsmak tej wilgoci, która przenika przez powłoki przewiewnych jesiennych płaszczy, domaga się szalików w miejsce cienkich apaszek i roznosi wokół zapach nadgnitych liści. Konstanty zaproponował, żebyśmy zjedli przed snem japońską zupę. Skręciliśmy w ulicę Mokotowską, kierując się w stronę placu Zbawiciela. Jeszcze kilka dni temu o tej porze pełen ludzi, dziś wydawał się pustawy i spokojny. Oświetlone kościelne wieże wsuwały się w niebo jak dwie nieruchome rakiety, rzucając na sąsiedni budynek pokraczne cienie. Przez oszklone ściany restauracji obserwowaliśmy przechodniów dopinających kurtki i rozwiane na wietrze poły płaszczy. Gorące miso przyjemnie rozgrzewało nam wnętrza.

— Masz białą plamkę na włosach, co to? — zapytałam, dotykając jego głowy.

— Nie wiem, coś mi musiało skapnąć. — Wzdrygnął się Konstanty, przyglądając fryzurę.

— Może to ptasia kupa na szczęście? — zaśmiałam się.

— Oby nie z kruka — odpowiedział.

— Za mała, zresztą sezon na kruki jeszcze się nie zaczął — skwitowałam. — Kochanie, pamiętasz, że jutro jedziemy odebrać prezent ślubny dla mojej mamy? — Przypomniałam sobie.

— Nie. To znaczy tak, o której?

— Kończę warsztaty kulinarne o siedemnastej, odbiór do dziewiętnastej — powiedziałam.

— W takim razie zabiorę cię z warsztatów jakieś dwadzieścia po piątej, dobrze? — zaproponował Konstanty i pogładził mnie po ramieniu.

Przyjemne ciepło rozlało się po moim ciele. Moja skóra z każdym tygodniem stawała się

czulsza na dotyk. Wewnętrzna pulsacja wypełniała życiem najodleglejsze tkanki. Czułam przyjemny ruch, jakieś delikatne drgania w całym ciele, jakby ta mała istotka, ożywiona impulsem płynącym od Konstantego, wykonywała mikroskopijne ruchy motyla. Uświadomiłam sobie, że do wyników badań genetycznych mamy jeszcze wiele dni. Długich dni, pełnych niepewności. Na samą myśl lekko się spięłam ze strachu. Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze. Położyłam rękę na brzuchu i przymknęłam oczy.

— To chyba jest dziewczynka, czuję to — szepnęłam, przytulając się do Konstantego.

— Hm... Dziwne, ja czuję, że to chłopiec. — Roześmiał się.

— Czy to się nazywa wojna płci? — zapytałam rozbawiona.

— Nie, to zwykła solidarność jąder i jajników.

Przytuleni ruszyliśmy w stronę domu. Wiedziałam, że to była jedna z tych stosownych chwil, którą każda zdroworozsądkowa kobieta wykorzystałaby do rozpoczęcia rozmowy o tym, jak będzie wyglądać nasza wspólna przyszłość po narodzinach dziecka. Najwyższy czas, żeby się zastanowić, czy nie powinnam się do niego przeprowadzić. Jak przemeblować jego dom, żeby wstawić w zacisznym miejscu łóżeczko. Wszystkie te rzeczowe pytania cisnęły mi się na usta od tyłu tygodni, ale i tym razem ugrzęzły w gardle. Nie miałam odwagi ich zadać, jakbym się bała, że coś zapeszę. Może po prostu pragnęłam, żeby to Konstanty zaczął tę rozmowę, żeby z całą swoją męską energią i praktyczną wizją przedstawił mi jakąś propozycję. Ale może przyklejona do jakiejś romantycznej kliszy wymagałam zbyt wiele, nie chcąc uznać, że w epoce, w której zastępy lwic — jak je nazwał — przejęły stery nad światem, to kobieta musi wziąć sprawy w swoje ręce. I jeśli to ja nie rozpocznę tego wątku, obudzę się z ręką w nocniku, samotnie lulając dziecko w swoim jednoosobowym mieszkaniu. A może on czeka do wyniku badań genetycznych? — przebiegło mi przez myśl. Może tak naprawdę umiera ze strachu o to, czy dziecko jest zdrowe, ale nie ma odwagi się tym podzielić. Znów wzięłam głęboki oddech.

Nie zauważyłam, kiedy zrobiło się tak strasznie zimno. Przenikliwy wiatr rozwiewał mi włosy. Zastanawiałam się, czy ta maleńka istota w środku mojego brzucha może odczuwać zmiany pogody. Już bije w niej serce, już pracuje jej mózg, musi więc odczuwać, kiedy robi mi się ciepło, a kiedy zimno. Odruchowo mocniej opatulilam się płaszczem. Ono będzie ciałem z mojego ciała. Z krwi, limfy, wszystkiego, co we mnie płynie. Tak jak ja jestem z ciała mojej matki. Układ nerwowy dziecko bierze z taty. Zatem w moim brzuchu tkwi pobrana z Konstantego elektryka umysłu. Teraz jest we mnie i będzie jeszcze przez kilka miesięcy. W mojej macicy, która do mnie mówi, która nasłuchuje. Układa swoją opowieść obok mojej.

Kładąc się do snu, ułożyłam ręce na brzuchu, cały czas myśląc z wdzięcznością o swojej miednicy. O tym tajemniczym centrum dowodzenia, które decyduje, czy ponieść życie, czy wydać je na świat. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele zależy od tego, jakie relacje mamy z własną miednicą. To od jej energii zależy nasze przyciąganie względem płci przeciwnej. To z niej płynie komunikat, jak od życia brać, a jak w życiu dawać. To od rozluźnienia miednicy zależy nasze poczucie bezpieczeństwa w świecie, nasza pewność siebie. W macicy zaczyna się nasze połączenie ze stopami i stóp z ziemią. To w niej zapisały się nasze żale, smutki, nasze niedożyte rozpacze i bolesne zranienia, tęsknoty, porzucenia. Wszystko jest tam.

Wtuliłam się w Konstantego, tak by zetknąć się brzuchem z jego brzuchem, żeby te dwa energetyczne centra były blisko siebie, żeby jego męskie ciało mogło ogrzewać moje żeńskie. Czułam niezwykłą błogość. Jakby przepływające między nami ciepło dawało mi nieskończone poczucie bezpieczeństwa.

Poranek przyniósł roz pogodzenie, a kolejny tydzień ciąży uwolnił mnie na dobre od mdłości. Tymczasem ta cała ajurweda, którą Jeremi, chłopak Claudynki, z taką wytrzymałością mi aplikował, zarzucając mnie książkami uzupełniającymi wiedzę z kursu, naprawdę zawróciła mi w głowie. Im więcej jej przepisów wdrażałam w życie, tym lepiej się czułam. Wiedziałam już na pewno, że poświęcę dużo czasu na jej zgłębianie. Na dzisiejszych warsztatach kulinarnych, które prowadziłam dla managerów korporacji telekomunikacyjnej, zaczęłam od wykładu o tym, jaki wpływ ma oczyszczanie organizmu na dobre trawienie, a zaraz potem zaproponowałam na trawienie kiczadi, które niedawno nauczyłam się przyrządzać na swoich ajurwedyjskich szkoleniach.

— Przyprawy, przyprawy i jeszcze raz przyprawy... Bez nich nie ma życia i zdrowej kuchni! — zawołałam ochoczo i przeszłam do instruowania, jak przygotować potrawę. — Potrzebujemy: pół łyżeczki nasion kuminu, trzech listków laurowych, dwóch łyżek masła ghee, jednej łyżeczki nasion kolendry, pół łyżeczki kurkumy, jednej łyżeczki oregano, pół łyżeczki soli morskiej, jednego paska wodorostów kombu o długości około siedmiu i pół centymetra, jednej łyżeczki świeżo utartego imbiru, pół filiżanki odsączonego po ugotowaniu ryżu basmati, pół filiżanki dalu z ugotowanej fasoli mung, około pięciu lub sześciu filiżanek wody, trzech filiżanek świeżych, pokrojonych w centymetrową kostkę warzyw sezonowych (oprócz tych z rodziny psiankowatych, czyli pomidorów, ziemniaków, bakłażana, papryki). Najpierw podgrzewamy masło ghee...

— A skąd bierzemy takie masło? — rzucił ktoś z sali.

— Można je kupić, można zrobić. Na koniec podam przepis. Dziś mamy je już gotowe, a więc lekko podsmażamy na nim kumin, liście laurowe, kolendrę i oregano. Dodajemy kurkumę, ryż, fasolę i mieszamy. Dolewamy stopniowo wodę, wrzucamy kombu i imbir. Gotujemy na niedużym ogniu przez około godzinę. A potem dorzucimy warzywa i poczekamy, aż zrobią się miękkie.

Aromatyczna mieszanka kiczadi wypełniła zapachem całą salę. Odstawiłam gotującą się na małym ogniu potrawę i zaczęłam kolejną część miniwykładu o tym, jak zmienia się nasze zapotrzebowanie na smaki w zależności od naszych stanów emocjonalnych i uczuć, jakie przeżywamy. Posypały się pytania, które przyprawy są lepsze na jesienną chandrę singla, a które na melancholię dla pary, która rzadko ma dla siebie czas, a pragnie rozniecić przygaszone uczucia. Byłam w swoim żywiole. Kruszyłam kolejne przyprawy, łączyłam je, dając do powąchania, i opowiadałam, jak je stosować. Nawet nie zauważyłam, kiedy czas dobiegł końca i zrobiła się siedemnasta. Zakończyłam zajęcia, naładowana jak zwykle świetną energią uczestników. Ukołysana zapachami potraw. Wypełniona poczuciem, że to, co robię, kogoś cieszy. Z marszu odpaliłam swój fanpage, wrzuciłam kilka fotek i dodałam wpis.

Klarownie o klarowaniu

Odmladzające, lecznicze, smaczne! Nadaje się do jedzenia, smażenia i odmladzania... Oto ono: pozbawione pochodzących z mleka substancji stałych, jest lekkostrawne i wzmacnia organy trawienne.

Działa przeciwzapalnie, wzmacnia odporność, pomaga leczyć zaparcia, choroby skóry i oczu. Wspomaga trawienie i przyspiesza metabolizm. Równoważy nadmiar kwasów żółdkowych, a przez to odtwarza śluz na ścianach żołądka. Ułatwia przyswajanie witamin A, D, E i K, rozpuszczalnych w tłuszczach. Pomaga w gojeniu się drobnych ran po oparzeniach

i innych, jeśli zostanie nałożone szybko na uszkodzony obszar skóry.

A przede wszystkim, jak twierdzą eksperci od ajurwedy, przywraca równowagę w organizmie.

Co najważniejsze, możesz je szybko przyrządzić i dość długo przechowywać.

Przygotuj:

- 2 kostki niesolonego masła (minimum 82-procentowego)

Wystarczy tylko włożyć je do garnka o grubym dnie i doprowadzić do wrzenia. Następnie zmniejszymy ogień, by masło zaczęło się lekko wytapiać.

Pojawiającą się na powierzchni pianę zbieramy łyżką i usuwamy. Mniej więcej po kwadransie odstawiamy naczynie. Przez gazę przecedzamy tłuszcz z roztopionego masła. Szczelnie zamykamy je w słoiku i wstawiamy do lodówki.

Poprawiłam niesforne włosy, które pod wpływem ciężowej burzy hormonalnej zaczęły mi się mierzwić, i sięgnęłam po telefon. Zanim zdążyłam zadzwonić do Konstantego z pytaniem, w którym miejscu mam czekać, posypały się lajki i komentarze o cudownych właściwościach masła ghee. W międzyczasie Konstanty wysłał mi SMS. Z przeprosinami, że niestety nie uda mu się dziś odebrać ze mną prezentu dla mojej matki, bo musi pędzić na zebranie szkolne Lenki.

W jednej chwili uszło ze mnie powietrze, jak z przebitego balonika. Czy tak już będzie zawsze? Najpierw Lenka, potem praca, a gdzieś na szarym końcu ja i nasze dziecko? *Uno... due... tre...* Próbowалам brać powolne oddechy, ale łzy napłynęły mi do oczu. Chciałam przekierować myśli, ale nie potrafiłam ich pochwycić. Gonily jak szalone, wlekąc za sobą najgłupsze lęki o samotnym macierzyństwie. Doskonale wiedziałam, że to właśnie myśli są o wiele mocniejszym przekąźnikiem niż urządzenia nadawcze. A te, które teraz nadawałam w świat, miały pewnie najniższe vibracje z możliwych. Tyle że ja nie umiałam tego zmienić.

W drodze do domu zrobiłam zakupy warzywne. Po powrocie postanowiłam sklarować kostkę masła — do jutrzejszych warzyw i po to, by dołączyć fotki do wpisu, który wrzuciłam na blog zaraz po swoim wykładzie. A przede wszystkim po to, by się szybko czymś zająć i nie irytować na Konstantego. Roztopiłam masło, w międzyczasie podlewając rośliny. Stojąc przy otwartym balkonie, nawet nie zauważyłam, kiedy masło zaczęło się przypalać. Smród wypełnił całe mieszkanie. Stanęłam nad patelnią i wydałam z siebie dziki okrzyk rozpaczy... A po chwili wybuchnęłam gromkim śmiechem.

Chwyciłam za kartkę przypiętą na lodówce, odwróciłam ją na czystą stronę i szybko napisałam:

Sukces

to też te potrawy, które w życiu przesoliłyśmy

i próbowaliśmy potem dosłodzić.

Sukces

jest przypaleniami,

które przyszło nam zeskrobywać...

ROZDZIAŁ 5

Szukaj szczęścia tam, gdzie jeszcze go nie było

Nowe wzorce męskości! Oto, czego potrzebujemy, żeby cywilizacja nie rozsypała się jak domek z klocków. Niby obie strony wyrażają gotowość i mają dobre intencje, aby zburzyć stare schematy kulturowe, ale nikt nie ma pomysłu na nowe. Wszystkie jednogłośnie mówimy NIE tradycyjnemu modelowi męczyzny, żądamy partnerstwa, ale czy aby na głębokim poziomie nie oczekujemy, że męczyzna zachowa się jak męczyzna? Że to on podejmie temat naszego bezpieczeństwa, wizji wspólnego domu, przyszłości? Od rana tłukłam się z myślami, chodząc między stoiskami w Hali Gwardii w poszukiwaniu wiktuałów na kolejne warsztaty kulinarne pod hasłem *Partnerstwo w kuchni*. Jak zwykle, zgodnie z zasadą: „podobne przyciąga podobne”, ten sam maraton myśli rozgrywał się w wielu kobiecych głowach. Dowodem na to był brzęczący w mojej torbie telefon.

— *Ciao, bella*, jak się czujesz? — zawołała Wera, a stukot jej szpilek w tle dowodził nie tylko tego, że znów gdzieś pędzi, ale że ponownie jest w kontakcie z atrybutami swojej kobiecości.

— *Ciao*, moje ciało oswaja swoje nowe obwody — zażartowałam. — A jak ty? Zapadłaś się ostatnio pod ziemię, zastanawiałam się, czy nie porwał cię jakiś nowy książę — rzuciłam dwuznacznie.

— Mój książę to raczej rwie moje nerwy niż mnie. — Westchnęła Wera, a ton jej głosu sugerował, odwrotnie niż powrót do chodzenia na obcasach, że sytuacja nie wygląda najlepiej. — Nie wiem sama, Lukrusiu, ale obawiam się, że żyjemy w czasach ostatecznego końca relacji damsko-męskich — dodała.

— Oho, czyżby Piotr już został pogrzebany? — zapytałam, zastanawiając się, czy Wera odkryła bolesną prawdę o tym, że ten jej bajeczny supermen to najprawdopodobniej seksoholik.

— Lukrusiu, jest o wiele gorzej. On po prostu jest kimś innym niż ten męczyzna, w którym się zabujałam — wyznała Wera.

— No wiesz, nie chcę cię martwić, ale to klasyka gatunku, oni zawsze na początku opromieniają nas światłem, a potem przekierowują reflektory na inne sprawy — próbowałam ją pocieszyć, spodziewając się najgorszego. — Myślisz, że Konstany poświęca mi tyle czasu, co na początku? Jest dokładnie na odwrót.

— *Bella*, wszystko, co robi Konstany, jest nakierowane na wasze wspólne życie, a Piotr... — jęknęła Wera.

Czerwona żarówka, która zaświeciła błyskawicznie w mojej głowie, sugerowała, że powinnam zapytać, skąd niby w Werze taka wiedza na temat tego, na co nakierowany jest Konstany. Wiedza dość tajemna, do której nawet ja jakimś dziwnym trafem nie mam dostępu. Ale to, co dobiegało z drugiej strony telefonu, nie było zwykłym pociągnięciem nosa zainfekowanego katarem. W sekundę uświadomiłam sobie, że Werze łamie się głos.

— Weri, co się stało? — zapytałam na dobre zaniepokojona.

— *Bella*, Piotr nie był ze mną szczerzy — powiedziała, przetykając łzy.

— Zdradził cię? — zapytałam wprost.

— Gorzej!

— Zdradza cię z kilkoma? Weruś, czy on jest sekso... — urwałam, nie mając odwagi zaatakować Wery w takiej chwili tym obleśnym słowem.

— On jest ojcem, *bella!* Rozumiesz to? Ojcem! — wrzasnęła Wera, zalewając się łzami.
— Madonno! Chcesz powiedzieć, że on cię zdradził i spodziewa się z kimś dziecka? — wydusiłam po chwili milczenia.

— Lukrusiu, jego syn ma trzynaście lat, możesz sobie to wyobrazić?

— Jak to? — zapytałam oszołomiona, zdejmując z ramienia torbę z zakupionymi właśnie przyprawami, i usiadłam na ławce, by ochłoniąć z wrażenia.

— Przez kilka miesięcy naszego związku ani raz nie wspomniał, że ma syna — chlipała Wera.

— Może o tym nie wiedział? — Chwytałam się brzytwy.

— Wiedział, tylko go nie widywał — wyjaśniła Wera.

— Ale jak to odkryłaś? Powiedział ci?

— Powiedział mi po prostu, że zaszyły nagle zmiany i teraz będzie z nami mieszkał Franek.

— Jak to „będzie mieszkał”? — zapytałam. — Ale skąd tak nagle?

— Przez lata matka chłopca zabraniała mu widywania się z synem, a teraz wyjeżdża do Skandynawii, bo dostała kontrakt, i on musi się zająć dzieckiem, masz pojęcie? — wyrzuciła z siebie Wera i najwyraźniej też usiadła, bo stukot jej szpilek ustał.

Odebrało mi mowę. Owszem, nie miałam wątpliwości, że coś się święci z tym jej idealnym Piotrem, i prawie gotowa byłam licytować się z Claudynką na dowody w temacie jego nieczystego sumienia, ale takiej bomby się nie spodziewałam. Nie miałam pojęcia, ani jak pocieszyć Werę, ani co myśleć o Piotrze i całej tej sytuacji. Zwołałam więc na późne popołudnie naradę z Claudynką. Tymczasem niebo pokryła szara powłoka, a zaraz potem zaczęło grzmieć. Kiedy lekko spocona od energicznego marszu dochodziłam do placu Trzech Krzyży, zaczęło lać. Po powrocie wzięłam rozgrzewający prysznic, spanikowana wizją kataru, zaparzyłam imbirowo-miodowy napar i otulona kocem zanuciłam z Krystyną Prońko:

Jesteś lekiem na całe zło

I nadzieją na przyszły rok

Jesteś gwiazdą w ciemności

Mistrzem świata w radości

Oto cały Ty...

Zaryzykowałam zabawę z wyrocznią. Czy szukać w łamigłówce Wery szans na ocalenie jej związku? Wypadł heksagram 54: Dziewczyna wychodząca za męża. *Piorun na górze. Jezioro na dole.* Przepowiednia brzmiała: *Bądź uczciwa wobec siebie i nie okłamuj innych. Lepiej przyznać się do błędu, niż żyć w zakłamaniu i udawać kogoś, kim nie jesteś.* I-Ching jak zwykle lubił wywracać wszystko do góry nogami i zmuszał do spojrzenia na rzeczywistość od innej strony. Pytanie tylko — od której?

Buraki na burzę, pistacje na ekscytację

Jeśli twój płomień gaśnie, przypomnij sobie chwilę, kiedy ostatnio krzesalaś iskry, by płonął. Wystarczy wyobraźnia, by przenieść się w inny stan ducha, przywołać moment, kiedy czułaś się tak, jak lubisz najbardziej. Łatwo przyzwyczajamy się do miejsc, sytuacji, nawyków, nawet nie zauważamy, kiedy zgasłyśmy. By podsycać płomień, czasem trzeba porzucić iluzję, że ktoś to zrobi za nas, i wykonać ruch. Jeśli nie wiesz, jak zacząć, przypomnij sobie, że mózg reaguje w ten sam sposób na to, co sobie wyobrażasz, jak i na to, czego realnie doświadczasz. Zaczynaj więc od wyobrażania sobie nowej sytuacji, by ją poczuć. By poczuć towarzyszące jej obrazy, dźwięki, zapachy... i smaki.

Wyobraź sobie, że potrawę, której właśnie próbujesz, jesz w sytuacji, której pragniesz. Przywołaj obraz buraków spożywanych w chwili, gdy niebo rozpogadza się po burzy, pistacji, które zjadasz w stanie euforii... Potem wystarczy tylko po nie sięgnąć, by tak się poczuć.

Przygotuj:

- 2 buraki
- 100 g kaszy pęczak
- 1 grejpfruta
- 1 pomarańczę
- garść kielków rzodkiewki
- 1/2 salaty, najlepiej fioletowej
- 1/2 niedużego kalafiora
- 2 łyżki naturalnego serka homogenizowanego
- oliwę z oliwek
- sól, pieprz
- garść pistacji
- odrobinę kolendry

Zaczynaj od pokrojenia buraków na połówki, posól je i zawiń w folię aluminiową, włóż do rozgrzanego piekarnika na około 40 minut. W osolonej wodzie ugotuj kaszę do miękkości, potem przykryj i pozwól jej dojść. Pokrój cytrusy na małe części, zachowaj ciekący z nich sok. Różyczki kalafiora zarumień na rozgrzanym oleju. Następnie odsącz je z tłuszczu na papierowym ręczniczku. Dodaj do kaszy buraki, cytrusy, kielki, rozdrobnioną salate, kalafior, ser, polej

dressिंगiem zrobionym z soku z cytrusów, doprawionego solą i pieprzem. Posyp pistacjami i kolendrą.

Delektuj się smakiem...

...i dołącz do niego obrazy z wyobraźni.

Wypiłam sok z natki pietruszki, moringi i cytryny z dodatkiem miodu akacjowego, spryskałam się uwodzicielską wibracją sycylijskiego słońca, cytrusów i kadzideł, by zrobić Werze przyjemność perfumami, które dostałam niedawno w tajemniczej przesyłce, o którą tylko ją mogłam posądzać, i gotowa zbawiać świat, a w każdym razie tę jego część, która aktualnie rujnowała życie mojej przyjaciółki, ruszyłam na spotkanie naszego tria. Abstynencja alkoholowa i ryzyko związane z jedzeniem skorupiaków w ciąży ograniczały przyjemność prowadzenia narad w naszych ulubionych okolicznościach szampańsko-ostrygowych, umówiliśmy się więc na koreańską ucztę.

Deszcz ustał. Zmierzch oferował to, co mógł najlepszego w porze jesieni. Płomienne smugi na ciemniejącym niebie ożywiały horyzont. Było chłodno, ale przyjemnie, delikatny wiatr kołysał resztkami liści na drzewach. W mijanych na ulicach przechodniach nie czuło się jeszcze oznak jesiennej chandry, raczej jakiś pęd, by zdążyć nacieszyć się urodą ostatnich wielobarwnych dni przed nadciągającą niebawem pluchą. Miałam wrażenie, że w ubraniach widać więcej kolorów ognia niż szarości. Czyżby była to już oznaka przesunięcia się Jowisza, planety obfitości, ze znaku Wagi do namiętnego Skorpiona? Być może w powietrzu pojawiła się już energia budząca pasję, intuicję, skrywane żądze. Potrzeba poznania swoich najgłębszych pragnień i podążania za nimi. Czas leczenia starych ran i otwierania się na zupełnie nowe uczucia. Czas budzenia ukrytej w nas mocy. Uświadomiłam sobie, że nasze małństwo przyjdzie na świat z tak położonym Jowiszem. Czyli z darem dostrzegania podwójnego dna, widzenia głębszego sensu, potrzebą dociekania prawdy. Przyjdzie na świat pod koniec marca, w znaku Barana lub Ryb. Czy łatwiej jest w życiu żywić się ognia, czy wody? Pomyślałam o Werze i meandrach jej zawilego wnętrza.

Minęłam plac Konstytucji i zanim skręciłam w podwórko przy ulicy Koszykowej, dostrzegłam, jak Wera parkuje na przecznicy. Zatrzymałam się przy przejściu dla pieszych i patrzyłam, jak sunie w swoich wysokich obcasach w moim kierunku. Nigdy nie widziałam kobiety, która poruszałaby się na szpilkach z większą gracją niż ona. Była uosobieniem kobiecości.

— *Ciao, bella!* — zawołała, całując mnie na powitanie.

— *Ciao*, wyglądasz zniewalająco — powiedziałam, patrząc na jej żółty, zwiewny płaszcz.

— Uhm... Ty też kwitniesz. I jak pachniesz! O, w mordę jeża, jakie to piękne. — Wera wciągnęła powietrze z wyrazem błogiego zachwyty. — Co to za zapach? Nowy? Jest nadzwyczajny! — Westchnęła, mrużąc powieki.

— Weruś, to Maria Candida Gentile, czy to nie od ciebie? — powiedziałam niepewna, czy moja koncepcja ma sens.

— Co takiego? — Otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. — Lukrusiu, mam już pierwsze objawy demencji starczej, nie pamiętam czasem, gdzie zaparkowałam, ale nie zapomniałabym perfum, które ci wybrałam. — Roześmiała się.

Znałam Werę zbyt dobrze, by się łudzić, że próbuje mnie zrobić. A zatem jeśli nie ona,

nie Claudynka i z całą pewnością nie Konstanty, to kto mógł przysłać mi tak wyszukany i trafiony prezent? Kto wiedział, że straciłam psa, a do tego znał mój adres domowy? Nie miałam pojęcia.

Wewnątrz było tłoczno, ale nasza zapobiegliwa Claudynka już okupowała trzyosobowy stolik pod ścianą. Dziewczyny poszły na całość. Zamówiły pikantny ramen dan dan z mieloną wieprzowiną, marynowanym imbirem i pak choyem, ja wzięłam łagodniejszą wersję — ramen z miso z jędrnym i sprężystym makaronem, odrobiną boczku chashu i jajkiem. Przyglądałam się łagodnym, lecz przygaszonym oczom Wery i poczułam coś na kształt wstydu — jak mogłam chociaż przez chwilę snuć podejrzenia, że ta najbliższa mi osoba za moimi plecami pociesza się na ramieniu Konstantego?

— Dziewczyny, dlaczego ja mam takiego pecha? — zaczęła Wera, zanim zupy wjechały na stół.

— Daj spokój, Weruś, pech nie istnieje, tylko czasem okoliczności źle się kumulują — wtrąciłam łagodnie. — Już lepiej, że ten jego syn to pamiątka z przeszłości, a nie trailer przyszłości — stwierdziłam.

— Co masz na myśli?

— Lepszy starszy, niż gdyby był dopiero w drodze — stwierdziłam, powstrzymując się od zrobienia dygresji na temat seksoholików.

— Lukrusiu, zlituj się — powiedziała łagodnie Wera. — Nie rozumiesz, że on mnie okłamał?

— Zaraz, zaraz... Jak to było dokładnie? Mówił ci, że nie ma dzieci? — zapytała rzeczowo Claudynka.

— Nie. Mówił tylko, że z żoną, z którą się rozwiódł, na szczęście ich nie miał.

— A ten syn jest z epoki przedżonowej? — upewniła się Claudynka.

— No tak, ale...

— To znaczy, że nie tyle skłamał, co przemilczał fakty — analizowała dalej Claudynka.

— No, *bella*, nie bawmy się w niuanse, kłamstwo to kłamstwo. — Zniecierpliwiła się Wera.

— To prawda. Jak cię podrywa żonaty facet, fakt, że tego wieczoru nie napomyka o żonie, nie sprawia, że jest trochę mniej żonaty — zażartowałam.

Wszystkie trzy wybuchnęłyśmy śmiechem. Tymczasem na stole pojawiły się talerze parującego ramenu. Podekscytowane wciągnęłyśmy nosem aromat przypraw i spojrzaliśmy na siebie z błogością. Jedną z większych rozkoszy naszej przyjaźni była radość, którą wszystkie trzy potrafiłyśmy czerpać z dobrego jedzenia.

— Ale z drugiej strony, jak mawiała moja ciotka Aurelia, mężczyzna może przetrwać w małżeństwie tylko dzięki temu, że co nieco zapomni, a kobieta odwrotnie — dzięki temu, że niejedno co nieco pamięta — powiedziałam żartobliwie.

— Dziewczyny, podejźmy do tego konstruktywnie — wróciła do tematu Claudynka. — Jeśli facet miał dziecko, a jego matka odcięła mu z nim kontakt, to co to dla niego jest? Porażka. Czy człowiek sukcesu, jakim jest Piotr, kiedy wreszcie poznaje kobietę swojego życia, chce jej zaprezentować na wstępie swoją klęskę? — zapytała dobitnie.

— Wiadomo, że nie chce, ale może to znaczyć, że jest zwykłym tchórzem — powiedziała Wera.

— Niekoniecznie, może po prostu czekał na właściwy moment — powiedziałam.

— Ale na jaki? Aż mnie poprosi o rękę? — wzburzyła się Wera.

— Weruś, mężczyzna, który widział już nogę, nie musi prosić o rękę, żeby coś wyznać — powiedziała z rozbijającą szczerością Claudynka.

— Dziewczyny, żarty na bok, a co jeśli on ma w zanadru jeszcze parę takich nieujawnionych dzieci? — zapytała podenerwowana. — On mnie nie potraktował poważnie.

— Może właśnie dlatego, że traktuje cię bardzo poważnie, bał się, by cię nie stracić taką wtopą. Przecież wie, że jesteś bardzo wrażliwa — zasugerowałam.

— Nie pojmuję, dlaczego mnie to spotkało. — Westchnęła Wera, zajadając się zupą.

— *Bella*, jak mówi biologia totalna: poślubiamy swoje konflikty — wtrąciła Claudynka.

— Co masz na myśli? — zapytała Wera, odgarniając włosy z czoła.

— Nie chcę zrzędzić, ale przecież wiesz, że nasze związki są zawsze odbiciem naszych wewnętrznych konfliktów, a więc coś, co było w tobie, ujawniło się poprzez tę sytuację.

— Lepiej mi powiedz, nasza zrzędo, co to takiego — zaproponowała Wera po chwili namysłu.

Wszystkie wiedziałyśmy, że to, co mówi Claudynka, jest prawdą, ale żadna z nas nie miała pojęcia, jak odnaleźć klucz, który pozwoliłby nam pojąć, co takiego kryło się w Wera, a raczej w jej podświadomości, co domagało się uzewnętrznienia przez nagłe ujawnienie nieślubnego dziecka jej faceta. Dziecka, które miało stać się teraz częścią jej życia. Zbyt wiele już razy omawiałyśmy tajemnice dziedziczenia traum naszych przodków, nieświadomego przejmowania uwikłań naszych rodziców, które kodują się w dzieciństwie, by sądzić, że uda nam się rozwikłać tę zagadkę podczas wspólnego posiłku. Wiedziałyśmy, że te wszystkie zaprzeszczone rzeczy, które tworzą potencjał do zaistnienia różnych dziwnych wydarzeń w naszym życiu, nie determinują ostatecznie naszego losu, że zawsze mamy wpływ na to, co z tym zrobimy. Tyle tylko, że w tym przypadku nie miałyśmy pojęcia, czym jest coś, co ściągnęło na Werę to dziecko. Jednego byłyśmy pewne — potrzebowałyśmy jakiejś słodyczy, by ustalić, co dalej.

— Dziewczęta, to może hotteoki? — zaproponowałam.

— A co to takiego? — zdziwiła się Claudynka.

— Nowość. Deserowe placki nadziewane sezamem i orzechami, zupełny odlot. — Rozpłynęłam się na samą myśl.

— Trzy razy poprosimy — zaordynowała Wera. — Dziewczyny, ale przyznajcie, czy on nie powinien ze mną skonsultować tego, że nagle bierze do domu dziecko? — ciągnęła. — Na tym chyba polega związek partnerski, że się razem podejmuje decyzje?

— Nie no, Weruś, ale z tego, co mówiłaś, on nie miał szansy tej decyzji podjąć. Jego eks po latach przywiozła mu syna i oświadczyła, że się zmywa — wtrąciłam się. — Co miał zrobić? Oddać je do domu dziecka?

— Lukrecja ma rację, to akurat ujawnia jego ludzkie instynkty — powiedziała Claudynka dobrodusznie.

— Ale czy was to nie dziwi, że najpierw nie chciała, żeby kontaktował się z dzieckiem, a tu nagle ni z gruszki, ni z pietruszki...? — zastanawiała się Wera.

— No wiesz, prawdopodobnie nie mamy do czynienia ze zrównoważoną emocjonalnie osobą — przyznała Claudynka.

— Idąc twoim tropem... — Wera zrobiła jedną ze swoich bojowych min. — Jaki konflikt wewnętrzny ma w sobie Piotr, skoro był związany z niezrównoważoną laską, a do tego ma z nią dziecko?

— Weruś, po pierwsze, to mógł być jakiś stary konflikt, który już dawno się przeterminował, a po drugie, czy on ci wspominał, jak długo był z nią związany? — zapytała Claudynka swoim rzeczowym tonem detektywa.

— Nie.

— No właśnie. Może w ogóle nie byli w związku, tylko miał z nią ze dwa razy przelotny seks po pijanemu?

— On się nie upija.

— A może ona po prostu chciała mieć dziecko i go uwiodła na jedną noc, kłamiąc, że zażywa tabletki? — rozważała Claudynka.

Ośladzałyśmy się plackami, rozkoszując się ich lepką, sezamowo-orzechową konsystencją, i z jakiegoś powodu coraz mocniej starałyśmy się z Claudynką bronić nieszczęsnego Piotra w oczach Wery. Raz po raz chwytając się jakichś ogólnych stwierdzeń, że co by mówić, z dwojga płci to jednak faceci są teraz w trochę gorszej sytuacji. Mają w genach sporo pychy i triumfu, że to oni urządzili ten świat i przez wieki nim władali, a od całkiem niedawna muszą ustąpić miejsca kobietom, które zaczęły rozdawać karty, i to nie tylko na rynku matrymonialnym czy rodzicielskim. Kobiety dorastające bez mężczyzn wyrobiły w sobie ich cechy, aktywowały swoje męskie jakości i zaczęły rządzić światem.

— Niech wam będzie, że on nie jest takim całkiem skończonym wieprzem, ale co ja mam teraz zrobić? — zapytała dobitnie Wera.

— Weruś, skoro on ci się wyzalił, to mu zależy — podsumowała Claudynka.

— *Bella*, on się nie żali — zaooponowała Wera.

— Wiadomo! Mężczyźni nigdy nie płaczą, tylko przewracają oczami, czekając, aż kobieta obetrze im łzy. — Zaśmiała się Claudynka.

— Weruś, czy ty czujesz się z nim szczęśliwa, że tak spytam z grubej rury? — próbowałam nadać swojemu pytaniu lekki ton.

— Byłam szczęśliwa, ale teraz nie wiem. Nie dość, że ostatnio było między nami mało seksu, to jeszcze mamy teraz mieć obcego nastolatka pod dachem — jęknęła.

— No wiesz, ta redukcja seksu to na pewno ze stresu. Jak się dowiedział, co go czeka, musiał wpaść w panikę, ale to się unormuje — powiedziała optymistycznie Claudynka.

— Pytanie tylko, czy ty zniesiesz życie pod jednym dachem z nieznanym nastolatkiem? — dodałam, myśląc o ewentualnej perspektywie zamieszkania u Konstantego i napawających mnie grozą cotygodniowych wizytach Lenki.

— Jak nie spróbujesz, nie będziesz wiedziała — spuentowała Claudynka. — Jedyne, co musisz zrobić, to rytuał wybaczenia Piotrowi, że przemilczał swoje rodzicielstwo.

— Po co?

— Żeby cię to nie gryzło. Potem oczyścisz dymem z białej szalwii cały dom Piotra, zrobisz jakąś medytację w intencji pomyślności i — do boju!

— Dziewczyny, nie wiem, czy to takie proste — szepnęła Wera już znacznie spokojniejszym głosem.

— Dla ciebie tak, *bella* — powiedziałam stanowczo. — Przecież jesteś nieustraszona — dodałam z entuzjazmem.

— No fakt, jesteście nieustraszone — przytaknęła Wera.

— Wiwat nieustraszone! — zawołałyśmy wszystkie razem naszym starym zwyczajem i podnosząc do góry szklanki z wodą mineralną, stuknęłyśmy się na znak toastu. — Wiwat my! — krzyknęłyśmy, wybuchając śmiechem.

Wyszłyśmy w euforycznych nastrojach. Tę radość najbardziej było widać na twarzy Wery. Jej oczy świeciły dawnym blaskiem. Zupełnie jakby podczas naszej wieczerzy dokonał się cud przemiany rozpacz w nadzieję. Pożegnałyśmy się na skrzyżowaniu Koszykowej z Marszałkowską, przekonane, że nie ma takiej burzy, po której nie znalazłybyśmy rozpozdanego nieba. Pod domem zobaczyłam chodzącego w tę i z powrotem Konstantego.

— Kochanie, gdzie ty się podziewasz? Dlaczego nie odbierasz?! — zawołał na mój widok podenerwowanym głosem.

— Co się stało? — zapytałam zaskoczona.

— To ja się pytam, co się stało! Czekam tu od dwudziestu minut, wydzwaniam, a ty nie wiadomo gdzie jesteś.

— Przecież umówiliśmy się za godzinę — powiedziałam, zerkając na telefon. — A rzeczywiście, miałam wyciszony sygnał, nie słyszałam.

— Za jaką godzinę? — Zdenerwował się.

— Dokładnie za czterdzieści dwie minuty, kochanie — odpowiedziałam wciąż spokojna.

— Nie, pomyliło ci się, umówiliśmy się na siódmą — zaoponował stanowczym tonem.

— Na ósmą, kochanie, chodź! — powiedziałam, skręcając w stronę drzwi do kamienicy.

— Na siódmą, ale nie będę się z tobą kłócił. Nie możesz tak po prostu wyłączać wieczorem telefonu.

— Dlaczego? — zapytałam zdziwiona.

— Bo jesteś w ciąży, wszystko się może stać, muszę mieć z tobą kontakt.

— Kochanie, to ja jestem w ciąży, a nie ty, więc to ja ewentualnie muszę mieć kontakt z tobą, poza tym rodzę za dobrych kilka miesięcy — wyjaśniłam zaskoczona jego zdenerwowaniem. — Musisz się trochę wyluzować, może ty za dużo pracujesz?

— Weź tu, człowieku, nie oszalej... Kobiety najpierw żądają od mężczyzny większej troski, a gdy ten ją okazuje, każą mu ją zredukować. Oto niezidentyfikowane szczątki kobiecej logiki albo prawdziwa konsekwencja emancypacji. — Westchnął Konstanty, wdrapując się po schodach kamienicy.

— Kochanie, prawdziwa emancypacja to się ujawni za jakiś miesiąc, jak zaczniemy chodzić do szkoły rodzenia — powiedziałam pogodnym tonem.

— Jak to „my”? A to nie ty jesteś w ciąży? Czy w ramach równouprawnienia też mam rodzić? — zapytał, obejmując mnie ramieniem.

— Razem, kochanie, zrobimy to razem.

— To znaczy?

— Ja sobie będę rodzić, a ty mnie będziesz podtrzymywał na duchu w moich mękach — wyjaśniłam, sięgając po klucze.

— Nic mi o tym nie wiadomo, żeby podczas cesarek mężczyźni siedzieli na salach — stwierdził.

— Jakich cesarek? — Przystanąłam zaskoczona. — Zamierzam rodzić naturalnie.

— Kochanie, w twoim wieku to normalne, że będziesz miała cesarkę — powiedział stanowczo Konstanty.

— Ciekawe, skąd to wiesz? — zapytałam. — Czyżbyś miał wprawę w porodach czterdziestolatek? — zapytałam podejrzliwie.

Poczułam lekki skurcz w brzuchu. A jeśli Konstanty, zupełnie jak ten cały Piotr, też ma jakieś ukryte dzieci, o których nie wiem? Właściwie dlaczego tak często znika i wyłącza telefon, twierdząc potem, że miał późnowieczorne sesje coachingowe z klientami? Może właśnie dlatego tak obsesyjnie zajmuje się Lenką, żeby uwolnić się od winy wobec jakiegoś innego dziecka, którym się nie interesuje? Zrobiło mi się gorąco. Otworzyłam drzwi i poszłam do kuchni nalać sobie wody. *Uno... due... tre...* Wzięłam głębszy oddech i wypuściłam powietrze. Nie ma to jak równowaga emocjonalna kobiety ciężarnej, która jako influencerka inspiruje inne ciężarne do nieprzejmowania się drobiazgami w ciąży, pomyślałam ze zgrozą.

— Lukrusiu, źle się czujesz? — zapytał Konstanty, odwiesiwszy płaszcz.

— Nie, dlaczego?

— Pobladłaś.

— To tylko nagła zmiana temperatury — powiedziałam, siadając na kanapie.

— Czy wtedy nie powinnaś się raczej zarumienić? — dociekał Konstanty.

— Kochanie, byłeś na kursie analizy kobiecego rumieńca? — zapytałam z przekąsem.

— Nie, dopiero się wybieram — powiedział prowokująco.

Zamierzałam jeszcze coś napomknąć o roli podkładów i pudrów w procesie manipulacji rumieńcowej, ale nie zdążyłam. Konstanty przysunął się raptownie i objął moje pośladki, muskając wargami mój dekolt.

— Jak ty pięknie pachniesz. — Przyłożył nos do mojej szyi. — To nowe perfumy?

— Tak. Nie znasz ich? — zapytałam podchwytliwie.

— Już je miałaś na sobie?

— Nie miałam.

— To skąd miałbym je znać? — zapytał, gładząc mnie po szyi.

Był w tym tak naturalny i szczery, że nie ulegało wątpliwości, że to nie Konstanty stał za tym tajemniczym prezentem. Poczułam dziwne mrowienie w ciele. Czyżbym miała jakiegoś tajemniczego wielbiciela? Przez chwilę pomyślałam o zagadkowym Jeremim. Jego związek z Claudynką, który najpierw wydawał się jedynie porozumieniem dusz w przestrzeni działań biznesowych, a potem dość szybko okazał się relacją miłosną, wydawał się bardzo tajemniczy. Claudynka właściwie nie mówiła o łączących ich uczuciach, wciąż jedynie podziwiała biznesowe wizje Jeremiego i jego wrażliwą naturę. Nic nie wspominała o seksie z nim. Pytanie brzmi — z jakiego powodu Claudynka miała tak dogłębnie obcykany temat pompek doprowadzających penisy impotentów do erekcji?

— Kochanie, może pójdziemy już się położyć? — zapytał Konstanty, przerywając moją gonitwę myśli.

— Nie jesteś głodny?

— Jestem, głodny ciebie...

— Może zjesz trochę sałatki z buraków i pistacji? — zaproponowałam. — Zostawiłam ci w lodówce.

— To są te słynne buraczane pistacje na ekscytacje?! — zawołał. — Och, w takim razie z rozkoszą.

— Dlaczego słynne?

— No, ba. — Zrobił dwuznaczną minę, zaglądając do telefonu. — W ciągu niespełna sześciu godzin od publikacji na blogu zdobyły ponad tysiąc dwieście lajków — dodał z uznaniem.

Nie do wiary. Wszystkiego się spodziewałam po Konstantym, ale nie tego, że czyta na bieżąco wszystkie wpisy z mojego bloga i liczy, ile dostaję lajków. No cóż, może i znika nie wiadomo gdzie, wmawiając mi, że pracuje, ale jednak interesuje się tym, co robię, pomyślałam, czując przyjemne łaskotanie w brzuchu. Miło polechtana nałożyłam mu na talerz sałatki i poszłam pod prysznic. Zza szumu wody dosłyszałam kojące dźwięki boskiego Kurta Ellinga:

I should write a book for you

That brought me fame and fortune too

That book would be like my heart, my soul

And me dedicated to you.

Brzmiały niczym preludium do chwil błędnego ruchu, który porywa nas i prowadzi ku życiu. Przyglądałam się w lustrze, jak woda ocieka strumieniami po moich nabrzmiałych piersiach i powiększonych sutkach. Jeszcze nigdy nie miały tak pięknego, pełnego kształtu. Mój krągły już brzuch wydał mi się niezwykle kobiecy, mimo że wcięcie w taliu zupełnie przestało być widoczne. Było w tym brzuchu coś pierwotnego, jakaś swoboda formy, wolność od wszelkich napięć. Skóra wydawała się tak gładka, jak bywa czasem po długotrwałych muśnięciach słońcem. Biodra współgrały z szerokością moich ramion. Całe ciało zaczęło nagle przypominać ożywiony posąg antycznej bogini, doskonale symetryczne, pełne łagodnych łuków, miłe w dotyku. Gładziłam dłonią brzuch, zastanawiając się, czy ściekająca z prysznicy woda nie rozgrzewa nadmiernie mojej skóry. Czy tej małej istotce wewnątrz mnie nie jest za gorąco? Czy szum ściekającej wody jest dla niej kojący, czy może przez warstwy skóry i wód płodowych w ogóle go nie słyszy?

Kiedy wyszłam z łazienki owinięta w ręcznik, w sypialni były już przygaszone światła, a na stoliku płonęła świeczka, wydzielając delikatny lawendowy aromat, który roznosił się po całym pokoju. Konstanty leżał na łóżku, oparty na ramieniu, i uważnie mi się przyglądał. Było w tym wzroku coś łapczywego i jednocześnie dostojnego. Jego piękny profil ładnie odcinał się od tła ściany. Cień rzucany przez palmę tworzył zabawny pióropuszczyk nad jego głową, przydając mu atrybutów dzikiego zwierzęcia. W jego oczach odbijały się płomienie świec. Duże, lekko rozwarte usta wydawały się w tym świetle jeszcze większe. Lśniły, jakby przed chwilą zwilżył je językiem. A może jednak on jest samcem typu Y? — pomyślałam. Tym najrzadziej występującym w przyrodzie, który pożąda kobietę w ciąży jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, poczułam, jak jego dłonie obejmują mnie, a potem łagodnie przesuwały się po moim ciele. W górę, poprzez piersi, a potem znów w dół, zatrzymując się na brzuchu, okrążają go, a potem zaplatają się z tyłu na moich pośladkach. Naciskając na nie, przesuwały lekko moje ciało do przodu, by już po chwili pociągnąć je gwałtownie ku sobie, wprawiając w ruch. Miękki i rytmiczny. Przyjemnie kołyszący, coraz szybciej i szybciej, by na moment zwolnić, a potem znów przyspieszyć. Dalej i dalej, ku większej rozkoszy, która rozlewa się na skórze, pod skórą, między tkankami, mięśniami. Wciąż płynie, poruszając każdą kroplę płynów, wprawiając ciało w drżenie. Coraz intensywniejsze. Coraz bardziej gotowe na kaskadę skurczów...

ROZDZIAŁ 6

Jedni tańczą, inni rzucają się w oczy

Obudziłam się ciężka od batalistycznych snów, w których machałam maczetą, by opędzić się od rozbieganych tygrysków. Przetarłam oczy. Wyciągnęłam ręce w kierunku sufitu i napreżyłam się, czując, jak rozciąga się mój tułów, jak otwiera się klatka piersiowa. Zaraz potem opadłam całymi stopami na ziemię, przyjemnie się na niej osadzając. Poczułam grunt pod nogami. Zatoczyłam rękoma duże okręgi, biorąc głęboki wdech i wydech. A potem jeszcze raz. Zrobiłam skręt w lewo, w prawo i puściłam ręce, uwalniając całe napięcie. Pozwoliłam ciału bezwładnie się zakołysać.

Włączyłam jeden z tych nieśmiertelnych przebojów, które naprawdę potrafią dobrze nastroić w dzień takiej eksplozji jak ta, która czekała mnie — byłam tego pewna — już za kilka godzin. Konstanty od świtu poświęcał się swoim tajemniczym zajęciom i miał się zjawić dopiero przed południem. Żeby jakoś przetrwać, zabrałam się do gotowania zupy, nucąc pod nosem:

Kto rozjaśnia ci

wszystkie szare dni,

kto nadzieję ma aż do dna, no?

Kto rozśmiesza, gdy

nie do śmiechu ci?

Wszystko to na siebie biorę ja!

Nie bierz życia zbyt serio, serio zbyt...

...ani wtedy, gdy jesteś na romantycznym rauszu, ani wtedy, gdy na takim rauszu jadą inni, twoi najbliżsi, dajmy na to — własna matka. A już zwłaszcza w dzień taki, jak ten, kiedy miało wyjść dla niej słońce, a od rana leje deszcz.

Zacznij od zjedzenia czegoś lekkiego i ciepłego, na przykład rozgrzewającej zupę w kolorze czakry sakralnej.

Przygotuj:

- 1 kg marchewki
- 1 cebulę
- 2 łyżki oliwy z oliwek
- kawałek świeżego imbiru
- 2 ząbki czosnku
- 1 płaską łyżeczkę słodkiej papryki
- 1/2 łyżeczki kurkumy
- 1 pomarańczę
- 1 l bulionu warzywnego
- 200 ml mleka kokosowego
- szczyptę płatków chili
- 1/2 szklanki prażonych płatków migdałowych
- sól, pieprz

Zaczynij od marchewki, umyj ją, obierz i pokrój w plasterki. W garnku o grubym dnie rozgrzej oliwę z oliwek i zeszklij posiekaną cebulę, dodaj czosnek i imbir, podsmażaj około 3 minut. Potem wrzuć marchewki, do nich paprykę i kurkumę. Smaż jeszcze kilka minut, mieszając. Wyciśnięty z pomarańczy sok dolej do warzyw i odstaw. W garnku zagotuj bulion i wlej go do warzyw, gotuj przez kolejne 20 minut, od miękkości warzyw, doprawiając solą i pieprzem. Zdejmij garnek z palnika, wlej mleko kokosowe, zmiksuj w blenderze, posyp płatkami chili i płatkami migdałowymi.

Delektuj się rozgrzewającym ciepłem przed pełnym wyzwaniem dniem.

Użalanie się nad sobą jest gorsze niż igranie z ogniem. Okazuje się, że to jest właśnie to, co rozpala najbardziej. Ledwo zamieściłam posta, a posypała się cała lawina komentarzy o tym, jak wielu spośród moich czytelników spodziewa się dziś straszego dnia. Takiego zatrzęsienia pojękiwań, które stworzyły dziwny rodzaj wspólnoty pod wpisem, jeszcze chyba nie widziałam na swoim blogu. Czyżbym między słowami przelała całą tę panikę, jaka mnie ogarniała na samą myśl, że będę zaraz oglądać cyrk wyreżyserowany przez moją matkę?

Czy chodziło o samą skalę tego wyglądu, czy może o coś jeszcze, co tylko przeczuwałam, ale nie potrafiłam nazwać? A może pod pretekstem złego samopoczucia mogłabym po prostu wymigać się od tej uroczystości... Ta szaleńcza myśl zjawiała się nagle i bzyczała mi w głowie jak natarczywa osa. Stawką w grze był chwilowy spokój, ale równocześnie ryzykowałam

ciągnące się miesiącami wyrzuty i pretensje. Sięgnęłam do wyroczni. Wypadł heksagram 46: Wydobywanie się. *Ziemia na górze. Wiatr na dole. Przeszkody, jakie napotkasz, są do pokonania. Nie poddawaj się więc i bądź bezkompromisowy.*

Łatwo powiedzieć, ale jak przeżyć ślub siedemdziesięcioletniej matki paradującej na koniu? To nie mogło odbyć się bezboleśnie. Albo popadłam w paranoję, albo świat naprawdę ustawiał się do mnie w kontrze. Konstanty spóźniał się już kwadrans. Sukienka, którą przewidziałam na dzisiejszy dzień, nie dopinała się nawet w połowie, co znaczyło, że przytyłam już dużo więcej, niż mi się zdawało. Ostatecznie zdecydowałam się na lejącą się szafirową kreację z jedwabiu, układającą się w korzystny dla mojego wypukłego brzuszka kobiecy kształt. Włożyłam do niej płaskie czółenka w ceglastym kolorze, dokładnie takim jak moja szminka. W przyszczogennych rewirach pojawiły się czerwone wybrzuszenia. Nałożyłam więc rozświetlający podkład i odrobinę różu na policzki, z przykrością odnotowując, że moja cera zaczyna się powlekać plamami pigmentacyjnymi. Zabrałam ze sobą płaszcz, ciepły kaszmirowy szal i parasol. Na wszelki wypadek sięgnęłam też po czapkę.

W końcu zjawił się Konstanty. Elegancki do granic możliwości. W pięknej liliowej muszce w prążki, w stylowych butach w odcieniu ciemnej wiśni i skrojonym na miarę garniturze. Wyglądał znakomicie i nieziemsko pachniał. Tym zapachem, który wybrałam dla niego w prezencie z okazji pierwszego trymestru naszego związku — mieszanką wirginijskiego cedru, drzewa sandałowego, dębowego mchu, kadzidła, piżma, wanilii i bergamotki, z nutami zielonej trawy i cytryny. Boskie połączenie wrażliwości i siły, orzeźwienia i drzewnej głębi. Shiloh — co po hebrajsku oznacza podarunek dla niego. Ta kompozycja wyrażała Konstantego tak doskonale, że nawet on sam przyznał, że gdyby miał się opisać za pomocą jakiegoś zapachu, użyłby dokładnie tego, który wchodzi w skład perfum Shiloh.

Od rana dzwonił deszcz. Ulice były mokre, przechodnie zakapturzeni. Wolałam nie dzwonić do matki, nie zadawać jej pytań, jak rozwiązali problem braku zadaszienia. Może nawet upatrywałam w tym deszczu małej nadziei, że ceremonia z powodu trudnych warunków atmosferycznych zostanie skrócona i obędzie się bez konnego cyrku. Tylko normalnie — starsi państwo powiedzą sobie „tak”, goście wypiją na stojąco szampana, wznosząc toast za pomyślność nowożeńców, a zaraz potem wręczą prezenty, złożą życzenia, coś przelkną i dyskretnie zaczną zmywać się do domu. Konstanty słuchał w aucie wiadomości. A może wcale nie słuchał, tylko udawał, asekurując się w ten sposób, żebym nie zawracała mu głowy wywodami o mojej szalonej matce.

O dziwo, ledwo wyjechaliśmy poza Warszawę, deszcz ustał i zerwał się wiatr, który błyskawicznie osuszał drogę. Kiedy dojechaliśmy do kampinoskiej polany, nie wierzyłam własnym oczom — rozsunęły się obłoki i na niebie pojawiło się słońce. Zmoczony trawy wysychały w mgnieniu oka. Na polanie kłębił się już niezły tłum, a byliśmy co najmniej dwadzieścia minut przed czasem. W pewnej chwili zobaczyłam faceta z wielką kamerą, która bynajmniej nie wyglądała na urządzenie używane dla potrzeb rodzinnych. Matki i Miecia nie było widać. Za to między drzewami i czymś na kształt namiotu kręcili się jacyś wystylizowani na hipsterów ludzie z torbami.

— Dużo młodzieży — szepnął na pół ironicznie Konstanty.

— Nie mam pojęcia, skąd moja leciwa matka wytrzasnęła takie towarzystwo — odpowiedziałam, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

— Może to znajomi pana Miecia? — skomentował mój chłopak, najwyraźniej mając niezły ubaw z obserwowania gości.

— Obawiam się, że stoi za tym jakaś tajemna wizja mojej matki i co gorsza, zaraz będziemy świadkami, jak się ziszcza — bąknęłam niespokojna.

Słońce grzało coraz mocniej. Jakby wydobywało z siebie ostatnie iskry minionego lata. Po przedpołudniowych opadach nie było nawet śladu. Drzewa mieniły się w żółtawo-złotawych odcieniach zieleni. Na ich gałęziach wisiały metaliczne lampiony. Na środku polany stała jakaś wielka kula, która rozbłyskiwała neonowym światłem. Tłum dynamicznie gęstniał. Wśród eleganckich i ekscentrycznie poubieranych ludzi w różnych przedziałach wiekowych dostrzegłam zaledwie kilka znanych mi twarzy, starych znajomych matki, ze dwie wieloletnie przyjaciółki, jedną sąsiadkę oraz wystrojoną w czerwoną suknię i gigantyczny kapelusz ciocię Kicię, przyrodnią siostrę mojej matki.

Ciocia Kicia, podobnie jak ciotka Aurelia, siostra mojej babki, nie była stabilna w sprawach miłości. Miała okresy ciągnących się długo i równolegle do siebie burzliwych romansów, trzy krótkie małżeństwa, w tym jedno dwukrotnie z tym samym mężczyzną, którego poślubiła w jedenaście lat po rozwodzie, ale trwało równie krótko, co poprzednie, około roku. Największą miłością jej życia był wąsaty oceanograf, którego poznała podczas nagłego ataku choroby morskiej na promie do Szwecji. Oceanograf deklarował miłość do grobowej deski, ale ciągle był w rozjazdach między dalekimi wyspami. Ciocia Kicia była osobą towarzyską i pełną pasji, więc częste rozłąki z wąsaczem sprzyjały oddawaniu się licznym zainteresowaniom i dobrze robiły na podgrzewanie miłości. Do czasu, aż pewnego dnia Kicia otrzymała zaadresowaną do niej kopertę z pomyłkowo włożonym do środka listem oceanografa do jego legalnej żony, z którą był związany od lat po drugiej stronie Bałtyku.

— Anyżku nasz kochany, nareszcie jesteś! — wrzasnęła entuzjastycznie na mój widok Kicia i przepchała się przez kłębiący się tłumek w naszym kierunku.

— Ciociu, cóż za kreacja, cóż za kapelusz, wyglądasz zjawiskowo! — zawołałam.

— A ty krąglutko milutko, ale wiem, wiem, to szczęście, że w tym wieku ci się jeszcze trafiło. Opatrzność czuwa. — Podekscytowała się.

— To Konstanty, mój chłopak. — Wymknęłam się z jej objęć, dusząc się od straszliwego odoru zbyt słodkich perfum.

— Ach, to pan jest sprawcą przedłużenia naszego rodu. — Zaśmiała się, podając dłoń kokieteryjnym gestem. — Gratulacje i witamy w rodzinie!

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Nie pożałuje pan — zwróciła się do Konstantego. — Jak to mówią, przez żołądek do serca, a my wszystkie wybornie gotujemy — zawiesiła kokieteryjnie głos.

— O, wiem coś o tym — odparł, próbując utrzymać powagę. — Kulinarne wyczyny Lukrecji mają tysiące fanów.

— Ach, Lukrusiu, jakie to szczęście, że pan Konstanty reflektował i że ominęły cię torbiele na jajnikach dręczące wszystkie stare panny w naszej rodzinie. Myśmy już spisały cię na straty, a tu taka niespodzianka, no wielka radość, naprawdę — perorowała ciocia Kicia na cały głos, mając przy tym kapeluszem na wszystkie strony.

Konstanty wymownie kichnął, żeby powstrzymać się od wybuchu śmiechu, najwyraźniej coraz lepiej się bawił, czego nie mogłam powiedzieć o sobie. Wiedziałam, że to dopiero początek. Rozejrzałam się dookoła, próbując oszacować, ile jeszcze bomb podobnego kalibru spadnie mi zaraz na głowę. Przeprosiwszy Kicię pod pretekstem typowego dla ciężarnych ciśnienia na pęcherz, pociągnęłam Konstantego na bok, między drzewa, gdzie stała grupa miło wyglądających i nieznanymi mi kobiet. Ubrane w duchu postnewage'owym musiały zapewne być fankami bloga mojej matki o neomłodości. Na oko każda z nich mimo wieku miała więcej ognia od nas. Zauważyłam w pewnej chwili, że jedna z nich oprócz siwiuteńkich włosów i mieniących

się w oczach drucianych koralu ma brzuch wyglądający na zaawansowaną ciążę, jednak jej twarz sugerowała, że musi już być po pięćdziesiątce. Przypatrywałam się jej ukradkiem, wciąż nie dowierżając. Kiedy stanęliśmy obok, wątpliwości się rozwiały. Brzuch był ciężowy, a kobiety rozmawiały o porodach w wodzie.

— Prawie poczułam się jak małolata — zażartowałam, nachylając się w stronę Konstantego, żeby trochę rozładować oszołomienie.

— Obyśmy zaraz nie okazali się parą stetryczalnych pierników — odpowiedział.

— Co masz na myśli?

— Podobno rodzenie w szpitalu jest dobre dla konserw, sama posłuchaj — szepnął, nadstawiając ucha. — Kobiety nowoczesne rodzą w domowych wannach.

Jak to mówi Claudynka, energia podąża za uwagą. A przyciągasz to, co masz w sobie. Nie ma co! Zanim zdążyłam wpaść w przygnębienie pod wpływem wyводу na temat jedynej niezaburzającej emocjonalnie formy rozrodu — we własnym domu, w obecności akuszerki — rozległy się fanfary. Rozbłysły porozstawiane w różnych miejscach reflektory, których, o dziwo, wcześniej nawet nie dostrzegłam. Po chwili z głośników dobiegły słowa ukochanej piosenki mojej matki:

I have a dream, a song to sing

To help me cope with anything

If you see the wonder of a fairy tale

You can take the future even if you fail

I believe in angels

Something good in everything I see

I believe in angels...

Dokładnie w chwili, gdy mieliśmy zgodnie ze słowami przeboju uwierzyć w anioły, te objawiły się nam we własnej osobie. I w najbardziej baśniowym wydaniu. Z prawej strony na białym koniu wjechał Miecio, z lewej — moja matka, pędzili ku sobie z oddali, w identycznym tempie. Za matką falował na wietrze długi biały welon i tiule sukni. Obydwoje z Konstantym zamarliśmy z wrażenia. Publiczność również. Wyglądali jak baśniowe anioły. Zatrzymali się dopiero tuż przy sobie. Miecio zeskoczył ze swojego konia i podszedł do matki, zdejmując ją z siodła. Wziął ją na ręce i pocałował. Zaraz potem stanął po jej prawej stronie i trzymając ją za rękę, poprowadził w kierunku świecącego obiektu kulistego, do którego w międzyczasie podszedł urzędnik. Ktoś uderzył w gong. Piękny wibrujący pogłos rozniósł się echem po lesie.

Kiedy nowożeńcy składali sobie przysięgę, nad ich głowami przeleciał klucz ptaków.

Wyglądały zupełnie, jakby były częścią wyreżyserowanego przedstawienia. Krążyły, zataczały koła. Aż wreszcie odleciały. Miecio włożył matce na palec obrączkę, zaraz potem ona jemu, a ja poczułam, jak z oczu ściekają mi łzy. Patrzyłam na to wszystko jak na hipnotyzujący spektakl i nie mogłam uwierzyć, że w roli głównej występuje w nim moja szalona mama. Zawsze dopinała swego. Urządziła sobie ślub jak ze snu i byłam nawet gotowa myśleć, że z tą nagłą zmianą pogody też miała coś wspólnego. Potem wszystko działo się jak w happy endzie kinowego love story. Długi pocałunek, strzelające korki szampanów i wirujące konfetti. Toasty, okrzyki, śpiewy i szalony taniec matki z Miecikiem, a potem kolejny — z całym zastępem ubranych w obcisłe białe kombinezony tancerzy.

Przesuwałam się jak w transie między grupkami rozbawionych ludzi, popijając wodę, łowiąc strzępki rozmów i śmiechów. Konstanty próbował stroić sobie co rusz z kogoś żarty. Może w ten sposób rozpędzał wzruszenie? Nie musieliśmy mówić tego wprost, obydwójce czuliśmy, że ta szalona fiesta, którą urządziła ze swoim partnerem moja matka, była naprawdę popisem wielkiej fantazji i romantyzmu. Matka zadbała o wszystkie aspekty programu artystycznego, o świetny catering i duży rozstrzał towarzyski. Nawet o to, żeby dobrze się obfotografować, nakręcić wideo i tak zwane making ofy, które zapewne już zawisły na jej blogu. Mogłam się z tego nabijać, ale jednego nie mogłam jej odmówić — umiała być prawdziwą celebrytką i zadbać o właściwą dla gwiazdy sceneryę.

Jak się przekonałam w chwili, gdy wreszcie udało nam się do niej dopchać z życzeniami, była prawdziwym dowodem na skuteczność głoszonej przez siebie koncepcji neomłodości. Rewolucja, którą przez ostatnie tygodnie niestrudzenie przeprowadzała na swoim ciele, a właściwie jej skutki — robiły piorunujące wrażenie. Choć nie miałam wątpliwości, że w jej miesięcznym wyzwaniu *Be neoYoung* udział wzięły nie tylko siódme poty na siłowni, ale i igły wstrzykujące kwas hialuronowy, a może nawet jakieś złote nici podwiązujące zwisy na twarzy, ale wyglądała imponująco. Nie było chyba osoby, która nie podzielałaby tego zachwytu.

Matka promieniała. A ja może po raz pierwszy w życiu naprawdę zobaczyłam w niej prawdziwą nieustraszoną boginię. Oczami wyobraźni ujrzałam moje ciotki i babcię — wszystkie kobiety z naszej rodziny — i szczerze musiałam przyznać, że była z nich wszystkich najpiękniejsza. Czulałam jakieś dziwne pomieszanie dumy, wzruszenia i radości. Może nawet zazdrościłam jej tej brawury, z jaką sięgnęła po swoje marzenia, i zawziętości, z jaką potrafiła je urzeczywistnić. Tryskała energią i dobrym humorem. Próbowałam sobie zwizualizować, jak to będzie, kiedy nagle ta maleńka istotka, którą noszę pod sercem, zacznie mówić do niej „babciu”... Niestety tego akurat zupełnie nie mogłam sobie wyobrazić.

— Czy to nie aby nasza słodka Lukrusia? — zagaiła mnie zadbana pani z burzą białych niesfornych kosmyków, w które miała wpięte różowe eustomy. — Jak miło cię zobaczyć po tylu latach.

— Ach, dzień dobry — odpowiedziałam, nie mając pojęcia, z kim rozmawiam. — A to mój chłopak Konstanty.

— Daga — przedstawiła się, podając rękę. — Dzień dobry panu.

— My się chyba znamy — powiedział nieoczekiwanie Konstanty. — Czy pani nie zajmuje się wytrząsaniem z człowieka gniewu?

— Można tak to nazwać. — Roześmiała się, ukazując rząd pięknych białych zębów, a ja dopiero teraz rozpoznałam w niej koleżankę matki sprzed wieków.

— A wytrząsa je pani z ciała czy z duszy? — zapytałam zaintrygowana.

— Właściwie to każdy sam wszystko z siebie wytrząsa — wyjaśniła. — Ja tylko podpowiadam jak.

— Skąd się biorą ci gniewni do wytrząsania? — dociekałam.

— Wszyscy mamy coś do wyrzucenia. Kiedy spotyka nas krzywda, opancerzamy się, żeby nie bolało, i dzięki temu rzeczywiście mniej czujemy i bólu, i — rzecz jasna — wszystkiego innego, na przykład przyjemności.

— Tak jest łzej? — zapytałam.

— Pozornie. Zapominamy o krzywdzie, ale niesiemy ją w ciele, w podświadomości, odgrywamy więc scenki, by przyciągnąć do siebie ludzi lub zdarzenia, które nam o niej przypomną. Dopóki tego nie ujawnimy, nie wytrząśniemy z siebie tych emocji, kręcimy się w kółko. Odgrywamy ofiarę, ściągamy na siebie klęski.

— I taki seans wytrząsania wszystko zmienia? — zapytałam.

— Czasem potrzeba kilku, ale to działa — wtrącił się Konstanty, podając Dadze kieliszek wina, a mnie szklankę z wodą.

Jak zwykle, w najmniej spodziewanych okolicznościach, ujawniało się kolejne nieznanne oblicze Konstantego. Już chciałam podrażnić temat, by dowiedzieć się, co konkretnie wytrząsał, ale kiedy uknułam zręczne pytanie, do Dagi podeszła jakaś koleżanka, którą przedstawiła nam jako Reginę czytającą ludzką aurę. Zapowiadało się coraz bardziej interesująco. O ile Konstanty z szacunkiem wypowiadał się o wszystkich innowacyjnych technikach leczenia traumy, o tyle do jasnowidzów, czytaczy aury i chiromantów miał wyjątkowo prześmiewczy stosunek. Wyglądało więc na to, że zaraz dojdzie do starcia.

— Aż się boję, że pani przejrzy mnie zaraz na wskroś — rzucił prowokacyjnie, żeby podkręcić atmosferę, jak to miał czasem w zwyczaju.

— Proszę się nie obawiać, nieproszona nie ujawniam tego, co widzę — odpowiedziała łagodnie Regina.

— Ale zapewne każdy korzysta z szansy i panią o to prosi? — zapytałam.

— O nie! Niektórzy wolą nie znać prawdy, tylko żyć w iluzjach na swój temat — odpowiedziała.

— Ja bym się nawet połasczył na jakąś prawdę o sobie, ale skąd wiadomo, że to moja prawda, skoro tylko pani ją widzi? — zapytał ciut kpiąco Konstanty.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Daga uśmiechała się tajemniczo, jakby dokładnie wiedziała, co się zaraz wydarzy, a Regina przymrużyła oczy i w wielkim skupieniu zaczęła się przypatrywać Konstantemu, a właściwie nie tyle jemu, co konturom jego ciała. Śledziłam jej wzrok i poczułam, jak robi mi się ciepło w ciele.

— Miał pan złamane kolano? — zapytała nagle Regina.

— Miałem, dawno — odpowiedział zaskoczony Konstanty.

— A kamienie w woreczku żółciowym też od dawna? — zapytała, przyglądając mu się uważnie.

— Kamienie to raczej nowość, albo przywidzenie — próbowałam zażartować, ale Konstanty wyraźnie wyglądał na zbitego z tropu.

— Proponuję panu przeświecić woreczek — odpowiedziała łagodnym głosem Regina.

— No, kochanie, dograłeś się. — Zaśmiałam się, nie mogąc wyjść z wrażenia.

— A Lukrusia też ma jakieś kamienie? — rzucił Konstanty zbyt ostentacyjnie.

Był trochę zmieszany i starał się to zamaskować. Wyraźnie czułam, że korci go, żeby sprawdzić, czy Regina rozpozna, że jestem w ciąży. Może wypił za dużo wina, bo jego ton wydawał się trochę niegrzeczny. Ale nie zmieniało to faktu, że sama byłam zaintrygowana, czy uda jej się coś zobaczyć. Po mojej sukience w żaden sposób nie mogła wynioskować, że jestem w odmiennym stanie.

Regina spojrzała na mnie czujnym wzrokiem i przez dłuższą chwilę przypatrywała mi się w milczeniu. Na jej twarzy w pewnej chwili pojawił się jakiś rodzaj przelotnego skurczu.

Poczułam dziwny niepokój.

— To twoja pierwsza ciąża, prawda? — zapytała w końcu.

— Tak! Pani naprawdę to widzi?! — zawołałam poruszona. — Niesamowite!

— A widziałaś już dziecko na USG? — zapytała Regina, patrząc na mnie swoim przenikliwym wzrokiem.

— Płci jeszcze nie można określić. Jak odbierzemy badania genetyczne, wtedy się dowiemy.

— Kiedy odbierasz te badania?

— O, to jeszcze dobrych kilkanaście dni. A pani może zobaczyć płęć? — Podekscytowałam się nagle.

— Płci nie widzę — odpowiedziała spokojnym głosem. — Ale...

— Ale co? — zapytałam niespokojnie.

— Ale widzę, że z dzieckiem jest jakiś problem — dodała.

Ile mogła trwać ta straszliwa cisza? Minutę... dziesięć? Czułam, jak uginają się pode mną nogi, jak drzewa zlewają się z ciemniejącą powłoką zmierzchu i czarnieją mi przed oczami. Wszystko złączyło się na ułamek sekundy w jedną ciemną plamę. Próbowałam przełknąć ślinę, ale jakieś wióry szczelnie zapchały mi gardło. Strużki potu spływały mi po plecach i pod pachami. Może nawet było je widać gdzieś na czole. Konstanty objął mnie ramieniem. Widziałam, jak się trudzi, żeby natychmiast coś powiedzieć, ale miał chyba w gardle te same wióry co ja. Nawet spokojna Daga zaciskała mocniej dłoń na szklance, jakby szukała w niej jakiegoś słowa.

— To niemożliwe — powiedziałam zaskoczona siłą swojego głosu. — Pani na pewno czasem się myli.

— Poza tym zrobiło się ciemno, a to chyba ma wpływ na widzialność, że tak powiem — włączył się Konstanty, który nieporadnie próbował rozładować sytuację.

— Nikt nie jest nieomylny, ale... No cóż, proszę być dobrej myśli, los daje nam tylko to, co dla nas właściwe — dodała Regina.

— Co pani przez to rozumie? — jęknęłam, czując, że w oczach zbierają mi się łzy.

— Wszystko jest dobre — odpowiedziała. — Wszystko.

Widziałam, że Konstanty nerwowo porusza nogami. Robił, co mógł, żeby znaleźć jakieś sensowne wyjaśnienie, cokolwiek, ale nie szło mu najlepiej. Był tak samo rozbity jak ja. Chociaż wolałby tego nie pokazywać.

— Lukrusiu, może pójdziemy do stołu, żeby coś zjeść? — wtrącił wreszcie.

— Ach, tu jesteście, koteczki moje — zaświergotała matka, która właśnie wyrosła cała rozpromieniona zza naszych pleców.

— Wyglądasz nadzwyczajnie — powiedziała do niej Daga.

— Neomłodość to nie żarty. — Zaśmiała się matka, robiąc obrót w swojej seksownej sukience z wycięciem na plecach.

— Naprawdę jesteś boska, świecisz niczym meteoryt, kochana — dodała Regina.

— Dziękuję, dziewczęta. — Rozpromieniła się matka. — Ale dlaczego nie idziecie tańczyć? Lukrusiu, tańcz, póki możesz, bo jak za dwa miesiące cię brzuch przygniecie, to będziesz tylko szurać kapciami po domu. — Zaśmiała się.

— Mamuś, ty za mnie zatańcz — odpowiedziałam i nagle objęłam ją rękami za szyję.

Zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy byłam małą dziewczynką i chciałam wejść jej na barana. Teraz trzymałam ją za szyję i zaciskałam mocno powieki, żeby nie wypuścić łez. Akurat dzisiaj, właśnie tutaj, kiedy ona spełniła marzenie swojego życia i triumfuje cała szczęśliwa, ja nagle nadziewam się na taką minę. Przytulałam ją tak mocno, że miałam wrażenie, iż słyszę, jak

wali serce — jej i moje, jak się regulują nasze rytmy. Jak stajemy się sobie o wiele bliższe niż kiedykolwiek wcześniej. Łzy wymknęły mi się spod powiek i zmoczyły jej szyję.

— Córeńko moja, no co ty, beczysz?

— Nie...

— Przecież my nie uciekamy na koniec świata, po prostu bierzemy ślub! — zawołała matka, śmiechem próbując przykryć wzruszenie wywołane tą chwilą naszej publicznej intymności.

— Wiem, mamuś — szepnęłam. — Tańcz!

— No a wy?

— Pójdziemy coś zjeść przy stole.

— Koniecznie, Micio sprowadził najlepszego kucharza pod słońcem. Ja wszystko wybrałam i przetestowałam. Rewelacja! — krzyknęła. — Tylko dołączcie do nas potem! — zawołała, wysyłając nam całusa, i popędziła do tańczących.

— Dołączymy — rzucił Konstanty. — Do zobaczenia — powiedział do Dagi i Reginy.

— Pięknego wieczoru — szepnęła Daga.

Konstanty chwycił mnie pod rękę i mocno objął. W ciszy podeszliśmy do stołu, gdzie podsunął mi krzesło, wziął talerz i zaczął nakładać na niego po kolei sałatki, tartinki i jakieś przekąski porozkładane na tacach. W końcu mi go podał, wraz ze sztućcami i serwetką.

— Lukrusiu, a może ty wolałabyś zjeść coś na ciepło?

— Co takiego? — zapytałam trochę nieprzytomnie.

— Może ci przyniosę coś z drugiego stołu? — zapytał troskliwie. — Tam jest pieczona kaczka w pomarańczach, jakieś zapiekane bakłażany z owocami granatu, które tak lubisz.

— Chodźmy stąd — szepnęłam, odstawiając talerz. — Wracajmy do domu.

ROZDZIAŁ 7

Jeśli nie znasz własnej studni, czas do niej wpaść

Kluczem jest patrzenie w oczy, przez nie przepływa miłość. Czasem to trwa. Nawet piętnaście minut może ci zająć przejście od zimnej wściekłości do złości. Złość jest gorąca. Dotyka całego bólu, który niesiemy w sobie. Jak się uwolni, jak się wyleje, przychodzi ulga, coś się rozpręży, robi się miejsce na spokój, a potem na radość, nawet na miłość, bo ciało znów może czuć...

Czytałam książkę, którą wczoraj przyniosła mi Claudynka z Jeremim. Na papierze wszystko wydaje się takie proste i szybkie. Szkoda, że w życiu to tak nie działa. Jak miałam wypłakać całą tę kupę gwoździ, które wbijały się we mnie od środka wraz z każdą przepływającą myślą? Jak miałam się uspokoić, mając jeszcze przed sobą trzy dni czekania na wyniki badań? Jak się uwolnić od złości, strachu, jak to z siebie wyrzucić, skoro cały czas myślałam, że nie wolno mi przeżywać skrajnych emocji, że to teraz zbyt niebezpieczne? Kiedy postanawiałam ich nie przeżywać, tylko przeczekać, znów gdzieś czytałam, że jeśli poziom wewnętrznego napięcia jest za wysoki i mózg kobiety w ciąży nie może tego znieść, to jej stres przejmuje dziecko. Tak to skomponowała natura. Aby to matka w pierwszej kolejności mogła przetrwać, a nie dziecko, bo to ona zapewnia kontynuację gatunku...

Wysłałam z łóżka, rzucając książkę w kąt. Spojrzałam na półki w przedpokoju, przesunęłam dłonią po kolejnych rzędach, wysuwając niektóre książki. Chwilę to trwało. Bezwładne wodzenie wzrokiem po kolorowych grzbietach. Aż w końcu znalazłam. Stary egzemplarz *Kto pocieszy Maciupka?* Miał pomazaną flamastrami okładkę i naderwaną obwolotę. Zajrzałam do środka i przerzuciłam kilka pozaginanych kartek. Odległy świat strachliwego trolla, który nocami zapala wszystkie lampy i chowa się pod kołdrę ze strachu, podczas gdy na zewnątrz stawiają swoje wielkie i ciężkie kroki Paszczaki, przeniósł mnie do dziecięcego pokoju, uruchamiając potoki wspomnień.

Zobaczyłam matkę, która rozkłada na stole duży wiklinowy kosz pełen zebranych przez nas w parku liści, wyciąga taśmę klejącą i zaczynamy sklejać je w rzędy, a potem łączyć je w drugimi. Podaję jej listek po listku. Matka układa kolory na zasadzie kontrastów. Niektóre liście odpadają, inne trzeba przyklejać dwukrotnie. W końcu obydwie koszule są oklejone w całości. Widzę siebie przed lustrem, jak przymierzam jedną z nich. Robi mi się ciepło na sercu. Potem we dwie z matką wchodzimy na halloweenowe party do cici Heli, ubrane w te kolorowe liście jak w leśne sukienki, które z każdą godziną się zmieniają, wyginają, kruszą. W pewnej chwili zaczynam płakać, widząc, że kilka liści mi opadło. „No co ty, córeczko, nie płacz”, mówi do mnie matka, „tak już jest, liście po to spadają, żeby mogły wyrosnąć nowe”. Bierze mnie za ręce i zaczyna obracać, śmieje się. A ja przez cały wieczór obserwuję, czy spod tych starych wychodzą nowe, ale nic się nie dzieje. Nie pamiętam, czym to się skończyło, pamiętam tylko matkę, która tańczy na środku pokoju, a wokół wirują sypiące się z niej resztki liści. A ona wciąż tańczy, jakby czuła, że takim szalonym ruchem podtrzymuje wir życia.

Odłożyłam Maciupka, otarłam łzy i zaparzyłam w kubku z sercem napar z mięty. Z dodatkiem miodu i soku z cytryny. Zupełnie taki, jaki matka robiła mi w dzieciństwie. Para przyjemnie ociepliła mi twarz. Cały pokój wypełnił cytrusowo-miętowy zapach. Znalazłam na YouTube Laurie Anderson. Jej niski, spokojny głos brzmiał tak kojąco. Gładząc się po brzuchu, powtarzałam po niej słowa, jakby były mantrą:

I wanted you.

And I was looking for you.

But I couldn't find you.

I wanted you.

And I was looking for you all day.

But I couldn't find you.

I couldn't find you.

You're walking.

Czym wypełnić sobie te długie godziny? Jak na złość najbliższe warsztaty miałam za cztery dni. Żadnych ważnych spotkań w kalendarzu, do napisania jedynie tekst o kuchni ajurwedyjskiej zamówiony przez pismo o dzieciach. Tylko jak pisać z myślą o dzieciach, kiedy chwilowo o dziecku wolisz nie myśleć? Zostawał mi blog. Świetlisty kanał w pociemniałej rzeczywistości. Przyjemna podróż od pytań do odpowiedzi, która daje poczucie sprawczości i czystą radość.

Kiedy się boisz, twoje życie zajada lęk

A wtedy nie śpisz, źle trawisz, tyjesz i tracisz... zdolność do działania i odczuwania radości.

Co robić? Idealne recepty, diety i wzory na zdrowe życie to nowa choroba naszych czasów. Kluczem do dobrego trawienia, głębokich snów i lekkiego życia jest bioindywidualność. Jesteśmy różni. Dlatego obserwuj, wnikaaj, ulepszaj... siebie, a nie innych.

Wszystko zaczyna się od obserwacji własnego wnętrza i tego, co nam służy, a co nie. Nie poczujemy się lepiej, robiąc dokładnie to, co ikona fitnessu, a jedynie to, co współgra z naszą indywidualną konstrukcją. A więc... eksperymentuj, szukaj, próbuj. Sprawdzaj na sobie różne metody.

Dziś proponuję ci ekspresową podróż do praźródła holistycznej nauki o zdrowiu, czyli

wciągającej mnie coraz bardziej ajurwedy. Wiele tu prawidłowości wspólnych z innymi tradycjami, jak instrukcje, czego z czym nie łączyć: posiłków zimnych z gorącymi, surowych z gotowanymi, mleka z rybami, mleka z mięsem.

To, co szczególne w ajurwedzie, to podział na dosze, czyli typy osobowościowe. Postępując według niego, zdaniem ajurwedy, najłatwiej skutecznie zadbać o swoje zdrowie psychiczne i fizyczne.

Osoby typu WATA — mają nieprzewidywalny apetyt i niechęć do rutyny, powinny jadać często, gdy tylko poczują głód. Najlepiej: rzeczy ciepłe i duszone, ciężkie, nawilżające, pożywne, łagodzące, o małym zróżnicowaniu podczas jednego posiłku. Element wata nasila się w jesieni życia i w czasie tej, która co roku przychodzi po lecie. Watę zaburzają pokarmy ostre, cierpkie, lekkie, suche, zimne — osoby z przewagą typu wata powinny jeść je rzadziej.

Osoby typu PITTA — mają duży apetyt i jeśli go regularnie nie zaspokajają, wybuchają gniewem, stają się rozdrażnione. Najlepsze są dla nich posiłki chłodne, lekko suche i nieco ciężkie. Pitta nasila się latem, w południe i o północy. Zaburzają ją potrawy ostre, pikantne, kwaśne, lekkie, tłuste, słone.

Osoby typu KAPHA powinny jadać rzadziej i mniej, to jedyna grupa, która może pomijać śniadania. Kapha nasila się późnym rankiem, wieczorem i wiosną. Równoważą ją pokarmy ostre, lekkie, suche, cierpkie i gorące, a zaburzają słodkie, ciężkie, kwaśne, tłuste, słone i zimne.

A teraz, na rozgrzanie jesiennych apetytów, proponuję ajurwedyjską zupę z czerwonej soczewicy. Oto jej wpływ na poszczególne rodzaje dosz:

Wata: 0

Pitta: +

Kapha: –

Przygotuj:

- 1 szklankę suchej, czerwonej soczewicy
- 7 szklanek wody
- 1 łyżkę oleju słonecznikowego
- 1/2 łyżeczki nasion gorczycy
- 1 i 1/2 łyżeczki soli morskiej
- 1/2 pokrojonej zielonej papryczki
- 2 łyżeczki zmielonej kolendry

- 1 łyżeczkę kurkumy
- 3 łyżki soku z cytryny
- 2 łyżki świeżego imbiru
- 2 łyżki słodku jęczmiennego

Do dzieła!

Namocz na godzinę soczewicę, a następnie ugotuj ją do miękkości w 4 szklankach wody (potrwa to około 30 minut). W rondelku rozgrzej olej i nasiona gorczycy. Kiedy zaczną strzelać, dodaj kurkumę. Połącz przyprawy z ugotowaną soczewicą, dodając jeszcze 3 szklanki wody. Gotuj przez kolejne 10 minut na średnim ogniu.

(Osoby o doszy pitta: jeśli dodacie liście kolendry, tym lepiej dla waszych jelit).

Płomiennego dnia!

Opublikowałam post i ruszyłam pod prysznic. Szum wody działał na mnie tak kojąco, że prawie zasnęłam pod strumieniami ciepła. Kiedy wróciłam, oniemiałam. Wśród przybywających z prędkością światła lajków pojawił się wielki zalew komentarzy z pytaniami. Nie mogłam uwierzyć, jak w takim tempie udało mi się uzyskać taką liczbę kliknięć. To graniczyło z cudem. Co sekundę pojawiał się nowy komentarz. Czy można być jednocześnie trochę pitta, a trochę kapha? Czy zioła o działaniu ściągająco-oczyszczająco-ochładzającym, jak koper włoski, są dobre tylko dla pittы, czy także dla waty? Czy to prawda, że typ kapha powinien dodawać do potraw ziele dzięgła? A jeśli osoba o doszy pita nie lubi jadać śniadań, czy powinna zmienić nawyki, czy podejść do tego zgodnie z zasadą bioindywidualności i po prostu odpuścić je sobie? Czy to prawda, że typ pita jest najzdrowszy?...

Jęknęłam z wrażenia. Wystarczyła chwila, jeden ruch, dłuższy wpis i znów mój rytm łączył się z rytmem wszechświata. Budziła się uwaga. Może strach to nic innego, jak utrata uwagi i związane z tym napięcie w ciele? Może powinnam pójść na kolejne kursy ajurwedy, zacząć myśleć o swoim blogu nie tylko jako o zmysłowej celebracji życia, ale jako o uzdrawianiu przez zmysły? Ajurwedyjskie wpisy biją rekordy klikalności. Czyżbyśmy w naszym multizadaniowym świecie bardziej od afrodyzjaków pragnęli nadziei na długowieczność i obietnicy zdrowego życia? Zaintrygowana zajrzałam do wyroczni, by sprawdzić, co ona sądzi po mojej ajurwedyjskiej ścieżce.

Wypadł heksagram 15: Skromność. *Ziemia na górze. Góra na dole. Musisz znaleźć równowagę we wszystkim, co robisz. Inaczej stracisz siły i zaczniesz pesymistycznie patrzeć na świat. Zadbaj o swoje ciało, duszę i rozum...* Trudno o bardziej dosadną odpowiedź, pomyślałam, wkładając buty. Owinęłam się paszminowym szalem w energetyzującym różowym kolorze. Kiedy zapinałam płaszcz, zadzwonił telefon.

— *Ciao*, ajurwedyjska celebrytko, gratulejszyn! — zawołała entuzjastycznie Claudynka. — Mówiłam, że będziesz gwiazdą!

— *Ciao*, czyżbyś zliczała moje lajki pod każdym wpisem? — zapytałam poruszona entuzjazmem przyjaciółki.

— *Bella*, co tam lajki w obliczu bycia gwiazdą numer jeden na pierwszej stronie najpoczytniejszego portalu w kraju, *oh yeee!* — wyrzuciła jednym tchem. — Jesteś *the best, bella*, naprawdę *the best!*

— Claudynko, *grazie*, ale o czym ty mówisz? — zapytałam nieco zdezorientowana.

— No jak to? To ty nic nie wiesz?! — wrzasnęła.

— O czym?

— Jesteś na pierwszej stronie!

— Gdzie?

— W czołówce gazety.pl!

— Ty chyba zwariowałaś. — Westchnęłam, pewna, że Claudynka pędzi właśnie jakąś podwarszawską drogą z prędkością stu kilometrów na godzinę, jednocześnie śledząc, co się dzieje w sieci, i myli strony.

— Lukrusiu, na pierwszej stronie jest wielkie hasło: *Kiedy się boisz, twoje życie zajada lęk*, a dalej: „Znana blogerka kulinarna, specjalistka między innymi od ajurwedy...”.

— Jaka specjalistka od ajurwedy? Pogięło cię? O czym ty mówisz? — zapytałam oszołomiona.

— Ani mnie, ani ich... — zawiesiła kokieteryjnie głos.

— Jakich ich?

— Tych z portalu — wyjaśniła. — Zaraz i tak tą specjalistką będziesz.

— Dziwne, właśnie przed chwilą zastanawiałam się, czy nie powinnam dalej zgłębiać tematu — szepnęłam. — Wiesz, to mnie naprawdę wciągnęło.

— A nie mówiłam, że energia podążyła za uwagą?! — zawołała dumnie Claudynka.

— Co za dziwny dzień, nie wyobrażasz sobie, co się ze mną dzieje — powiedziałam.

— A zadzieje się jeszcze więcej, ha ha! — Roześmiała się. — Wyznam ci w tajemnicy, że Jeremi z myślą o tobie szykuje kolejne ajurwedyjskie szkolenie dla zaawansowanych! — Ekscytowała się Claudynka. — Sprowadza do Warszawy jakiegoś guru z holistycznego ośrodka w Kerali.

— Żartujesz?

— Oczywiście, że nie! — Wzdrygnęła się. — No ale wejdź do tego netu wreszcie! To jest po prostu niesamowite, zobacz, co tam się dzieje w komentarzach.

Podeszłam do laptopa i otworzyłam internet. Na górze było hasło: *Ciążowi głodożercy walczą z żywiołem*, a pod spodem małymi literami mój tytuł: *Kiedy się boisz, twoje życie zajada lęk*, i podpięty link. To było i śmieszne, i straszne zarazem.

— O, madonno... — jęknęłam, patrząc w ekran.

— Mówię ci, Lukrusiu, ty podbijasz świat, bo czujesz epokę i jej pragnienia. *Brava, bella! Brava!*

— Szkoda tylko, że nie zawsze czuję siebie...

— Co ty znowu wygadujesz? Jesteś naszą boginią zmysłów!

— Och, Claudynko... Opanuj się.

— No i prawdziwą trendsetterką! — Claudynka trajkotała jak nakręcona.

— *Bella*, przestań, ajurweda to nie nowość, to tradycja, która ma setki lat — powiedziałam.

— No i co? Ale ty wiesz, jak z niej skorzystać, do czego ją użyć w nowoczesnym wydaniu. Czujesz moment, łączysz detale i o to właśnie chodzi, tak powstają dziś innowacje, poprzez łączenie w nowy sposób starych potencjałów.

— *Bella*, przesadzasz! To przypadek.

— Lukrusiu, to, co wewnątrz, to na zewnątrz. Wiesz dobrze, że nie ma przypadków.

— Może to w takim razie fart losu albo rekompensata...

— Człowiek dostaje to, czego się spodziewa — Claudynka wyrecytowała jedną ze swoich ulubionych afirmacji.

— Tylko nie to!

— Ale zaraz, co się stało, co za rekompensata? Za co? — zapytała nagle podejrzliwie.

— Za inny niefart, i tyle.

Uwielbienie, jakim darzyłam Claudynkę, nie miało granic. Ale nie byłam w nastroju, żeby się jej teraz zwierzać ze spotkania z posłańcem złej nowiny na ślubie matki. Nie dziś, nie w tym momencie. Nie chodziło o nią. Nawet nie potrafiłabym wypowiedzieć na głos tych zimnych słów, że z moją maleńką istotką, z tym tak wyczekiwany maciupkiem coś jest nie tak. Nie chciałam sama przed sobą wypowiedzieć, że istnieje ktokolwiek na tej ziemi, kto mógł coś złego zobaczyć, przedzierając się przez powłoki mojej skóry do tej wodnistej komnaty, w której moje dziecko dzień za dniem przygotowuje się do wyjścia na świat. Na samą myśl poczułam skurcz w podbrzuszu i dziwny ucisk w okolicach lewej piersi. Jakby serce tej małej istoty było połączone z moim sercem. Zdawało mi się, że słyszę jej delikatny oddech, jakby coś za jego pomocą próbowała do mnie wyszeptać. Nie potrafiłam powstrzymać łez...

Minęło może dwadzieścia minut od chwili, gdy rzuciłam Claudynce: „Muszę kończyć” i odłożyłam słuchawkę, a już słyszałam energiczne łomotanie do drzwi. Czy to nowe obyczaje listonosza? — pomyślałam zaskoczona tą impertynencją. Wytarłam twarz ze śladów łez i podeszłam do drzwi.

— *Bella*, co to ma znaczyć? — zadudniła władcym tonem Claudynka.

— Co ty tu robisz? Co się stało? — odpowiedziałam zdezorientowana.

— Co to za kończenie rozmów znienacka? Hormony hormonami, ale dosyć tych chlipań, chcesz urodzić dziecko-mazgaja?! — zawołała.

— O co ci chodzi? — Byłam kompletnie zbita z tropu.

— Słyszałam, jak chlipałaś do słuchawki. Co ty sobie wyobrazasz? Twojemu dziecku formuje się mózg, serce, pamięć komórkowa, a ty mu tu ryki zapodajesz?! Jako przyszła ciotka tego urwipolcia nie mogę na to pozwolić! — powiedziała z czułym uśmiechem.

— *Bella*, sorry, od początku ciąży same tragedie, ja już nie wyrabiam — jęknęłam.

— Jakie znowu tragedie? Owszem, umarł ci pies, nie mówię, że to jest wesołe, ale pomyśl, że niektórym w ciąży umiera mąż albo matka...

— Błagam, przestań...

— Oplakałaś stratę i na tym koniec. Teraz zacznij się wreszcie cieszyć swoimi sukcesami, swoim dzieckiem i całym życiem — Claudynka nadawała jak nakręcona.

— Claudynko... — szepnęłam, obejmując ją ramieniem. — Nie mogę, z dzieckiem coś jest nie tak.

— Skąd wiesz? — Zamarła.

— Dowiedziałam się parę dni temu — wystękałam.

— Już odebrałaś te badania genetyczne?

— Nie, będą dopiero za kilka dni i dlatego umieram ze strachu, bo...

— Zaraz, to skąd wiesz, że coś jest nie tak?! — zawołała Claudynka. — Byłaś na kolejnym USG?

— Nie, na ślubie matki spotkałam czytaczkę aury i ona to zobaczyła — powiedziałam ze łzami w oczach.

— O, w mordę jeża! — wrzasnęła Claudynka. — Jaka znowu czytaczkę aury? W ciemnym lesie na polanie zobaczyła ci przez brzuch, przez ubranie wadę w kilkucentymetrowym maleństwie?

— Tak.

— Lukrusiu, czyś ty zwariowała? — zapytała czule, przytulając mnie z całej siły.

— Sama nie wiem — szepnęłam. — Zrozum, że w takiej chwili nie wiesz, komu wierzyć, wszystko wydaje ci się możliwe.

— *Bella*, tak nie może być! Dostyc tych strachów, łez i złych odczytów aury. Musimy działać — powiedziała swoim najbardziej rzeczowym tonem Claudynka.

Że Claudynka miała rację, to rzecz pewna, ale jak z tej racji zrobić sensowny użytek, to już inna kwestia. Nie żebym kiedykolwiek zwątpiła w jej niedościgniony umysł, ale czy to na skutek hormonalnego zamętu, czy też ogólnego zmęczenia, nie miałam większych nadziei na poprawę swojego losu w najbliższych dniach. Claudynka tymczasem, nie zdejmując płaszcza, chodziła w tę i z powrotem po pokoju, jak to miała w zwyczaju wtedy, gdy szukała odpowiedzi na jakieś naglące pytanie. Nie przerywałam jej milczenia. Patrząc na jej skupiony wyraz twarzy, nie miałam nawet śmiałości nastawić sokowirówki, żeby zaproponować nam trochę optymistycznego w kolorze soku marchwiowego. Zdecydowałam się na ręczne wyciskanie pomarańczy. Zmieszałam sok z pyłkiem kwiatowym i odrobiną aloesu. Claudynka rzuciła okiem na napój, ale nawet się nie zatrzymała, wciąż krążyła w tę i z powrotem, mrużąc oczy. Poczulałam jakiś zew i cichuteńko odpałam na komputerze jeden z naszych najukochańszych przebojów...

W moim magicznym domu

Wszystko się zdarzyć może.

Same zmyślają się historie,

Sam się rozgryza orzech.

W moim magicznym domu

Ciepło jest i bezpiecznie.

Gościu znużony, gościu znudzony,

Jeśli zabłądzisz kiedyś w te strony,

Zajrzyj tu do nas koniecznie.

Claudynka zwolniła nieco kroku, uśmiechnęła się i w końcu usiadła. Wypiła spokojnie cały sok i bez słowa chwyciła za telefon, patrząc na mnie jednym z tych swoich szelmowskich uśmieszków, który znaczył ni mniej, ni więcej, tylko: jesteście nieustraszone!

— Halo, tu Claudyna, dzień dobry, sprawa życia i śmierci, jeden seans dziś koniecznie — powiedziała do słuchawki.

Przez chwilę słuchała w napięciu swojego rozmówcy, po czym rozpromieniła się na twarzy, wzięła głęboki oddech, spojrzała na mnie czujnym wzrokiem i rzuciła do telefonu:

— Za pół godziny jesteśmy, wielkie dzięki.

Zbliżyła się, pogłaskała mnie po głowie i przytuliła przez chwilę, przypatrując mi się z czułością.

— Lukrusiu, ruszamy! — powiedziała z błyskiem w oczach.

— *Bella*, co ty kombinujesz? — zapytałam niepewnie.

— Mamy to! — wrzasnęła uradowana Claudynka. — Jak mogłam wcześniej na to nie wpaść? Lukrusiu, ubieraj się i jedziemy! — zawołała stanowczo.

— Dokąd? Claudynko, co ty znowu wyprawiasz? — zaniepokoiłam się.

— Uzdrowić twoją duszę — szepnęła.

— O nie, daj mi spokój — zaproponowałam.

— *Bella*, czy ja cię kiedyś wpuściłam w maliny?

— Nigdy, ale nie mam dziś ochoty na wyglupy — jęknęłam. — Nie jestem w nastroju, naprawdę.

— Zaufaj mi, *please!* To ci pomoże, obiecuję — przekonywała błagalnym tonem. — Chodźmy!

Oczy Claudynki płonęły. Dalsza dyskusja z nią nie miała sensu. Włożyłam więc buty, płaszcz, czapkę i owijając się szalikiem, zesłam za nią na dół. Nie miałam wątpliwości, że zaraz poznam jakiegoś największego maga na planecie Ziemia i zostanę poddana dziwnym rytuałom. Miałam tylko nadzieję, że Claudynka bierze pod uwagę fakt, że na przykład wytrząsanie traumy metodą fizyczną i tym podobne uzdrowienia w okresie ciąży są zabronione. Wsiadłyśmy do land rovera, którego Claudynka pożyczała od Jeremiego, i z zawrotną prędkością popędziłyśmy w kierunku Mokotowa. Przednią szybę pokrywały kropelki deszczu, raz po raz unicestwiane wycieraczkami. Miałam wrażenie, że słyszę pęd wiatru zderzającego się z autem. Na wysokości ulicy Idzikowskiego skręciłyśmy w bok, potem raz jeszcze i zatrzymałyśmy się przed niewielką starą willą, położoną między dwoma eleganckimi posesjami.

Furtka była otwarta. Weszłyśmy do wiekowego, zarośniętego na wpół dziko ogrodu. Na werandzie w glinianych donicach rosły zioła. Claudynka zapukała do drzwi. Po dłuższej chwili otworzyła nam jakaś starsza pani. W ciemnym przedpokoju nie było widać jej twarzy. Claudynka przedstawiła mnie, po czym zniknęła gdzieś w głębi domu, a ja weszłam do wskazanego przez staruszkę pokoju z zasuniętymi zasłonami. Usiadłam naprzeciwko niej. Przez dłuższą chwilę patrzyła na mnie w milczeniu. Wydawało mi się, że już gdzieś widziałam jej piękną twarz. Miała duże, przenikliwe oczy, w których było widać siłę i spokój, oraz siwiuteńkie, proste włosy.

— Słucham panią... — powiedziała w końcu niskim głosem. — Nad czym chce pani pracować?

— Boję się — szepnęłam.

— Czego? — zapytała spokojnie.

— Jestem w ciąży i boję się o zdrowie mojego dziecka — powiedziałam po dłuższej chwili ciszy. — Podobno coś jest z nim nie tak...

— Dla umysłu nie istnieją ograniczenia, poza tymi, które sami uznamy za prawdziwe — odpowiedziała. — Jeśli zaczniesz myśleć, że jest w tobie choroba, ona się pojawi. Jeśli zaczniesz wierzyć w swoją moc uzdrawiania, zachowasz spokojny umysł i będziesz zdrowa.

— Tylko jak to zrobić?

— Połóż się tutaj, głową w stronę okna — powiedziała, wskazując stół przykryty białym prześcieradłem. — Zamknij oczy i nie otwieraj ich, dopóki ci nie powiem. Będę cię prowadzić, zadając ci pytania, a ty będziesz widzieć odpowiedzi. Czasem zamiast obrazu pojawi się odczucie w ciele. Jeśli czegoś nie zobaczysz, po prostu powiedz, że nie widzisz. Dobrze?

— Tak — odpowiedziałam zaskoczona tym, jak bardzo bezpiecznie i spokojnie się czuję, kompletnie nie wiedząc, co mnie czeka.

Zamknęłam oczy. Rozciągnęłam się wygodnie. A po chwili, podążając za komendami staruszki, rozluźniałam poszczególne części ciała. Czułam, jak opadają mi bezwładnie nogi, ręce, pośladki, wszystko po kolei. Nawet wewnątrz brzucha, głowa, wszystko stawało się takie odprężone. Nieczujące. Było mi coraz bardziej błogo, cicho i przyjemnie.

— A teraz skieruj swoją uwagę na serce. — Usłyszałam płynący z oddali głos. — Spróbuj wejść do środka i spojrzeć, co tam jest.

— Jakiś cień człowieka — szepnęłam nie swoim głosem.

— Przyjrzyj mu się...

— To mój ojciec — wydusiłam z siebie.

— Co on do ciebie mówi?

— Nic, kładzie mi rękę na głowie, ta ręka jest strasznie zimna, i patrzy — powiedziałam, czując, jak robi mi się duszno, jak zatyka mnie w gardle.

— Popatrz na niego, może coś ci pokazuje.

— Ma takie zimne ręce — wykrztusiłam, kaszłąc. — On patrzy na kładkę, taką na rzeczce. Jest po drugiej stronie.

— Czy możesz przejść do niego przez tę kładkę?

— Nie wiem — wykrztusiłam, wciąż charcząc. — Nie, kładka jest dziurawa, trzęsie się, on nie chce do niej podejść.

— Ty podejdź do niego, możesz?

— Boję się, że upadnę. — Załkałam.

— Możesz mu to wybaczyć, jeśli upadniesz?

— Nie... Nie wiem... Może... Już nie ma takich zimnych rąk... Mogę... — wykrztusiłam.

— Powiedz do niego w myślach: „Wybaczam ci”, a potem idź w jego stronę... Patrz mu w oczy. Możesz to zrobić?

— Tak... — szepnęłam, czując, że robi mi się coraz cieplej.

— A teraz, patrząc na niego, powiedz mu w myślach: „Dziękuję, tato, że dałeś mi życie, dzięki tobie już nie muszę się bać”.

Całe moje ciało wypełniła przyjemna fala ciepła, rozlewała się powoli po plecach, po piersiach, płynąc do brzucha, do rąk, nóg, czułam ją nawet w głowie, na twarzy, na powiekach, ustach. Wszędzie. Docierała do brzegów ciała i tam się osadzała, wzdłuż moich konturów, jak siła, która musi mnie obrysować, zbudować granice między mną a światem. Granice, które pozwalają utrzymać płyny przelewające się w ciele w zwartej formie — tak, by czuły, że się nie wyleją, że są bezpieczne. Że ja jestem bezpieczna, mając je w sobie.

— A teraz poczuj ciepło, którym wypełnione jest twoje serce. — Znów usłyszałam dobiegający z oddali głos. — Poczuj, jak ciepły jest twój brzuch, twoje piersi, twoje łono, twoje nogi i ręce. Bardzo powoli, delikatnie porusz swoimi stopami, a teraz dłońmi. Za chwilę, jak tylko będziesz gotowa, spróbuj otworzyć oczy.

Najpierw usłyszałam delikatny szum, a raczej echo jakiegoś odległego szumu, a potem krótkie szumnięcie. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam ciepły blask lampionu, który oświetlał pokój, rzucając na ścianę ruchome cienie. Przekręciła się lekko na bok.

— Usiądź powoli, ostrożnie, bo może ci się kręcić w głowie — powiedziała starszka. — Dobrze się czujesz?

— Tak.

— Wyprostuj się, proszę, i oddychaj spokojnie — dodała, stając za moimi plecami. — To, co żeńskie, i to, co męskie, jest już w pięknej harmonii — dodała. — Wypij to, proszę — dodała, serwując mi kubek ciepłego naparu.

— Pyszne — szepnęłam. — To cynamon, prawda?

Piłam mieszankę ziół w ciszy, łyk za łykiem, zerkając na obserwującą mnie starszkę. Miała niezwykle łagodne oczy. Wydawało mi się, że gdzieś już ją widziałam. Byłam tego prawie pewna. Nie mogłam tylko przypomnieć sobie tej sytuacji.

— Jesteśmy z ciał naszych rodziców — powiedziała starszka. — Płyny w nas: krew, limfa, są żeńskie, a układ nerwowy, nasze granice są męskie.

— A serce? — zapytałam.

— Męskie. Gdy nie masz w sobie dobrego kontaktu z tym, co męskie, nie potrafisz kochać. Gdy w sercu jest strach, trzeba go uwolnić, bo nie popłynie przez nie miłość.

— Jak się go pozbyć?

— Poczucie jedności ze wszystkim, co cię otacza, jest prawdziwą miłością.

— Ale jak to osiągnąć? — zapytałam, odstawiając kubek po wypitym naparze.

— Twoje myśli zamieniają się w odczucia.

— A gdy pojawia się uczucie strachu?

— Zmieniaj myśli, a jeśli nie możesz, bo za bardzo się boisz, wyobraź sobie, że masz za swoim lewym ramieniem matkę, za prawym ojca, i idź naprzód, mając przed sobą całe przestworza. Rozpościeraj skrzydła jak ptak, fruń, czując pod stopami ziemię. Nie musisz się odwracać, sprawdzać, bo i tak wiesz, że masz za sobą całe pokolenia przodków, którzy cię chronią.

Pożegnałam się ze starszką i wyszłam na werandę. Dokładnie w tej chwili pod furtkę podjechał land rover i wysiadła z niego Claudynka. Spojrzała na mnie uważnie.

— To się nazywa mieć *timing* profesjonalnego szofera! — zawołałam wesoło, ściskając ją serdecznie.

ROZDZIAŁ 8

Tajemniczy terier i ekstaza pompona

Wszystko jest energią. Nasze związki, nasze zdrowie, nawet pieniądze — zaczął swój wykład wystrojony w pomarańczową sukmanę Hindus. Pieniądze manifestują życie, im więcej w nas życia, tym łatwiej płyną pieniądze. Szanujemy je tak, jak szanujemy swoje życie. Cieszymy się nimi dokładnie tak, jak cieszymy się własnym życiem. Tam, gdzie brakuje pieniędzy, tam brakuje życia...

Wpatrywałam się w ekran monitora, zafascynowana tym, co opowiadał prowadzący webinar Hindus. Byłam wdzięczna Jeremiemu, że mnie zawiadomił o możliwości uczestniczenia online w tym wykładzie. Jeszcze mocniej upewniłam się, że ajurwedyjska ścieżka na długo zagości w moim życiu i zgłębię w najbliższym czasie wiele kryjących się na niej tajemnic. Podekscytowana, zaraz po wykładzie przyrządziłam pyszną ajurwedyjską zakąskę dla moich czytelników i... domowników. Tak od jakiegoś czasu nazywałam i nocującego tu często Konstantego, i nawiedzające mnie nieustannie przyjaciółki.

Celebruj swoje czekanie...

Niektóre z nas czekają na rozpogodzenie nieba, inne na wielką miłość, jeszcze inne na narodziny dziecka. Czymkolwiek to jest, mając do wyboru czekanie w napięciu i czekanie w odprężeniu, polecam ci to drugie. Im bardziej się odprężysz, tym więcej doświadczysz smaków i zapachów umilających ten czas. Idealny na poprawienie nastroju i wzmocnienie podczas czekania będzie Migdałowy szal...

Przygotuj:

- 100 g migdałów
- kawałek startego świeżego imbiru (około 5 cm)
- 2 łyżki klarowanego masła
- 2 łyżki jasnego płynnego miodu

Na rozgrzanej patelni rozpuść masło klarowane, dodaj migdały i imbir. Podgrzewaj na średnim ogniu, często mieszając, aż migdały zaczną się rumienić. Gdy będą lekko przysmażone, dolej miód. Dobrze wymieszaj, wystudź i delektuj się słodkim czekaniem... na więcej.

Aromat migdałów zawładnął całym mieszkaniem i moją wyobraźnią. Po wrzuceniu posta i fotek na blog byłam gotowa zaraz przyrządzić następną potrawę, w której mogłabym wykorzystać ich obłędną słodycz. Odgłos kliknięcia w domofonie zawiadamiał, że nadciąga Konstanty, który niespodziewanie ogłosił, że wpadnie dziś o dwunastej wypić ze mną w połowie dnia kawę, bo i tak będzie w okolicy. Już po chwili pukał do drzwi. Kiedy otworzyłam, z bardzo

tajemniczą miną wszedł do środka i postawił na podłodze wielką czarną torbę. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Torba tymczasem zaczęła się dziwnie ruszać.

— Kochanie, co to jest? — zapytałam zaskoczona.

— To prezent dla ciebie — wyjaśnił z uśmiechem.

— Dziwny... Ale z jakiej okazji?

— Z okazji imienin.

— Tyle że ja nie mam dziś imienin — powiedziałam zaskoczona.

— Masz chyba całkiem niedługo, prawda? Więc przyjmij prezent z lekkim wyprzedzeniem.

Nim zdążył dokończyć zdanie, z torby wygramolił się mały czarny kudłacz. Obiegł mnie dookoła, po czym rozsuwając się na łapach, popędził do Konstantego, podskoczył kilka razy i zaczął ganiać dookoła stołu, przewracając po drodze leżące na stosiku książki kucharskie. Po kilku rundkach wskoczył na kanapę, powiercił się na niej, zrzucając poduszki, wyrzucił się na grzbiet, nieporadnie przekoziołkował i znów do mnie podbiegł. Teraz zaczął się łaścić, skacząc mi po nogach.

— Hej, nie drap mnie, uspokój się, podrzesz mi rajstopy — krzyknęłam. — Kochanie, co to jest? — zawołałam po chwili oszołomienia.

— Twój prezent — wyjaśnił, patrząc na mnie z czułym uśmiechem.

— Ale skąd ci przyszło do głowy, żeby... — Nim skończyłam zdanie, kudłacz strącił z szafki małą doniczkę z sukulentem. — Ty łajzo, stój! — krzyknęłam. — Nie demoluj moich roślin! — zawołałam ze śmiechem. — Konstanty, łap go, zaraz zwali kaktusy.

— No, trochę musi się jeszcze nauczyć — powiedział rozbawiony Konstanty. — Ale jestem dobrej myśli, bo to dzieło doskonałe, wyhodowane w czasach stalinowskich w Krasnej Zwiezdie.

— Gdzie?

— Sowietci wyhodowali tę rasę przez zmieszanie sznaucera olbrzyma, rottweilera, airedale terriera, owczarka kaukaskiego i kogoś tam jeszcze. Celem było stworzenie psa wytrzymałego, odpornego na trudne warunki klimatyczne, a co najważniejsze, łatwo się uczącego i chętnego do współpracy z człowiekiem. I oto on: czarny terier rosyjski — zakończył podniośle Konstanty.

— O, madonno. — Westchnęłam. — Czyli on będzie olbrzymem?

— Będzie miał gabarycik, fakt, ale to za jakiś czas, na razie ma kilka tygodni.

— Co za słodziaczek! — powiedziałam rozanielona, patrząc, jak zwinął się w kulkę u moich stóp.

Pogłaskałam kudłate futerko. Było takie ciepłe i miłe, że chciało się zaraz wtulić w nie jak w poduszkę. Nawet fakt, że właściciel futra troszeczkę pośmierdował, nie był w stanie mnie odstraszyć. Kładąc rękę na jego brzuchu i głaszcząc go pod szyją, czułam, jak mocno bije jego serce. Najwyraźniej było mu dobrze. Majtał łapkami i śmiesznie dyszał, wystawiając maciupki język. Miał takie wesołe oczka, błyszczące jak rozżarzone węgliki. Przewracał nimi na wszystkie strony, trochę jakby wymykały się spod władzy jego malutkiego łebka.

— Imię też ma ładne... — zawiesił głos Konstanty. — Zupełnie jakby dobrane dla ciebie.

— Aż się boję zapytać... — powiedziałam niepewnie.

— Amaretto!

— Co takiego?! — krzyknęłam, wybuchając śmiechem.

— Amaretto dla Lukrecji — dodał Konstanty, rozbawiony.

— Nie wierzę, robisz sobie jaja!

— Amaretto! Chodź!

— Nie do wiary! Amaretto, chodź tu, no chodź! — zawołałam podniecona. — Kochanie, ale czy on już wie, że ma tak na imię? Bo trochę jakby nie reaguje — dodałam zawiedziona.

— Oczywiście, że wie, ale się z tym nie obnosi. — Zaśmiał się Konstanty. — Wspominałem chyba, że trochę jeszcze musi się nauczyć?

Amaretto tymczasem odkrył rozkosze zasłony i łapiąc w zęby jej dolny brzeg, zaczął ciągnąć ją szaleńczo raz w jedną, raz w drugą stronę, robiąc przy tym sporo hałasu. Za którymś razem zakręcił się wokół własnego ogona i zaczepił o stojącą na podłodze doniczkę z filodendronem, która na skutek gwałtownego zarzucenia na nią zasłony zachwiała się, a po chwili runęła na ziemię, tłukąc się na kawałki. Huk go wystraszył, stanął zdezorientowany, rozglądając się na boki, i pobiegł w kierunku łóżka, by skryć się pod stosem zwalonych poduszek.

— Widzę, że zadbałeś równocześnie o moją aktywność — powiedziałam niespokojnie.

— Sama powtarzasz, że ruch to podstawa, żeby ciąża nie uziemiła kobiety i nie zredukowała jej libido — odpowiedział kokieteryjnie Konstanty.

— Ja to mówiłam? Kiedy? — odparłam zaskoczona.

— Pisałaś... — zawiesił głos. — Na najbardziej poczytnym blogu w mieście.

— Aha — westchnęłam, wpatrując się w napięciu w Amaretta pędzącego w kierunku drzwi balkonowych. — O, nie! Ani się waż! Łap go, Konstanty.

— Marzenie świętej głowy... — jęknął Konstanty, wystawiając ręce do wymykającego się kudłacza.

— Stój, łobuzie, nie zbliżaj się nawet do mojej ukochanej monstery! — krzyknęłam i w ślad za nim ruszyłam w kierunku kwiatka, przesuwając go w bezpieczny kąt między komodą a ścianą.

— Kochanie, za tydzień, no, może trzy on będzie potulny jak niewiniątko — zapewnił dobrodusznie Konstanty.

— Niewiniątka to najbardziej podstępne bestie — odparłam, nie spuszczać psa z oczu.

— No dobrze, ja tymczasem muszę wracać do pracy. Bawcie się dobrze, przyjdę wieczorem.

— Co? I tak mnie z nim teraz zostawisz?! — zawołałam. — Chyba zwariowałaś?

— Spójrz na niego — powiedział uwodzicielskim tonem Konstanty, wskazując na sadowiącego się w fotelu psa. — On już się opamiętał i próbuje ci się przypodobać.

— Właśnie widzę. — Westchnęłam, patrząc, jak szczeniak zwała z fotela poduszkę.

Ucałowałam Konstantego, szepcząc mu do ucha: „Dziękuję”. Nie musiałam się rozpląwać w epitetach, wiedział, że mnie uszczęśliwił, nawet jeśli z powodu oszołomienia nową sytuacją jeszcze nie w pełni umiałam dać wyraz swojej radości. Amaretto, mimo że chwilowo prezentował się od najgorszej strony, był czarujący. Jednego tylko nie mogłam pojąć — dlaczego akurat dziś Konstanty postanowił mi go podarować. Od śmierci Dolcevitia upłynęło dopiero kilka tygodni, nigdy mnie nawet nie pytał, czy chciałabym mieć nowego psa. Dlaczego ni stąd, ni zowąd zdecydował się, by mi go sprawić?

Jeśli nie rozumiesz mężczyzny, spróbuj zrozumieć siebie, mawiała ciotka Aurelia. *W tym celu skocz do przodu i obejrzyj się za siebie*. Brzmiało dobrze, ale chwilowo nie przydawało się na wiele. Czyżbym dawała Konstantemu jakieś nieświadome komunikaty o tym, jak często czuję się samotna, gdy on znika gdzieś wieczorami? Nawet jeśli, to czy tak doświadczony coach i doradca naprawdę mógł sądzić, że szalony kundelek zdoła go zastąpić? Poza tym musi chyba zdawać sobie sprawę, że niebawem będę miała wielki brzuch i poranne wychodzenie w mroźne dni z pieskiem może nie być szczytem moich marzeń. Instynktownie czułam, że coś się za tym dziwnym prezentem kryje. Parząc jaśminową herbatę, zaczęłam się zastanawiać, jak ten

wywrotowy szczeniak zaprzyjaźni się z wyposażonym w dużą dawkę testosteronu psem Konstantego. Rozważania przerwał mi rumor dobiegający z sypialni. Na chwilę zamarłam, wzięłam dwa głębokie oddechy i spokojnym krokiem poszłam oszacować skalę strat.

Na moim przykrytym błękitną narzutą łóżku falowała jak oszalała wielka bryła. Przypominała monstualną meduzę. Wiła się w nieporadnych ruchach, próbując się wydostać z ograniczającej ją materii. Wybuchnęłam śmiechem, obserwując, jak wielką przeszkodą w życiu takiego szkrabka może się okazać zwykły płaszcz zwalony na jego grzbiet z wieszaka. W chwili, gdy go spod niego wyswobodziłam, zrobił pocieszną minę i z wdzięczności zaczął lizać mnie po rękę. Ten zalew czułości został przerwany przez dźwięk telefonu.

— *Ciao, bella*, jaki stan ducha?! — zawołała pogodnie Wera.

— Jak u strażaka debutanta, który przysposabia się w gaszeniu niegroźnych pożarów, ale nie traci przy tym poczucia humoru — odparłam rozbawiona.

— Wow! Co się dzieje? — zapytała Wera.

— W moim życiu pojawił się nieprzewidywalny brunet.

— Kto?!

— Ma na imię Amaretto i wywraca do góry nogami moje ustabilizowane życie — wyznałam tajemniczo.

— Kto taki? — Ożywiła się Wera.

— Mój nowy pies, *bella* — wyjaśniłam.

— Co? Kupiłaś sobie psa?! — krzyknęła z niedowierzaniem.

— Niespodziewanie obdarował mnie nim Konstanty.

— O, madonno, ale przecież zaraz będzie zima, ślizgawka, a ty z wielkim brzuchem... — Zaniepokoiła się Wera.

— A potem z małym bobasem.

— Czy on ześwirował?

— Wolę tego nie badać — powiedziałam ze śmiechem.

— Nie no, naprawdę, taki zrównoważony facet, a tak nieobliczalny. Jak wy się teraz zorganizujecie w domu ze szczeniakiem, z jego psem i z dzieckiem? — zastanawiała się Wera.

— Przypomnę ci, że w moim domu jest jak na razie tylko szczeniak, a pies mojego chłopaka mieszka u niego — podkreśliłam.

— Ale zaraz... — Wera nagle urwała. — A właśnie, Lukrusiu, czy wy jutro nie odbieracie tych badań? — zmieniła raptownie temat.

— A który dziś jest? — Spojrzałam na kalendarz. — Madonno, tak, jutro, zupełnie wyparłam to ze świadomości.

Doznałam nagłego olśnienia. Pożegnałam się z Werą, zapewniając, że zadzwonię jutro zaraz po wyjściu od lekarza, i usiadłam na kanapie obok zwiniętego w kulkę kudłacza. Wyglądało na to, że po licznych wrażeniach związanych z zapoznawaniem się z nowym terytorium potrzebował chwilowego odsapnięcia. Głaszcząc jego milutkie futerko i czując przez nie ciepły oddech szczeniaka, pomyślałam, że pewnie ten zaskakujący prezent od Konstantego to coś na kształt asekuracji. Być może, o wiele bardziej niż sądziłam, boi się wyniku jutrzejszych badań i mimo że nigdy o tym nie wspomniał, bierze pod uwagę najgorsze. Właśnie dlatego chciał przekierować moją uwagę na tę małą, żywiołową istotkę, na wypadek gdyby się okazało...

Słowa wypowiedziane na ślubie matki przez czytającą aurę Reginę nagle przypląnęły z siłą tsunami, jakby wydostały się spod lodowatej kry, która od wielu dni chroniła mnie przed ich brzmieniem, i uderzyły falą o brzeg jakiejś niewidzialnej granicy, która otaczała moje ciało. Odbite, rozprysły się jak krople znikające w nocnym deszczu. Podeszłam do drzwi balkonowych. Łagodny wiatr poruszał ostatnimi liśćmi na drzewach. Wpatrując się w szarawe niebo, które nie

mogło się zdecydować, czy wpuścić na swoje powłoki słońce, czy deszcz, położyłam rękę na brzuchu i gładząc się delikatnie, poczułam dziwny spokój, jakbym słyszała czułą kołysankę. W oddali, na wierzbie, którą, o dziwo, wciąż jeszcze otulało sporo jak na tę porę roku liści, zobaczyłam dwa zbliżające się ku sobie gołębie. Po chwili złączyły się i zaczęły zabawnie trząść kuprami. Dwie wędrowne istoty, zupełnie różne, odrębne, obie stanowiące zamkniętą całość — połączyły się przykryte dziurawą kołdrą drobnych liści. Tak pewne, jakby postanowiły się spotkać już dużo wcześniej, jakby już dawno wiedziały, że one razem, że właśnie tutaj... W szarawym świetle wyglądały jak jeden organizm, jedno istnienie. Trwało to długo, bardzo długo, widocznie nie musiały się spieszyć, a potem lekko się odchyliły i wbiły razem do lotu. Dwa bliskie sobie, ruchome punkty, które rozmyły się na tle nieba, stając się jego częścią.

Z zamyślenia wyrwał mnie nieprzyjemny zapasek, który wplatał się w chłodny powiew wiatru i od dobrych kilku sekund przejmował nad nim kontrolę. Niestety niewiele miał wspólnego z aurą, najwyraźniej dolatywał z pokoju. Śledztwo nie trwało długo. Najdogodniejszym miejscem dla debiutanckiej kupy Amaretta okazał się mięciutki biały dywanik przy kanapie. Nawet nie zdążyłam poczuć złości. Wilgotny i ciepły język, który załaskotał mnie właśnie w okolicach kostki i prosił o wyrozumiałość, chwilowo pozbawił mnie zacięcia pedagogicznego. Machnęłam tylko ręką nad dywanikiem, artykułując w stronę Amaretta głośno: „A fuj”, i rozpoczęłam szybką akcję ratunkową mojego ręcznego tkanego skarbu. Zaraz potem zaproponowałam szczeniakowi spacer. Konstanty stanął na wysokości zadania. W wielkiej torbie, w której przydźwigał psa, była jego książeczka szczepień, obroża i smycz z zawieszoną na niej różową kokardką i tabliczką z imieniem zwierzaka.

Włożyłam buty, płaszcz, opatuliłam się szczelnie szalikiem i zabrałam Amaretta na dwór. U zbiegu Mokotowskiej i Pięknej wpadłam na Patrycję, której towarzyszył wysoki, przystojny blondyn.

— *Ciao, bella!* Wow! Co to za pięknotek? — zawołała z zachwytem, patrząc na szczeniaka.

— Przystosowanie do życia z małą, nieprzewidywalną istotą — zażartowałam. — Dostałam go w prezencie od mojego chłopaka.

— Ten twój Konstanty idzie na całość z tak zwanym szczęściem rodzinnym. Zazdroszczę! — Westchnęła. — Poznaj Paula — dodała, wskazując na blondyna. — Właśnie myślałam, czy byś nie wpadła do nas na kawę. Od tygodnia mieszkamy razem.

— Cześć! — rzucił lakonicznie, wymieniając ze mną mocny uścisk ręki.

— To nasza bogini zmysłów, czyli słynna Lukrecja — przedstawiła mnie Patrycja.

— Miło cię poznać — powiedziałam, zwalona z nóg informacją o skuteczności Patrycji we wdrażaniu konceptu życia pod wspólnym dachem.

— Ach, to ty jesteś córką twórczyni treningu neomłodości? — zapytał Paul. — Masz cudowną matkę, gratuluję ci, będzie twarzą naszej kampanii kosmetyków dla dojrzałych kobiet — dodał.

Czy byłam w szoku? Skądże znowu. Ktoś, kto odbył w życiu tak wiele kursów samorozwoju co ja i przyjaźnił się z dwoma najbardziej świadomymi laskami na świecie, nie mógł przecież nie znać hasła: „Sama jestem odpowiedzialna za swoje własne szczęście”. A to, że moja matka od jakiegoś czasu stawała na głowie, by stać się spektakularnym dowodem na słuszność tej tezy, mógł tylko wzbudzać podziw otoczenia. Chyba że... w jakiś przewrotny sposób przypominał nam o osobistym mankamencie na drodze do szczęścia. Na przykład w temacie — jak sprawić, by mężczyzna, który daje ci dziecko, psa i chwile miłości, zaoferował ci również wspólne życie.

Pożegnawszy się z rozpromienioną Patrycją i jej nowym przystojnym współtowarzyszem

życia, ruszyłam z Amarettiem na Pola Mokotowskie. Ilość zapachów i bodźców przyprawiała go o zawrót głowy, toteż tempo naszego spaceru w niczym nie przypominało wprawnych marszów z Dolcevittem. Wiedziałam, że czeka mnie duża lekcja cierpliwości, ale patrząc na tę małą, rozkoszną pokrakę, która absolutnie wszystko chciała obwąchać, czułam wypełniające mnie ciepło. Wodziłam wzrokiem za jego ruchliwą głową, zastanawiając się, jak to by było widzieć tyle obrazów po raz pierwszy i na dodatek tak intensywnie odczuwać ich zapach. Próbowałam sobie wyobrazić, kiedy ta mała istotka, którą niosłam pod sercem, zacznie czuć świat w swoich nozdrzach. Jakie będą pierwsze kwiaty, których zapach zapamięta.

Przypomniałam sobie peonie — ich woń intensywnie kojarzyła mi się z naszą rodzinną kuchnią. Matka wstawiała je do wazonu, w zabawny sposób przycinając łodygi, tak by jedne były krótsze, inne dłuższe. Czasem wsuwała do nich jakieś pojedyncze gladiole, które strzeliście jak maszty wystawały ponad poziom peonii. W niczym nie przypominało to normalnego bukietu, raczej jakąś zabawę z Alicji w Krainie Czarów, w której olbrzymy stykały się z tymi, którzy wypili eliksir, by przejść przez dziurkę od klucza.

Wracając z Pól Mokotowskich, skręciłam w ulicę Batorego, a potem w Boya, by zajrzeć do pobliskiej kwaciarni, w której zawsze oprócz kilku odmian klasycznych kwiatów czaiła się jakaś rzadsza perła. Tym razem mój wzrok zatrzymał się na drobnych, igielkowatych kwiatuskach osadzonych na długim kłosie o walcowatym kształcie, z trawiastymi liśćmi sięgającymi pod sam kwiatostan. Liliowo-różowe liatry. To było coś, co pasowało do tego dnia, do kokardki przy obroży Amaretta i do nastroju, jaki mnie ogarniał, gdy patrzyłam na niesforne małego kudłacza.

Wychodząc z kwaciarni, na pasach natknęłam się na pędzącego gdzieś Jeremiego. Ubrany w elegancki pepitkowy płaszcz, miał na głowie szarą czapkę z pomponem. Zaskoczona tym zestawem omal nie wybuchnęłam śmiechem na przywitanie.

— *Ciao*, Lukrecjo, a cóż to za stwór?! — zawołał na widok szczeniaka. — Nie wiedziałem, że macie nowego psa.

— Trudno powiedzieć, czy mamy go razem, czy mam go sama! W każdym razie to nasz pierwszy spacer — uściśliłam. — Amaretto, zaprezentuj się ładnie — zwróciłam się do szczeniaka, który właśnie oplatał mi nogi smyczą.

— Zazdroszczę, marzę o psie, ale Claudyna twierdzi, że będzie brudził nam w domu, a poza tym, że to nam osłabi życie erotyczne. — Westchnął Jeremi.

— Jak to osłabi? — zapytałam zdumiona.

— No wiesz, Claudynka i jej nieustanne odkrycia w dziedzinie psychologii związków. Podobno najnowsze badania dowodzą, że kiedy kobieta oddala się emocjonalnie od mężczyzny, bo na przykład ma romans, daje mu w prezencie psa, żeby sobie sublimował uczucia i nie zawracał jej głowy — wyjaśnił Jeremi.

— Eee, to tylko pretekst, wiesz przecież, że Claudynka ma obsesję czystości i nie zniosłaby kłaczka sierści na własnej podłodze — próbowałam uspokoić bardziej siebie niż Jeremiego.

Czy to możliwe, że Claudynka wspominała o tych badaniach Konstantemu? — pomyślałam niespokojnie. To wydawało się zbyt nieprawdopodobne, musiałabym o tym słyszeć. Nawet jeśli pomysł obdarowania mnie psem nie miał związku z lękami mojego chłopaka przed jutrzejszym wynikiem badań, nie mógł chyba również, na litość boską, łączyć się z istnieniem jakiejś durnej teorii na temat pakowania mężom psów przez rozwiązłe żony, a tym bardziej wręczania ich przez niemężów nieżonom... spodziewającym się dziecka. Kontrolnie

zadzwoiłam do Wery.

— *Ciao*, Weruś, to znów ja. Słuchaj, myślisz, że Claudynka mogłaby zdradzać Jeremiego? — rzuciłam z głupia frant.

— Lukrusiu, skąd ci to przyszło do głowy? — Roześmiała się Wera.

— Nie wiem sama, po prostu się zastanawiam.

— Coś podejrzewasz? — zapytała czujnie.

— Nie, tak tylko myślę. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że gdy kobiety noszą czapkę z pomponem, jest tak, jakby informowały świat, że mają dodatkowy czulek?

— Prezentując tym samym swoją gotowość seksualną i tęsknotę za penisem... — dokończyła Wera. — Nie mów, że Claudynka kupiła sobie czapkę z pomponem. — Roześmiała się.

— Nie Claudynka, Jeremi! — wyjaśniłam.

— Hm... — Zamyśliła się Wera. — Sądzisz, że mężczyzna, który wkłada pompon, równocześnie coś sugeruje?

— Nie coś, tylko swój potencjał erekcyjny — zawyrokowałam.

— Bella, ale może on go sugeruje tylko Claudynce? — Zamyśliła się Wera.

— Pytanie tylko, po co sugeruje pomponem, skoro może czym innym — powiedziałam podejrzliwie.

Wyrwałam z notesu kartkę i czerwonym flamastrem zapisałam na niej słowa ciotki Aurelii, po czym uśmiechając się sama do siebie, przyczepiłam je na lodówce.

Jeśli nie rozumiesz mężczyzny,

spróbuj zrozumieć siebie!

ROZDZIAŁ 9

Wpadając do raju, na wszelki wypadek rozchyl ramiona

Zbudził mnie potężny huk. Coś na kształt tąpnięcia ściany lub wystrzału fajerwerku. Otworzyłam oczy, a Konstanty zerwał się z łóżka i pobiegł do salonu. Najpierw dobiegło mnie soczyste przekleństwo, a zaraz potem ujadanie Amaretta. Zwlekłam się z łóżka i jęknęłam na widok ruin pozostałych po mojej secesyjnej lampie, która przeżyła przesiedlenie mojej babki, emigrację matki, moich pięć przeprowadzek na ziemi włoskiej i jedną z włoskiej do polskiej, a także półroczne zabawy domowe z buldożkiem. Niestety poległa w zderzeniu z temperamentem małego szczeniaczka rasy stworzonej specjalnie po to, by była przyjazna człowiekowi.

Zdenerwowany Konstanty zaczął nieporadnie zbierać pojedyncze szkła i nosić je do śmietnika. Zastanawiałam się, czy nie potrafi w moim domu namierzyć zmiotki i szufelki, czy też ze zdenerwowania zapomniał o ich istnieniu.

— Ja to zrobię — powiedziałam, podchodząc do szafki.

— To może ja go wyprowadzę, żeby się wysikał — zaproponował niepewnie Konstanty.

— Hm... — Rozejrzałam się po pokoju, pociągając nosem. — Mam wrażenie, że już to zrobił.

— Daj, wyniosę te śmieci — powiedział, stając obok zamiecionych przeze mnie łupin z porcelanowej lampy.

— Ewentualnie można mu zaproponować kupę w terenie, w przeciwnym razie... — zawiesiłam głos, czujnie rozglądając się po pokoju.

Śladów grubszej zbrodni nie znalazłam, wytarłam więc tylko plamę z podłogi i poszłam pod prysznic, podczas gdy Konstanty spacerował ze sprawcą przewinień. Wyszłam na balkon z mokrymi włosami owiniętymi ręcznikiem, by oszacować zamiary nieba. Nie wyglądało najlepiej. Ciemne kłębowiska chmur trzymały się blisko siebie i najwyraźniej nie planowały się rozluźniać w najbliższych godzinach.

— Zwariowałaś? Przeziębisz się! — zawołał Konstanty od progu, widząc mnie na balkonie w samym ręczniku. — Jest straszny ziąb!

— Kochanie, uspokój się, wyszłam na sekundę — powiedziałam. — Chcesz soku z jarmużu i jabłka? — zapytałam, wyciągając z szuflady blender.

— Dziękuję — odparł.

— Dziękuję tak czy dziękuję nie? — zapytałam, spoglądając w jego stronę.

— Nie, zrobię sobie kawę — odparł.

Porwałam na kawałki jarmuż i zajęłam się blendowaniem. Wolałam już się nie odzywać. Był podminowany, widziałam to, ale nie miałam siły, by go pocieszać, bo sama nie czułam się lepiej. Włożyłam rozszerzaną sukienkę w intensywnym jasnozielonym kolorze, odzwierciedlającym barwę czakry serca, może to doda mi energii? Konstanty nerwowo zerkał na zegarek, gdy kończyłam malować rzęsy. Zrezygnowałam z pudrowania. Pospiesznie się uczesałam, włożyłam czapkę, zapięłam płaszcz, owinęłam się szalikiem, wsunęłam wysokie buty, pogładziłam czule Amaretta i zeszliśmy na dół. Akurat zaczęło padać. Konstanty wrócił na górę po parasol, po dwóch minutach był z powrotem. Rozpostarł mi go nad głową, wziął mnie pod rękę i bez słowa przeszliśmy na drugi koniec ulicy, by wsiąść do auta.

Ledwo skręciliśmy w Marszałkowską, utknęliśmy w gigantycznym korku. Konstanty znów zerknął na zegarek. Miał zniecierpliwiony wyraz twarzy. Wpatrywałam się w ściekające po

przedniej szybie strugi deszczu, przypominając sobie, jak jechałyśmy z Claudynką do tajemniczej uzdrowicielki. Przypłynęły do mnie jej słowa. Jeśli nie możesz zmienić myśli, bo za bardzo się boisz, wyobrażaj sobie, że masz za swoim lewym ramieniem matkę, za prawym ojca. I ruszaj naprzód. Rozpościeraj skrzydła jak ptak, fruń, jednocześnie czując pod stopami ziemię. Nie odwracaj się, nie sprawdzaj, tylko czuj, że masz za sobą całe pokolenia przodków, którzy cię chronią.

Na korytarzu, przed wejściem do gabinetu Konstancy chwycił mnie za ręce i pospieszenie pocałował w czoło. Jego dłonie były spocone, a nos, którym mnie musnął, bardzo zimny. Lekarka długo przeglądała coś w plikach, potem zawiesiła wzrok na jakimś dokumencie, długo się w niego wczytując, w końcu powiedziała: „Przepraszam” i wyszła. Czułam, jak strugi potu ciekną mi po plecach, po szyi, jak spływają między piersiami. Wydawało mi się, że od łomotu serca zaraz rozsądzi mi brzuch, a potem głowę, albo na odwrót. Wreszcie lekarka wróciła ze stertą dokumentów, zajrzała w nie, podniosła głowę, spojrzała najpierw na mnie, potem na Konstatego i powiedziała:

— Testy biochemiczne nie wykazały żadnych wad wrodzonych u dziecka.

— To znaczy, że... — wydukał Konstancy.

— To on jest... — szepnęłam.

— To znaczy, że płód rozwija się prawidłowo — powiedziała lekarka.

Wydałam z siebie przeciągły dziki pisk, który trwał i trwał, jakby chciał obieć dookoła cały świat, sunąc wzdłuż rozgrzanego równika. Zerwałam się z krzesła i rzuciłam na szyję Konstategu. Serce szumiało mi jak śmigło helikoptera. Kręciło mi się w głowie. Przed oczami zaczęły wirować obrazy. Sypały się kwiaty kwitnących wiśni z Jokohamy... otwarte pączki białych jaśminów... z babcinego ogrodu... świdrujące w nozdrzach... maleńkie... płatki róż jerychońskich... dzikich i tajemniczych... z afrykańskich wysp... całe zastępy peonii... bordowych... pachnących... tych z kuchennego stołu u mamy... dzwoneczki białych konwalii... w których turlam się po łące... puchate tarcze stokrotek... różowawych... drobnych... gąszcze dzikich pąków róż... tajemniczych... jak w bajkach o księżniczkach... kielichy białych kamelii... z filmów o miłości... gardenie... słodkawe... z karaibskich wysp... blade lilie... otępiające gęstą wonią... strzeliste gladiole... w kolorach pomarańczy... zastępy orchidei... różowych... fioletowych... rozmaitych... jaskry... migocące odcieniami żółci... liliowe fiołki... z parapetów ciotki Heleny... płatki lawendy... z prowansalskich pól... hiacynty... niebieskawe... duszące zapachem... delikatne eustomy... z mediolańskich witryn... słoneczniki... najżółtsze pod słońcem... gałązki kaliny... rozżarzone jak ognie... liliowe bzy... osypujące się z każdej strony... śnieżnobiałe magnolie... w obłędzie rozkwitu... kwiaty o nieznanym imionach... z najodleglejszych wysp świata... wirowały mi przed oczami jak niekończące się konfetti rzucone do stóp naszego maleństwa... zdrowej, maciupeńskiej istotki... która już niebawem będzie mogła oglądać cały ten świat...

— Czy pani słyszy, co ja mówię? — powiedziała lekarka.

— Proszę? — zapytałam oszołomiona.

— Lukrusiu, dobrze się czujesz? — zapytał Konstancy, patrząc na mnie uważnie. — Pani doktor cię pyta, czy możesz przejść do gabinetu obok na USG.

— Co? Tak! Już — szepnęłam. — To znaczy, gdzie mam iść? — zapytałam zdezorientowana.

— Do gabinetu za ścianą — odpowiedziała lekarka. — Czy pani się dobrze czuje? — zapytała.

— Ja? Tak, oczywiście, że tak — odpowiedziałam. — Dziękuję.

Czułam się jak na haju. Trochę jeszcze kręciło mi się w głowie. Białe ściany przychodni

raziły mnie swoim blaskiem. Konstanty wziął mnie pod rękę i przeszliśmy do następnego gabinetu. Przez okno wdzierały się promienie słońca. Niebo zrobiło się tak niebieskie, jakby chciało już zapowiedzieć wiosnę, czas, kiedy nasze dziecko przyjdzie na świat. Rozebrałam się do badania.

— Pan sobie siada tutaj — zwrócił się do Konstantego łysiejący lekarz. — A pani spróbuje głębiej i wolniej oddychać, żeby się trochę zrelaksować — dodał, patrząc w moją stronę.

— Jestem zrelaksowana — szepnęłam.

— Hm... — Spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

Po chwili przystąpił do badania. Obydwoje z Konstantym wpatrywaliśmy się w migotliwy ekran, próbując dostrzec poszczególne części ciała naszego maleństwa. Konstanty trzymał mnie za rękę, raz po raz przyciskając ją do siebie. A ja czułam, jak ciekną mi łzy z emocji.

— Wygląda na to, że przybędzie niebawem na świecie jednej dziewczyny więcej — oświadczył w końcu lekarz.

— Ha ha! Widzisz, mówiłam ci, ja to czułam! — krzyknęłam podekscytowana.

— Jest pan pewien, że to dziewczynka? — zapytał Konstanty, uśmiechając się.

— A co, pan pewnie wołał chłopca? — rzucił lekarz. — Rozumiem, ale ja tu nic nie zmienię, będzie babka.

— Co zrobić... — Zaśmiał się Konstanty. — Same babki do mnie lgną.

— Państwo już macie córkę? — zapytał lekarz.

— Tak — powiedział Konstanty.

— Nie — odpowiedziałam.

— Ach — odparł lekarz.

— W każdym razie wstępny termin porodu wypada około dwudziestego marca. Może pani się już ubrać.

— Czyli ostatni dzień zodiakalnych Ryb — szepnęłam.

— Proszę jeszcze nie układać tu horoskopów, bo nic nie wiadomo. Zresztą i tak będzie cesarka, a w tym wypadku wiele zależy od tego, kiedy będą wolne terminy.

— Jaka znowu cesarka?! — krzyknęłam.

— Jak to? — Wzdrygnął się lekarz. — Tak leciwe pierworódki raczej naturalnie już nie rodzą. Same się teraz kobiety proszą o cesarki, a pani tu kwęka.

— Niech każdy rodzi, jak mu się podoba, dobrze? Ja się obędę bez cesarki — powiedziałam stanowczo.

— Niech się pani uspokoi. To nie jest tylko kwestia wieku. Płód jest źle ułożony, więc nie ma o czym mówić.

— Zaraz, jak to źle ułożony? — zapytałam, wychylając się zza parawanu.

— Spokojnie. Proszę nie panikować. Po prostu dziecko leży odwrotnie, to się zdarza. Ale wtedy trzeba ciąć, nawet młódki.

Zrobiło mi się gorąco. Miałam dość tego chama wygadującego od młódek i leciwych. Nie będzie zarządzał moim dzieckiem ani moją macicą. Zapinając suwak w sukience, próbowałam robić oddechy, żeby się uspokoić... *Uno... due... tre...* Usiadłam na krześle obok Konstantego i czekałam spokojnie, aż lekarz skończy opisywać badanie.

— Panie doktorze, ile mam czasu, żeby obrócić w sobie płód? — zapytałam w końcu.

— Słucham? — Spojrzał na mnie ironicznie.

— Do kiedy jest szansa na obrót? — powtórzyłam dosadniej.

— Proszę pani, to nie jest piłka tenisowa na korcie, tylko żywa istota.

— Czy może mi pan odpowiedzieć na pytanie? — Zirytowałam się.
— Lukrusiu, uspokój się. Co to za różnica, jak będziesz rodzić?
— Sam się uspokój! — fuknęłam. — Chcę rodzić normalnie.
— Proszę pani, cesarskie cięcie jest nie tylko normalną, ale coraz częściej wybieraną przez kobiety formą porodu. Eliminuje ryzyko rozerwania krocza i w odróżnieniu od klasycznego porodu trwa kwadrans.
— Może pan doktor mi oszczędzić tych frazesów.
— Lukrusiu, co się z tobą dzieje? — Zniecierpliwiał się Konstanty. — Przestań tak napierać. Jak ma być cesarka, to będzie. Wszystko jest w porządku.
— Nie będzie żadnej cesarki! — zawołałam. — Moja matka rodziła mnie naturalnie, moja babka tak rodziła moją matkę i ja też tak urodzę naszą córkę, rozumiesz?! — wrzasnęłam i wstałam z krzesła. — Do widzenia — rzuciłam, kierując się w stronę drzwi.
— Bardzo pana przepraszam... — wydukał zakłopotany Konstanty i ruszył w moim kierunku.

W grobowej ciszy wsiedliśmy do auta. Czulałam się rozbita. Euforia mieszała się we mnie ze złością. Było mi głupio, że tak wybuchnęłam, ale zupełnie nie potrafiłam tego zatrzymać. Może zrobiłam z siebie wariatkę, ale gdzieś w głębi duszy czulałam, że mam prawo sobie zaufać, że mam prawo doświadczać złości i ją wyrażać, i mam prawo strzec swoich granic. A przede wszystkim, że wolno mi decydować, w jaki sposób przyjdzie na świat moje dziecko. Nawet jeśli były w tej kwestii jakieś utrudnienia, miałam dziwne przeczucie, że je pokonam. Że urodzę tak, jak chcę.

Amaretto pisał jak gumowa zabaweczka. Przywitał nas serią entuzjastycznych podskoków. Wyglądał jak największy szczęśliwiec pod słońcem. Kołysząc się na boki, biegał dookoła naszych nóg, rysując w powietrzu niewidzialne ósemki. Merdał przy tym swoim kudłatym czarnym ogonkiem, wyginając go w różnych kierunkach. Spojrzeliśmy na siebie rozbawieni tym powitalnym ceremoniałem. Podejrzliwie rozejrzeliśmy się dokoła, ale o dziwo na terenie całego mieszkania nie było żadnych śladów po jego niezdyscyplinowanym układzie wydalniczym. Konstanty odetchnął z ulgą i obwieścił, że w nagrodę za grzeczne sprawowanie zabiera go na długi spacer. A ja ruszyłam do kuchni, by przyrządzić coś prostego i rozgrzewającego. Rzuciłam okiem na półki w lodówce. Mój wzrok zatrzymał się na rządki małych, mocno dojrzałych pomidorów, a zaraz potem automatycznie przeniósł się na okienny parapet, gdzie stało w doniczce świeże oregano, a tuż obok gęsty tymianek. To było to!

Amore pomidore na euforię i gniew

Serca nie można ususzyć jak pomidorów. Przez nieuwagę można je tylko zamrozić... na własne nieszczęście. Wraz z nim zamraża się uczucie. Dopóki nie wprawimy ciała w płynny ruch, nie zaczniemy rozgrzewać serca, nie skontaktujemy się z naszą złością, nie odzyskamy dostępu do radości. A więc przestaniemy się karcić za wybuchy i winić za łzy... Lepiej się wyplakać, wykrzyczeć, niż uschnąć.

Do suszenia o wiele lepiej niż serce nadają się pomidory. Ale ci, którzy nie chcą robić i tego, mogą po prostu je upiec i zrobić sobie jesienną aromatyczną sałatkę.

Przygotuj:

- *1 kg niedużych pomidorów*
- *garść świeżego oregano*
- *garść świeżego tymianku*
- *1 ząbek czosnku*
- *skórkę otartą z 1 pomarańczy*
- *skórkę z 1 cytryny*
- *ostrą papryczkę*
- *sól, pieprz,*
- *oliwę*
- *ser kozi*

Akcja!

Zacznij od ponacinania pomidorów, wyciśnij z nich sok i wyjmij nasionka, a w to miejsce włóż tymianek i oregano, nasyp soli i pieprzu, dodaj przeciśnięty przez praskę czosnek, papryczkę, otarte skórki z cytrusów, polej oliwą i wstaw do rozgrzanego piekarnika (na 140 stopni, nie więcej). Czekaj cierpliwie, aż się zmarszczą. Aż będą wyglądały, jakby się zezłościły. Pod sam koniec dodaj kozi ser — tylko po to, żeby go podgrzać, ale nie rozpuścić.

Serwuj swoje pomidore w nastroju amore... Tak lepiej smakuje.

Przez przeszklone drzwi balkonu wlewało się ciepłe światło jesiennego słońca. Wyjęłam z szuflady dawno nieużywany zielony obrus, który dostałam od babci. Nakryłam do stołu. Postawiłam na nim liliowo-różowe liatry i talerze z liliowymi liśćmi. Aromat puszczających soki pomidorów i rozgrzanych ziół wypełnił cały pokój. Kiedy złożyłam serwetki, wszedł Konstanty. Wytarł ubłocone łapy Amaretta, który z wywieszonym ze zmęczenia językiem i świecącymi ze szczęścia oczami wywijał jak szalony ogonem. Konstanty, pociągając z zachwytem nosem, zerknął w kierunku piekarnika.

— Wróciliście w samą porę! — zawołałam znad zlewu.

— Właśnie czuję — odpowiedział.

— Pomidory już zaczęły się marszczyć z emocji — dodałam. — Wyraźnie są gotowe do rozgrzewania żołądków, albo i serc — szepnęłam sama do siebie.

Konstanty odwiesił płaszcz i podszedł do laptopa. Z miną polawiacza pereł zanurzył się w sieć. Kliknął kilka razy. Po chwili popłynęła jedna z tych piosenek, które sprawiają, że dokądkolwiek biegniesz, decydujesz, by się zatrzymać. Bo wraca do ciebie chwila początku, gdy staliście naprzeciwko siebie po raz pierwszy nadzy albo na tyle otwarci, by nie widzieć żadnej

zbroi oddzielającej jedno ciało od drugiego. Joe Dassin śpiewał francuską wersję *Et si tu n'existais pas*, a Konstanty, do jej rytmu, zaczął cicho nucić polskie słowa:

A gdybyś nie istniała,

Powiedz mi, po cóż miałbym żyć?

By włączyć się po świecie bez Ciebie,

Bez nadziei i żalów?

I gdybyś nie istniała,

Próbowałbym wymyślić miłość.

Jak malarz, który pod swoimi palcami widzi

Rodzące się kolory dnia.

I który nie może wyjść z zachwytu...

W pewnej chwili zbliżył się w moją stronę, otwierając szeroko ramiona. Patrzyłam na jego kontury, znałam już tak dobrze te linie, ale w tej jednej chwili ujrzałam je inaczej niż zwykle, osadzone w ciągłości pokoleń. Poszerzone o sylwetki stojących za nim przodków i ledwo widzialny obrys małej dziewczynki, która stała przed nim. Chwycił mnie dłońmi za biodra, pocałował w usta, a potem objął, tak bardzo mocno, jakby jednym ruchem chciał poderwać moje powiększone o tę małą istotkę ciało w jakąś przestrzeń poza grawitacją. Kołysaliśmy się w tańcu jak splątane ze sobą foteliki na miejskiej karuzeli, czując delikatny pęd wiatru. Zrzucaliśmy z siebie kolejne rzeczy oddzielające nasze ciała. W końcu, w pełni rozbrojeni, zetknęliśmy się ciałami, osuwając się na kanapę. Rozgrzani od środka, głodni siebie, napelnialiśmy się rozkoszą drgań.

ROZDZIAŁ 10

Walcz tylko wtedy, gdy chce ci się śpiewać

— W ciąży, przed nią, po niej czy bez niej... jesteśmy seksualne — zaczęłam mój wykład na konferencji o odżywianiu kobiet w ciąży. — To nie jest kwestia obwodów ani masy, to kwestia tego, co w nas przepływa. Seksualność to napęd. To podstawa zdrowia. To energia życia. Podchwycyca nas i przesuwa ku czemuś więcej, ku jakiemuś dalej. Prowadzi do naszego rozwoju. Do poznawania siebie i tego, co w nas męskie i żeńskie. Seksualność łączy nas z drugim człowiekiem. Na poziomie ciała i serca. Pozwala nam na akty twórcze, na stwarzanie dzieł, dzieci i... potraw. Tak! Gotowanie to ekspresja miłości. Czakra seksualna symbolizuje zmysł smaku.

Burza oklasków z sali, która wybuchła po tym wstępie, dała mi szansę napięcia się łyka wody. Potem było jeszcze bardziej żywiołowo. Mówiłam o tym, że gotowanie odzwierciedla życie, jest balansowaniem między sobą różnych smaków, często przeciwstawnych.

— Jak rozwijać swoje zdolności kulinarne? — zapytał ktoś z sali. — Czy chodzić na różne warsztaty i podpatrywać kucharzy?

— Kluczem jest eksperymentowanie — odpowiedziałam. — Ale ono polega nie tylko na szukaniu inspiracji u kucharzy czy czytaniu przepisów, tylko... na łamaniu reguł. Na używaniu własnej intuicji. To właśnie intuicja jest naszym najcenniejszym źródłem, z którego trzeba czerpać. Nasza pamięć smakowa jest trochę jak umysł dziecka, rejestruje wszystkie informacje, a to oznacza, że mamy w sobie całe archiwum różnych połączeń. Wystarczy wsłuchać się czasem w jakiś podszept wewnętrzny i z niego skorzystać.

Czas pytań się wydłużył. Wydawało się, że głód wiedzy u uczestników nigdy się nie wyczerpie. Niestety w pewnej chwili poczułam, że wyczerpuję się i ja. Zaczęło mnie lekko zatykać w gardle. A potem coraz mocniej. Kilka razy robiłam przerwę w połowie zdania, żeby napić się wody. W końcu przerwałam. Podziękowałam za wszystkie pytania i dałam znak, że wysiada mi gardło. Kiedy spojrzałam na zegarek, zrozumiałam, dlaczego tak się stało. Nadawałam cztery godziny z jedną, pięciominutową przerwą w trakcie.

W drodze powrotnej nie mogłam myśleć o świetnym wstępie, o brawach, o zainteresowaniu, z jakim mnie słuchano, i docieklivosti, z jaką zadawano potem pytania. Myślałam tylko o tym, że zbłądziłam się na koniec, tracąc głos. Żaden profesjonalny mówca nie pozwoliłby sobie na taką kompromitację. Na pocieszenie w tramwaju wrzuciłam kilka fotek z wystąpienia na swój blog. Ledwo zdążyłam dotrzeć do domu, pod moim wpisem posypały się dziesiątki komentarzy, pojawiły się podziękowania i kolejne pytania. Wśród nich rzucił mi się w oczy komentarz pełen diabelskich uśmieszków, z kąśliwą uwagą, co to za żenujący znawca zdrowego odżywiania, skoro nie umie zadbać o własne gardło. Poczułam ukłucie. Odpisywać? Zignorować? Miałam w sobie wahadło sprzeczności. Kliknęłam I-Chnig. Wyrocznia pokazała heksagram numer 1: Niebiosa. *Niebo na górze. Niebo na dole.* Radziła, by przejąć inicjatywę i wykonać pierwszy krok. Bo mam wystarczająco dużo energii, aby działać i odnieść sukces.

Jednak się powstrzymałam. Zamknęłam laptop. W domu zaparzyłam sobie ziół do termicznego kubka i zabrałam Amaretta na spacer. Było chłodno i wilgotno. Nieprzyjemny wiatr smagał mnie po plecach. Drepcząc po Agrykoli, popijałam szalwią i próbowałam głęboko oddychać... *Uno... due... tre...*

W pewnej chwili zatrzymałam się nad stawem i zaczęłam obserwować taplające się

w nim kaczkę. Amaretto na ich widok ożywił się, podbiegał do nadbrzeżnego krawężnika, robił dziwny ruch, jakby chciał do nich zamachać, i zawracał, biegnąc jak szalony w przeciwną stronę. Powtarzał to raz, drugi, piąty. Za każdym razem sprawiał wrażenie coraz bardziej rozbawionego tą swoją niemocą skoku do wody. W końcu za którymś razem podbiegł, wysunął łapę, zamoczył ją w wodzie i zaraz wyciągnął. Rozozochocony do cna przewrócił się na plecy i zaczął majtać łapami. Nachyliłam się nad nim i pogłaskałam go z wdzięczności za tę cenną lekcję.

Zaraz po powrocie do domu puściłam na pełny regulator Hannę Banaszak i zaczęłam wirować miednicą przed lustrem, robiąc obroty raz w lewą, raz w prawą stronę. Potem lekkie wychylenia do przodu i w tył. Mój mocno już wystający brzuch z lekkością zataczał kręgi. Wyobrażałam sobie, że nie tylko ożywiam swoje energetyczne centrum, ale i kołyszę moją małą córeczkę. Naładowana energią ruszyłam do kuchni i śpiewając na głos piosenkę, przygotowałam zioła do naparwu.

Nie rozmieniaj mnie

Na humory złe,

Gdy dopadnie splin,

Nie top w szkle, o nie.

Dobry dla mnie bądź,

Kochaj, szanuj, chroń —

Ja przy życiu cię trzymam,

Bądź co bądź.

*Wypij je, gdy ci źle...
w gardle lub jego okolicach!*

Wszystko da się stracić. Podziw. Zdumienie. Ciekawość... Można też stracić dystans do siebie samego w chwili mniejszej lub większej słabości. Ale to jeszcze nie powód, by się martwić, bo wiele strat daje się odzyskać. Na tym polega urok życia. Coś jest w danej chwili obecne, a coś inne mniej. Jeśli na przykład stracisz głos, nie możesz co prawda mówić, ale nadal możesz słuchać...

A głos zawsze możesz odzyskać chwilę później!

Przygotuj:

- *1 łyżeczkę ziół szalwii*
- *1 łyżeczkę suszonej babki lancetowatej*
- *1 łyżeczkę suszonego rozmarynu*
- *1 łyżeczkę suszonego kapryfolium*

Zalej zioła wodą (około pół litra) i zagotuj. Gdy lekko przestygną, dodaj trochę miodu i płucz wywarem bolące gardło...

A jeśli gardło jeszcze cię nie boli, ale po prostu chcesz oczyścić je ze śluzu, w filiżance ciepłej wody rozpuść szczyptę soli i szczyptę kurkumy.

Jeśli zaś chcesz się zabezpieczyć, na wypadek, gdyby kiedyś gdzieś z gardłem zrobiło się źle... miej przy sobie lukrecję. Żuj ją. Usunie twoje blokady, złagodzi ból.

Udostępniłam post i pospiesznie posprzątałam kuchnię. Na blacie kłębiły się liczne pudełka i słoiczki z przyprawami, które powyciągałam o poranku, by zabrać kilka wybranych przypraw do testowania zapachów i smaków podczas mojego wykładu. Gdy po kwadransie zerknęłam znów na blog, pod postem był już nie tylko usypany stosik lajków, ale i kilkanaście komentarzy, a wśród nich ten jeden, na który czekałam najbardziej. Od pana, który poprzednio zaserwował mi kąśliwość i pięć diabełków — teraz wkleił mi mordkę prymusa okularnika. Czy to się nazywa osiągnąć cel? W końcu świat jest tylko taki, jaki przyjmujemy, że jest. Co mi więc szkodzi tak uznać? — pomyślałam, patrząc na rozbawionego Amaretta.

Ziąb przeszywał na wskroś. Szare od zmierzchu ulice opustoszały. Dochodziła osiemnasta, a ja żwawym krokiem szłam w kierunku Mokotowa, do naszej ulubionej tajskiej restauracji, na walne obrady naszego tria. Ubrana w wełnianą sukienkę czułam się już trochę ciężkawa i ciut mniej foremna, ale czerpałam korzyści z drugiego trymestru ciąży, który oprócz braku jakichkolwiek mdłości miał tę zaletę, że dawał duży ładunek energetyczny. W przytulnym wnętrzu już czekała Claudynka, ubrana w stylowy żakiet w prążki i piękną ołówkową spódnicę w kolorze turkus, która podkreślała jej idealne proporcje.

— *Ciao, bella!* Wreszcie mogę ci pogratulować na żywo! — zawołała od progu. — Ale ci świecą oczy!

— *Ciao*, kochana, czego znów chcesz mi gratulować? — zapytałam trochę rozkojarzona. — Chyba nie utraty gardła podczas przemowy? — Zaśmiałam się.

— Lukrusiu, córeczki! — zakrzyknęła Claudynka. — Czy już jesteś tak zaferowana swoją karierą, że zapomniałaś o ciąży? — Wybuchnęła śmiechem. — Jeszcze parę dni temu umierałaś ze strachu, a teraz nawet nie raczysz porządnie świętować szczęścia, no cała ty! — dodała rozbawiona.

— Masz rację, niezłą mam teraz karuzelę.

— A jak twój nowy kundel? — zapytała Claudynka.

— Tylko nie kundel, trochę szacunku, to przystojny rasowy brunet z rodziny rosyjskich terierów — rzuciłam z lekkim przekąsem.

— Kupki robi w stylu bardziej wschodnim czy zachodnim? — zażartowała.

— Ogólnoświatowe, *my dear* — odpowiedziałam, podtrzymując ton jej żartów. — A ty nadal cierpisz na chroniczny lęk przed psią kupą?

— Tak, tendencja wzrostowa utrzymuje się, w tym celu falsyfikuję już nawet teorie, które mają zniechęcić Jeremiego do posiadania psa — wyznała z zakłopotaniem.

— Ha ha... — wybuchnęłam śmiechem. — Że też na to od razu nie wpadłam.

Tymczasem kelner podał menu, a my jak na komendę zanurkowałyśmy w karty, wodząc maślanymi oczami w tę i z powrotem po kolejnych pozycjach. Część z nich, niestety, była dla mnie jeszcze przez najbliższe kilka miesięcy na liście podwyższonego ryzyka, musiałam więc być czujna.

— Ja stawiam na klasykę — powiedziałam. — A więc zupa z pieczoną kaczką, makaronem ryżowym, kielkami fasoli mung i kolendrą, a ty?

— To ja w takim razie wybiorę element podróźniczy, czyli podsmażany ryż z warzywami z orzechami nerkowca, ananase, tajską bazylią i sokiem z limonki, serwowany w łódce ze świeżego ananasa — wyrecytowała Claudynka, przewracając oczami z ekscytacji.

Wera zawiadamała w SMS-ie, że spóźni się chwilę, ale już kliknęła w menu i prosi, żeby jej zamówić legendarny tajski makaron ryżowy z krewetkami tygrysimi podawany z sosem z owoców tamaryndowca, kielkami fasoli mung, limonką, suszonym chili, tofu i orzeszkami ziemnymi. To się nazywa dyscyplina w załodze i pilnowanie synchronizacji czasu karmienia. Za to też je kochałam. Zapowiadało się naprawdę nieźle.

Zdażyłyśmy złożyć zamówienie, kiedy wbiegła Wera w rozpiętym płaszczu, z rozwianymi włosami, jak zwykle na obcasach, w obcisłych zamszowych kozakach zakrywających kolana i w zabójczo krótkiej rozkloszowanej od pasa sukience w delikatne liściaste motywy.

— Dziewczęta, nie do wiary! — zawołała, zsuwając z ramion płaszczy. — Ten cały Franio budzi we mnie totalny instynkt macierzyński.

— Jaki Franio? — zapytałam zdumiona.

— Syn Piotra, od trzech dni już z nami mieszka — wyjaśniła. — Jest taki wrażliwy, nie macie pojęcia, jak on przeżywa filmy, cokolwiek złego się komuś dzieje — rozczuliła się Wera. — Także Lukrusiu, oto ja, czterdziestoletnia antykucharka, przyjdę do ciebie na kurs gotowania. Pytanie brzmi, w jakich godzinach masz czas, żebym cię odwiedzała, by cię podglądać w kuchni?

— Co?! — zawołałyśmy jednocześnie z Claudynką.

— Tylko bez śmiechów! — oświadczyła. — Zdałam sobie sprawę, że muszę nauczyć się gotować mu zdrowe obiady. On nie może jechać na cateringu.

Spojrzałyśmy na siebie z Claudynką kompletnie oniemiale. Znałyśmy się na wylot. Doprawdy, wszystkiego można się było spodziewać po Werze, nawet tego, że zapisze się na kurs poznawania psych snów, ale nie tego, że ta, która nie lubiła nawet tykać się brudnego garnka, nagle zamarzy o tym, by gotować. W dodatku dla nieswojego dziecka, z powodu którego jeszcze tydzień temu gotowa była rozstać się z jego ojcem! Byłyśmy zbyt obezwładnione tą wiadomością, by pozwolić sobie na najmniejsze choćby żarciki na ten temat.

— *Bella*, zawsze do usług, choćby od jutra — powiedziałam po dłuższej chwili milczenia zupełnie poważnym tonem.

— Dziękuję, Lukrusiu. — Ożywiła się. — To może od piątku?

— Wedle życzenia.

— No ale opowiadaj, szczęściaro, czy już macie imię?
— Właśnie, mów — włączyła się Claudynka.
— Nie, to nie ten etap, na razie mamy problem — odpowiedziałam. — Dlatego zwołałam naszą błyskawiczną naradę.

— Przecież mówiłaś, że jest zdrowa — powiedziała z przerażeniem w oczach Wera.
— Tak, ale jest odwrotnie ułożona.
— Co to znaczy? — zapytała Wera, wstrzymując oddech.
— Że nie mogę jej urodzić naturalnie, tylko przez cesarkę.
— To urodź przez cesarkę — skwitowała Claudynka, uspokojona najwyraźniej niewielkim w jej oczach gabarytem problemu.
— Nie, absolutnie nie. Muszę ją odwrócić.
— Ale... Jak chcesz to zrobić, Lukrusiu? — Zaniepokoiła się Wera.
— To właśnie musimy wymyślić. — Zamyśliłam się. — I znaleźć kogoś, kto mi w tym pomoże — dodałam.

Wzięłam głębszy oddech i poczułam, jak rozpręża mi się ciało. Jak błogo opadają ramiona. Zupełnie jakby już samo wypowiedzenie problemu było częścią jego rozwiązania. W tym momencie podszedł kelner, wnosząc na stół nasze dania. Od samych zapachów od razu rozpogodziły nam się twarze. Pociągałyśmy nosami i łapczywie wodziłyśmy wzrokiem po naszych daniach. Nie zwlekając, zaczęłyśmy jeść. Już po pierwszych kęsach pojawiły się odgłosy zachwyty.

— Lukrusiu, ale czy ty w ogóle kiedykolwiek słyszałaś o tym, że można odwrócić samej dziecko? — wróciła do tematu Claudynka, wbijając zęby w krewetkę.

— Claudynko, skoro zdarza się, że dziecko samo się czasem odwraca, to na pewno są jakieś sposoby, żeby mu w tym pomóc — odpowiedziałam.

— Nie no, że samo może, to wiem, tylko czy da się to zrobić tak wbrew niemu?

— Dlaczego wbrew? — zapytałam.

— Bez jego woli, po prostu — doprecyzowała. — Szczerze mówiąc, nic nie wiem na ten temat — przyznała Claudynka, a z pewnością nie przyszło jej to łatwo, bo rzadko zdarzało się, by o czymś nie słyszała.

— Musi istnieć jakiś magik od tych spraw — powiedziałam z mieszanką nadziei i niepewności w głosie.

— Lukrusiu, ustalmy jedno, błagam cię, żadnych czytaczek aury, jasnowidzów i innych wróżów, to nie są żarty — wtrąciła stanowczym tonem Wera.

— Claudynko, a te twoje różne techniki z wprowadzaniem w stan tety? — zaryzykowałam.

— Co masz na myśli?

— To, że nawiązujesz kontakt na poziomie głębszej warstwy i wysyłasz do dziecka prośbę, żeby się odwróciło — zaczęłam niepewnie. — O! Ta uzdrowiaczka, która mnie uwolniła z lęków, co myślicie? — Podekscytowałam się.

— Nie, *bella*, czy ty już zbzikowałaś do reszty? — Wzburzyła się Wera. — Błagam, żadnych takich eksperymentów.

— Lukrusiu, co innego wyczyścić ciało z emocji czy nawet wytrząsnąć traumy, a co innego ustawić do góry nogami kilkumiesięczny płód — powiedziała sceptycznie Claudynka.

Nasze rozważania przerwał dźwięk mojego telefonu. Odsunęłam talerz z zupą i sięgnęłam do torebki.

— Córuś, będę u ciebie za kwadrans, bo akurat jestem w okolicy, więc ci podrzucę wydruk mojej książki do przeczytania — zaćwierkała żywiołowo moja matka.

— Jakiej książki? — zapytałam.

— No, mojej, Lukrusiu, o neomłodości oczywiście, właśnie skończyłam pisać i chcę, żebyś dała mi uwagi. Zaraz u ciebie będę — rzuciła w pośpiechu.

— Mamuś, innym razem, teraz nie mogę.

— Ale to jest, córeńko, pilna sprawa, wiesz, terminy w wydawnictwie, chcemy się wstrzelić z premierą w czas, kiedy moja twarz będzie na billboardach tej kampanii kosmetycznej. Chodzi o synergię działań, rozumiesz chyba? — trąkotała matka.

— Ale ja jestem w restauracji — powiedziałam.

— W której? Podjadę, jestem autem, to żaden problem.

— W tajskiej, koło klubu... — odpowiedziałam z rezygnacją.

— Bomba, będę za dziesięć minut!

Minę miałam zapewne nietęgą, sądząc po zatroskanych spojrzeniach Wery i Claudynki. Przeprosiłam je, anonsując, że zaraz nam się zwali na moment niespodziewany gość. Jedyne, co mogło osłodzić nadchodzącą burzę emocji, to tajskie desery. Właśnie skończyłyśmy rozkoszować się daniami głównymi, więc bez zastanawiania zanurkowaliśmy w menu.

— Perły tapioki w syropie z mleka kokosowego, podawane z kawałkami świeżych owoców... Tak! To one mnie ukoją — oświadczyłam.

— Banan w tempurze, z płatkami kokosowymi, podawany z sorbetem limonkowym. Zaslodzi mnie na śmierć, ale jestem gotowa po nim zmartwychwstać — powiedziała Wera.

— Ja po szamotaninie wewnętrznej przechyłam szalę na korzyść słodko kleistego ryżu z mango i kremem kokosowym — dodała Claudynka w chwili, gdy kelner znów pojawił się przy naszym stole.

Lubiłyśmy i tę kuchnię, i to kameralne miejsce, tak blisko ruchliwej ulicy. Ciepłe, dyskretne światło na stolikach dawało poczucie intymności. Duże okno, przy którym najchętniej siadałyśmy, trochę jak kinowy ekran wyświetlało przed nami kolejnych przechodniów. Czasem grałyśmy w przypuszczenia, próbując obstawiać, która z mijanych osób rozkoszowała się dziś seksem albo który z przechodzących mężczyzn dysponował największym członkiem. Gdy niespodziewanie wszystkie trzy typowałyśmy tego samego, wybuchałyśmy gromkim śmiechem, wzbudzając zainteresowanie pozostałych gości w restauracji. Dziś jednak nie było mi do śmiechu, a moje przyjaciółki czuły, że trapiący mnie problem zupełnie zaprzęta mój umysł.

— Lukrusiu, załóżmy, że nie uda ci się przekręcić dziecka. Co ci szkodzi urodzić przez cesarkę? — wróciła do tematu Claudynka. — Zwłaszcza że... — ściszyła konspiracyjnie głos. — Dzięki cesarce o wiele mniej poluzują ci się mięśnie pochwy, czyli szybciej po porodzie powrócisz do pełnej satysfakcji seksualnej.

— Claudynko, zrozum, poród to nasz pierwszy sukces, to, jak się urodziłyśmy, determinuje potem nasze życie. Dziecko wyciągnięte przez cesarkę ma trudniej na dalszej drodze, odtwarza doświadczenie porodu, a więc czeka, aż ktoś je pociągnie do czegoś, zamiast samo z siebie iść naprzód. Jest mu ciężko, bo samo się nie przecisnęło przez kanał rodny — wyjaśniłam przejęta.

— Rozumiem, ale przecież sama wiesz, ile jest metod, żeby naprawić to, co było wadliwe, można się nawet uwolnić od chorób odziedziczonych po przodkach, więc... — Próbowała złagodzić moje emocje Claudynka.

— Owszem, ale ile moja córka się będzie musiała natrudzić po drodze, zanim dorośnie i zacznie jak my wszystkie chodzić na kursy samorozwoju, seanse przywracania emocjonalnej wolności i inne stany hipnotycznego uzdrawiania? — odpowiedziałam przygnębiona.

— Lukrusiu, Claudynka ma rację, przecież są też techniki uleczenia różnych przypadłości nawet u noworodków... — zaczęła polubownie Wera. — Nie chcę cię zniechęcać do szukania,

ale miejmy to na uwadze, żebyś się teraz nie zaczęła zdręzczać tym, że urodzisz przez cesarkę.

— Mówię wam, dziewczyny, musi być jakiś sposób, czuję to... — urwałam, widząc, jak rozhuštały się drzwi i stanęła w nich moja matka.

Ubrana w dopasowaną skórzaną kurtkę, obcisłe leginsy i długie kozaki na jeszcze wyższych obcasach niż te Wery, z promiennym uśmiechem i fryzurą *à la* Robin Wright w *House of Cards* wyglądała jak prawdziwa celebrytka. I to nie polska, tylko co najmniej francuska.

— Cześć, dziewczyny, czemu macie takie smętne miny?! — zawołała żywiłowo.

— Wygląda pani bosko. — Podekscytowała się Wera.

— Dziękuję, Weruś, kobiety szczęśliwe młodnieją z wiekiem — odpowiedziała, robiąc kokieteryjną minę.

— Cześć, mamuś! Masz ochotę na jakiś deser? — zapytałam.

— O, tylko nie to! Jutro mam sesję zdjęciową, trzymam pusty brzuch. — Zaśmiała się. — Ale ty, córeńko, też się lepiej już opanuj! — dodała, zaglądając mi w talerz z podaną właśnie tapioką. — Jak zaprogramujesz dziecko podczas ciąży na cukier, to koniec, no a biorąc pod uwagę, że to dziewczynka...

— Co ja mam w takim razie myśleć o moim apetycie na słodczyce? Czy to twoje wyczyny w ciąży? — powiedziałam z nutą ironii.

— O nie! To akurat masz w genach po tatusiu i ja tego nie mogłam zmienić — skwitowała matka.

— Aha, tego się obawiałam. — Westchnęłam, mrugając porozumiewawczo do Wery.

— Ale co wy jesteście, dziewczyny, takie przygnębione? — zapytała czujnie matka. — Zamiast tu śpiewać, stukać szampanem na cześć córeczki Lukrusi... Czyż to nie boskie? W tym wieku i wszystko pięknie, bez kłopotów, zdrowiuteńkie dziecko, no, moja krew — rozentuzjasmowała się matka, klepiąc mnie po ramieniu.

— Właśnie deliberujemy nad szczegółami porodu — rzuciła nieopatrznie Claudynka, zanim zdążyłam ją powstrzymać, rzucając w jej stronę błagalne spojrzenie.

— A nad czym tu deliberować? Jak jest wszystko pięknie, dziecko zdrowe, to gładko pójdzie — powiedziała matka.

— No właśnie nie tak... — zaczęła Wera, ale widząc mój błagalny wzrok, urwała w połowie.

— Zaraz, dziewczyny, co jest grane? — czujnie podłapała matka. — Lukrusiu, tylko nie kręć, na pewno dobrze wyszły wszystkie te badania dla leciwych mam? — zapytała z przejęciem, rozglądając się po naszych twarzach.

— Tak, ale ja nie chcę rodzić przez cesarkę — wyznałam, sama zaskoczona tym przyływem szczerości.

— A kto ci każe? — zapytała matka.

— Lekarz. Dziecko jest w pozycji odwróconej i... — urwałam, bo nagle łzy napłynęły mi do oczu.

— Lukrusiu, naprawdę, nie z takich rzeczy jak cesarka da się uzdrowić dziecko, uwierz mi — powtórzyła błagalnie Claudynka, widząc moją rozpacz. — Nie upieraj się tak przy tym naturalnym rodzeniu.

— Zaraz, zaraz, córuś, przecież ty nie rodzisz jutro, skoro dziecko jest do góry nogami, to trzeba je przed porodem przekrócić i po stresie — powiedziała stanowczym tonem matka.

Zamarłam z wrażenia. Dziewczyny najwyraźniej też. Patrzyłyśmy oniemiałe na tę siedemdziesięcioletnią kobietę, niewzruszoną wobec jakichkolwiek przeciwności losu, i nie wierzyłyśmy własnym uszom. A już zwłaszcza ja, nawykła do jej wiecznie karcących uwag, degradowania moich potrzeb i spraw. Nie mogłam uwierzyć, że moja matka z taką pewnością

mówi o czymś, co jest dla mnie tak ważne, i jak dotąd — tak trudne do zdobycia.

— Pani Krysiu, naprawdę pani wierzy w to, że można przekręcić dziecko w brzuchu? — zapytała zdumiona Wera.

— Nie no, dziewczyny, gdzie wy się uchowałyście? Mamy XXI wiek, bezpłodne sześćdziesięcioletnie dziewice mogą urodzić z cudzej komórki i nieznanej spermy, a wy się zastanawiacie, czy się da odwrócić dziecko? — obruszyła się matka. — Dajcie spokój!

— Mamo, ty tak poważnie...? — zapytałam, dopiero teraz odzyskując głos.

— Córciu, moja matka urodziła mnie naturalnie, ja cię urodziłam naturalnie, to i ty urodzisz naturalnie, albo ja nie jestem Krystyna, która stworzyła koncepcję neomłodości wybawiającą żeńską część populacji od udręk istnienia!

ROZDZIAŁ 11

Kiedy przestajesz szukać wczorajszego wiatru

Z matkami nie ma żartów, pomyślałam. Minęły trzy dni od spotkania w tajskiej restauracji, a ja już dostałam telefon od dynamicznej pani Pameli. Jeszcze zanim weszłam na jej poddasze położone w domu na skarpie, z której rozciągał się piękny widok na park Rydza-Śmigłego, wiedziałam, że istnieją takie kobiety, które nie tylko mogą postawić do góry nogami dziecko w łonie, ale i przebiegunować planetę Ziemia we wszechświecie. Po prostu to czułam. Nie byłam tylko pewna, czy kimś takim aby na pewno okaże się tajemnicza Pamela.

Na chwilę przed zapukaniem do jej drzwi wyciągnęłam telefon i żeby dodać sobie animuszu, zapytałam wyroczeni, czy mogę powierzyć koziolkowanie moim brzuchem kobiecie, którą moja matka nazywała boginią seksu, twierdząc, że potrafi uleczyć każdy problem kobiety ciężarnej. Wypadł heksagram numer 37: Rodzina. *Wiatr na górze. Ogień na dole. Osiągniesz to, czego pragniesz, tylko dzięki relacjom z innymi. Doceń partnerstwo i więzi przyjaźni oraz relacje rodzinne...*

Czy po takiej wskazówce mogłam jeszcze wątpić w przychylność kosmosu, dobre intencje mojej matki, jej kobiecy instynkt oraz sprawczość tajemniczej seksbomby? Wzięłam trzy głębokie oddechy. *Uno... due... tre...* I zapukałam do starych drewnianych drzwi, nad którymi do futryny przymocowano chiński dzwoneczek, rozpraszający złą energię hi-czi. Łagodnie kołysząc się na wietrze, wydawał z siebie kojące brzmienia. Uspokajał. Na progu zobaczyłam anioła. Kobietę o gęstych białych włosach sięgających pasa, które wiły się w puklach, opadając na ramiona i seksowny dekolt, eksponujący pokaźnych rozmiarów biust. Miała wydatne usta, pomalowane ciemnoczerwoną szminką. Duże, czujne, a zarazem łagodne oczy oraz starannie wyregulowane brwi. Smukłe dłonie o długich palcach zakończone były dokładnie opiłowanymi paznokciami pomalowanymi na perłowy kolor.

— Masz oczy swojej matki — powiedziała na przywitanie.

— Nie wiedziałam — odparłam.

— W ogóle bardzo jesteś do niej podobna — dodała, przypatrując mi się badawczym wzrokiem.

— Musiało się coś zmienić, bo wcześniej chyba nie byłam — wyznałam zaskoczona.

— Jesteśmy ciałem zmiany. — Uśmiechnęła się Pamela, odrzucając bardzo zmysłowym gestem włosy. — Usiądź proszę.

— Tutaj? — zapytałam.

— Tam, gdzie czujesz, że będzie ci dobrze — odpowiedziała miękkiem i ciepłym głosem.

— Myślisz, że ciało zmienia się od tego, co nas otacza?

— Każde zdarzenie, a nawet powtarzająca się myśl, jest zapamiętywane przez nasze ciało — kontynuowała, gdy ja rozsiadłam się wygodnie na poduszce medytacyjnej. — A to, co w ciele, wpływa na to, jacy jesteśmy my. Ile w nas wdzięku, przepływu i... mocy.

— Ale jak tym zawiadywać? — zapytałam zaciekawiona.

— Wszystko ma swój początek w łonie. Dlatego, droga Lukrecjo, masz rację, podejmując wysiłek, by odmienić sposób narodzin swojego dziecka.

— Tylko czy mam szansę to zrobić? — przerwałam nieśmiało ten piękny wywód.

— Oczywiście! — odpowiedziała Pamela, odgarniając włosy, a przy okazji wydając piękny metaliczny dźwięk swoimi bransoletkami.

— Czy to nie będzie zbyt wielki wstrząs dla mojej córki, taka ingerencja? — zapytałam niepewnie.

— Wszystko zależy od ciebie.

— Co masz na myśli?

— Czas płodowy to matryca naszego życia. To, jak rośnie teraz twoja córka wewnątrz ciebie, tworzy zapis, według którego będzie ona wzrastać potem w świecie, gdy wyjdzie z łona.

— I tego nie da się później zmienić?

— Tak długo, jak trwa życie, możesz je zmieniać, ale niektóre rzeczy zmodyfikować łatwiej, inne trudniej. — Znów się uśmiechnęła i odrzuciła włosy do tyłu. — Napięcia z okresu ciąży będą uwidaczniać się w życiu.

— O, madonno. — Westchnęłam na samą myśl o wszystkich swoich huśtawkach emocjonalnych, które miałam zwłaszcza w pierwszym trymestrze ciąży.

— Łagodnie przeprowadzane zmiany dają siłę, by potem, zamiast walczyć, twoja córka mogła łagodnie płynąć przez życie, z siłą, mocą, poczuciem sprawczości. Dlatego będziemy pracować metodą małych ruchów.

— Co to znaczy?

— Nie obróć twojego dziecka ani ty go nie obrócisz, ono będzie powoli obracać się samo, na skutek asan i ćwiczeń oddechowych, które będzie wykonywać.

— Rozumiem.

— A teraz rozłóż matę i usiądź na niej.

— Jak?

— W siadzie skrzyżnym — powiedziała, zajmując miejsce na swojej macie. — Spleć palce rąk, odwróć dłonie do góry i unieś ręce, łokcie proste. Wdech... Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć... I wydech... Opuszczamy... Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć...

Potem każdy mój ruch płynął według akompaniamentu jej komend... W górę... W dół... Wolniej... Wdech... Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć... Wydech... Szybciej... Wdech... Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć... Skręt... Wdech... Łokcie prosto... Ramiona luźne... Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć... Wydech... Ręce na wprost... Głowa luźno... Wdech... Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć... Wydech... Wypuść brzuch... Wdech... Pośladki luźno... Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć... Wydech... Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć...

Po powrocie do domu miałam wrażenie, że jestem lekka jak piórko. Podeszłam do lodówki i przyczepiłam do niej kartkę, która — czułam to całą sobą — miała stać się mottem moich najbliższych miesięcy. Pamela natomiast, nie miałam co do tego wątpliwości, będzie moją przewodniczką na drodze tej zmiany.

Jestem...

Ciałem...

Zmiany...

I niech tak zostanie.

Konstanty, na samą wieść o tym, że za pomocą wygięć, skrętów i oddechów zamierzam zmienić ułożenie dziecka, najpierw wybuchnął śmiechem, a potem się rozzłościł, dając mi wykład na temat zagrożeń płynących z takich lekkomyślnych praktyk. Potem co jakiś czas ironicznie zagadywał, jak tam się miewa moja siła nadprzyrodzona. W końcu, widząc, że nie rezygnuję, po prostu przestał to komentować. Żeby się nie irytować, udawał, że w ogóle nie pamięta o tym, że tam chodzę. A ja z każdą kolejną godziną spędzoną na treningu z Pamelą czułam się lepiej. Byłam pewniejsza siebie i swojej kobiecości. Chodziłam na zajęcia regularnie, trzy razy w tygodniu, o dziewiątej rano. To było jak trans. Wracałam naładowana tak pozytywną energią, że chciało mi się skakać. Czuł to nawet Amaretto, który o wiele bardziej żywiołowo reagował na moje powroty do domu po sesji z Pamelą niż na jakiegokolwiek inne.

Na plan pierwszy wysuwało się ciało. Z każdym dniem okrągłejsze i cięższe. Mimo zachodzących w nim zmian czułam się coraz bardziej elastyczna i seksowna, a jednocześnie osadzona w rzeczywistości. Czująca stopami podłogę, jakbym z Matki Ziemi czerpała soki do stawiania się matką, do bycia pełną kobietą. Konstanty co prawda nie przestał znikać, nadal wykręcając się dodatkowymi wieczornymi sesjami coachingowymi, ale ja przestałam w myślach snuć mroczne wizje na temat jego potencjalnego romansu. Byłam tak pochłonięta swoim brzuchem, nadzieją, że wszystko będzie takie, jak tego pragnę, że odsuwałam na bok rzeczy, które mogły aktualnie wywoływać we mnie jakieś większe uczucie dyskomfortu. Naturalnie zdawałam sobie sprawę z tego, że koncepcja, iż zawsze trzeba patrzeć na życie optymistycznie, stosować pozytywne afirmacje i doszukiwać się we wszystkim nadziei, dawno już została wykpiąta przez psychologów jako ta, która sprawdza się jedynie do programowania przyszłości. Zatem nie działa na poziomie biologicznym, nie daje szansy na zmianę programów, które utrudniają nam życie i blokują dostęp do szczęścia. Dobrze o tym wiedziałam, ale miałam teraz inny cel niż uleczenie dawnych ran i starych strachów. Zresztą, czyż przez lata licznych warsztatów większości z nich już nie zasklepiłam?

Teraz miałam projekt „dziecko”. Oddychałam z ulgą na samą myśl, że tak gładko się we mnie zagnieździło, że skoro łatwo uwiło sobie dom w mojej macicy, to równie łatwo będzie zagnieździć się później, w swoim życiu. To, co było wyzwaniem, o którym mówiła Pamela podczas naszych sesji, to przeobrażenie wzrastania mojej córki w łagodne i płynne, by takie było jej dalsze wzrastanie w związkach z partnerem, z ludźmi, w działaniu... No i jeszcze sam poród. Żeby był dobrym początkiem. Żeby dawał moc do wchodzenia w to, co nowe, nieznanne, esencjonalne dla życia.

Ugruntowanie przez wzmacnianie

Kiedy wchodzisz w ostatni trymestr ciąży, twoje ciało pragnie nie tylko dobrego odżywiania i wzmacniania, ale i balansowania... Te same właściwości mają pewne pokarmy, na przykład zupa z dyni. Dla waty lepsza będzie rzadsza, z większą ilością wody, dla pittы — łagodniejsza, z mniejszą ilością pikantnych przypraw, dla kaphy naturalnie im gęstsza, tym lepsza.

Przygotuj:

- 700 g słodkiej i soczystej dyni
- 3 średniej wielkości marchewki
- 2 małe ziemniaki
- 1 łyżeczkę kminu
- 1 łyżeczkę świeżego imbiru
- 1 łyżeczkę kolendry
- 1/2 łyżeczki kurkumy
- szczyptę cayenne
- masło klarowane
- szczyptę soli
- 1/2 l wrzącej wody

Dynię i pozostałe warzywa obierz i pokrój w dużą kostkę. Rozgrzej masło klarowane, wrzuć kmin i świeży imbir pokrojony w kostkę, po chwili dodaj kolendrę. Smaż chwilę, ciągle mieszając, aż przyprawy nabiorą ładnego aromatu i delikatnego koloru.

Do przypraw dodaj pokrojone ziemniaki, wymieszaj i przykryj na chwilę. Ponownie wymieszaj, dodając marchewkę i kilka łyżek gorącej wody. Duś pod przykryciem.

Po kilku minutach dodaj ok. 1 l wrzącej wody, pokrojoną dynię, kurkumę i szczyptę cayenne. Gotuj pod przykryciem, aż warzywa zmiękną. Pod koniec gotowania, jeśli lubisz ostrość imbiru, dopraw danie imbirem i solą do smaku. Zmiksuj na krem.

- *Ciao, bella, krótki test!* — zawołałam do słuchawki, gdy tylko Wera podniosła telefon.
- *Oby nie na inteligencję, bo robię właśnie trzecie podejście do zadania z matematyki dla trzynastolatków i że się tak wyrażę, ni w ząb...* — Zaśmiała się Wera.
- *To na szczęście coś prostszego. Uwaga...* — Pozwoliłam sobie na mały suspensik. — *Co cię najbardziej drażni u partnera?* — zapytałam.
- *Uff...* Miało być prościej — jęknęła Wera.
- *Dawaj, spontanicznie!*
- *Ile cech?*
- *Trzy!*
- *Skrytość, skrytość, skrytość* — powiedziała Wera zdecydowanym tonem.
- *To masz ułatwione zadanie, bo według specjalisty od udanych relacji, aby odczuć znaczną poprawę w związku, wystarczy tylko...*
- *Kochać siebie?* — zapytała ironicznie Wera.
- *To też się przyda.* — Zaśmiałam się. — *Ale trzeba wypisać trzy najgorsze cechy*

partnera, a potem traktować je tak, jakby to były twoje własne...

— Hm... I co to daje? — zapytała zaskoczona Wera.

— Jeśli lubisz siebie, albo nawet kochasz, to z łatwością sobie samej je wybaczysz. — Wybuchnęłam śmiechem.

Właściwie z czego się tak śmiałam? Spróbowałam zestawić szybko w myślach trzy najstraszniejsze cechy Konstantego i — o dziwo — też pomyślałam o skrytości. Po chwili wahania umieściłam ją jednak na drugim miejscu. Na pierwszym stawiając upór, a na trzecim... Hm, no cóż... Na trzecim też był upór.

— Różne rzeczy mogą sobie przypiąć, ale nie tę jego skrytość, *bella* — rozkręciła się Wera. — Piotr jest jak najbardziej skorpioniczny Skorpion, mówię ci. On wszystko dusi w sobie, nic nie wyraża, ale za to zapamiętuje najmniejsze nawet detale i w najmniej spodziewanej chwili robi łubudu! — jęknęła.

— Tym bardziej miej się na baczności, bo wczoraj Mars przeszedł ze znaku Wagi do Skorpiona, więc Skorpiony jeszcze bardziej zeskorpioniczeją. — Zaśmiałam się.

— *Bella*, a co tobie się tak zebrało na żarty?

— Nie wiem, czy to nie głupawka ze stresu. — Westchnęłam.

— Co się stało? Źle się czujesz? — Zaniepokoiła się Wera.

— Nie, wprost przeciwnie, wbrew logice ciężowego przyrostu wagowego czuję się coraz lepiej. — Ożywiłam się. — Ta Pamela naprawdę jest boginią, jej ćwiczenia jogiczne i oddechowe sprawiają, że mam tak wspaniałą energię, chęć do życia, nie wyobrażasz sobie, Werciu.

— No dobra, to czym się martwisz? — przycisnęła mnie Wera.

— Słuchaj, *bella*, za dwa i pół tygodnia jest Wigilia, a ja nie mam pojęcia, jak my ją spędzamy i czy w ogóle się nie okaże, że Konstanty najpierw będzie gdzieś z Lenką, a potem na chwilę tylko wpada do mnie na ochłap deseru — stęknęłam ze smutkiem.

— Lukrusiu, a czy ty mu zadałeś to pytanie?

— Jakie pytanie?

— No, jak spędzacie Wigilię... — dodała Wera.

— Nie, ale... — zaczęłam.

— Jakie ale?

— Chciałabym, żeby to on coś zaproponował.

— A co, jeśli on czeka, aż ty mu coś zaproponujesz?

— Weruś, to on jest mężczyzną — wystękałam.

— A ty kobietą! — powiedziała Wera dziwnie przekornym tonem.

Skończyłyśmy rozmawiać i, opatuliwszy się po szyję, zabrałam Amaretta na spacer. A jeśli Wera ma rację? — pomyślałam nagle. Zupełnie nie brałam pod uwagę, że on może czekać na moją propozycję. Może w swoim zalataniu w ogóle nie zarejestrował, że święta są tak blisko. Może to ja czegoś nie widzę? Dokładnie tak, jak zabójczo skryta Wera nie widzi, że Piotr irytuje ją swoją skrytością właśnie dlatego, że pokazuje jej niczym lustro jej wielką skrytość, której nie jest świadoma lub nie chce być. Myśli galopowały jak szalone. A może dlatego tak się złościę na Konstantego, że nie zaczyna rozmowy o wspólnym mieszkaniu, bo czuję złość na siebie za strach przed jej rozpoczęciem?

Mój terierek najwyraźniej rzeczywiście miał w sobie wschodnią krew, bo żaden ziąb nie był mu straszny. Hasał jak szalony, merdając swoim kudłatym ogonkiem. Dopiero teraz, przyglądając mu się na tle jamnika sąsiadów z kamienicy obok, zauważyłam, jak bardzo zdążył

urosnąć przez ostatnie tygodnie.

Zaczął śpić. Zrobiło mi się zimno, więc zgarnęłam psa i wstąpiłam do pobliskiej kawiarni. Espresso doppio — rzadki cymes, na który pozwala sobie kobieta ciężarna z lekką obsesją na punkcie zdrowego odżywiania — załaskotało mnie w nozdrzach swoim uwodzicielskim, leciutko słodkawym i gorzkim zaraz aromatem. Posypałam je cynamonem i zanurzyłam usta, delektując się każdym najmniejszym etapem obcowania z tą przyjemnością.

Rozprężyłam się wygodnie w fotelu i popijając kawę, przypatrywałam się przez szybę ludziom, którzy przemykali pospiesznie podkuleni od wilgotnego chłodu. Z głośników, jakby specjalnie zsynchronizowana z aurą, leciała Norah Jones. Zaczęłam nucić z nią pod nosem:

And I want to wake up with the rain

Falling on a tin roof

While I'm safe there in your arms

So all I ask is for you

To come away with me in the night

Come away with me

W pewnej chwili do kawiarni wszedł mężczyzna z wózkiem. Na oko miał jakieś czterdzieści lat. Dziecko zaczęło płakać. Delikatnie rozpiął mu kombinezon, zsunął czapkę i wziął je na ręce. Przez chwilę czule je kołysał. Maluszek momentalnie zasnął. Poczulałam przyjemne łaskotanie w brzuchu. Próbowałam sobie wyobrazić Konstantego, jak kołysze na rękach naszą córeczkę i śpiewa jej kołysankę. Z zamyślenia wyrwał mnie Amaretto, który znudził się chwilą beczynnego leżenia pod fotelem i domagał się pieszczot, liżąc mnie po rękę. Był taki pocieszny. Dostarczał mi tyle radości. Jak to możliwe, że Konstanty tak dobrze wybrał dla mnie tego psa? Czyżby rozumiał mnie o wiele lepiej, niż sądziłam?

Deszcz nie przestawał padać, miałam wrażenie, że stał się jeszcze intensywniejszy. Zupełnie straciłam ochotę, by wyjść na zewnątrz. Zajrzałam na blog, przeczytałam komentarze, a potem weszłam na Facebooka. Moja ulubiona astrolożka, której post wyświetlił mi się akurat na tablicy, informowała, że w znaku Skorpiona znajduje się obecnie nie tylko Mars, ale i Wenus, a dziś także Księżyc, więc trzeba się przygotować na czas czyszczenia starych blokad, odkrywania ukrytych motywów naszego działania i działań innych. Różne sekrety wyjdą na jaw, możliwe są konfrontacje... Hm... Czyżby miało to dotyczyć mojej rozmowy z Konstantym o Wigilii? — pomyślałam z lekkim niepokojem.

Wreszcie deszcz ustał. Wyszliśmy z Amarettem na mokrą i ciemną ulicę. Zatrzymałam się jeszcze tylko po świeży imbir i natkę pietruszki do koktajlu. Popatrzyłam na leżącą w skrzynce brukselkę, która kojarzyła mi się z jednym z najmniej przyjemnych smaków dzieciństwa. Czy to z litości, czy z sentymentu, kupiłam kilogram. Skręcając z Mokotowskiej

w Piękną, tuż pod moim domem dostrzegłam znajomą sylwetkę idącą z naprzeciwka. Ścisnęło mnie w brzuchu. Było już szaro. To chyba nie mógł być on, przebiegło mi przez myśl w ułamku sekundy. Z nerwów lekko przyspieszyłam kroku, by czmychnąć na wszelki wypadek do kamienicy.

— Lukrecjo! Nie do wiary, co za miła niespodzianka w taki bury dzień! — zawołał Cezary. — Nawet w deszczu wyglądasz pięknie.

— Co tu robisz? — powiedziałam zmieszana.

— Szukam pięknych kobiet. — Nachylił się i pocałował mnie w policzek. — Które w dodatku tak uwodzicielsko pachną. Czyżby to był zapach, który znam? — zapytał dwuznacznie.

— Chyba nie, używam go od niedawna — powiedziałam, czując się coraz bardziej niezręcznie.

— A to nie Maria Candida? — zapytał, znów się nade mną nachylając. — Bardzo do ciebie pasuje.

— Jak twoja córka, jeszcze tu mieszka? — zmieniłam temat, czując, że jestem coraz bardziej stremowana.

— Niestety. Porzuciła tego chłopaka i pojechała do Londynu.

— Może nie był dla niej dobry?

— Może, albo to ona nie była dobra dla niego?

— Skoro to ona go porzuciła, to chyba raczej...

— Kobiety czasem porzucają, kiedy instynktownie czują, że są za zimne dla zakochanego w nich mężczyzny — powiedział Cezary, patrząc mi w oczy.

— Hm, nie znam takich przypadków. Muszę lecieć, bo mój pies marznie. — Zdecydowałam się na ucieczkę.

— To Dolcevito? Nie poznałam go.

— Czas Dolcevito minął, teraz nastał Amaretto. Pa, wesołych świąt — rzuciłam i szybkim krokiem wparowałam do kamienicy.

Wbiegłam po schodach, dopiero na górze przypominając sobie, że jestem w ciąży. Zasapana weszłam do domu, zrzuciłam płaszcz i opadłam na kanapę. Dyszałam bardziej niż Amaretto. Raczej z emocji niż ze zmęczenia. Powoli ściągnęłam buty, cała się trzęsąc. Z wiru myśli wyrwał mnie telefon.

— Halo? — rzuciłam, wciąż lekko dygocząc.

— *Ciao, bella*, a co ty masz taki głos z zaświatów? — zaćwierkała Claudynka.

— Jestem roztrzęsiona.

— Co się stało?

— Spotkałam przed chwilą Cezarego — powiedziałam.

— Kogo?

— I to pod moim domem.

— No i co? — zapytała spokojnie Claudynka.

— Ledwo żyję — wyznałam cicho.

— *Mamma mia*, nie mów, że on ciągle jeszcze tak na ciebie działa? — zdziwiła się Claudynka. — Już rok minął, prawie się rozmnożyłaś, a tu nagle on cię przyprawia o wstrząsy.

— Niecały rok, Claudynko...

— Daj spokój!

— Słuchaj, ta Maria Candida to on! Mówię ci — wydukałam.

— Madonno, jaka Candida? Czy to jakiś wirus, o czym ty mówisz? — Zniecierpliwiła się Claudynka.

— *Bella!* Maria Candida Gentile, te tajemnicze perfumy, które przysły wtedy, po śmierci Dolcevita, pamiętasz?! — zawołałam.

— Aaa!

— To od niego.

— Powiedział ci to?

— Nie, sama się zorientowałam.

— Ale w jaki sposób?

— Claudynko... — zawiesiłam głos.

— *Bella*, co z tobą?

— Dlaczego on ciągle tak we mnie tkwi? — zapytałam nagle.

— No nie, jeszcze tylko tu brakowało tego nadętego ważniaka. — Zniecierpliwiła się Claudynka. — Lukrusiu, ty za trzy miesiące rodzisz, zapomnij o niewypałach z przeszłości.

— Nie mogę. On mi się nawet niedawno przyśnił. I jeszcze teraz, wiesz, działa ten Skorpion w Wenus, który czyści niezamknięte sprawy.

— To ty go lepiej zamknij, Lukrusiu, i to na zawsze, bo kto wie, czy twoje częste spięcia z Konstantym nie wynikają z tego, że nie pożegnałaś porządnie Cezarego. I on ci bruździ w sercu — powiedziała kategorycznym tonem Claudynka.

— Naprawdę sądzisz, że to może mieć z tym związek? — zapytałam, nie dowierzając.

— *Bella*, usiądź spokojnie, zapal świeczkę...

— Ale teraz?

— Nie, później, jak skończymy rozmowę. Teraz skup się.

— Tak?

— Weź kilka głębokich wdechów, zamknij oczy i powiedz do niego: dziękuję ci, Cezary, za wszystko, co mi dałeś. Zatrzymam to, co najlepsze, i ty zatrzymaj to, co najlepsze ode mnie, a teraz cię uwalniam na zawsze z mojego życia, bądź szczęśliwy tam, gdzie jesteś, i ty też życz mi szczęścia — powiedziała opanowanym głosem Claudynka. — Zobaczysz, Lukrusiu, że jak to zrobisz, coś się uwolni. Spróbuj.

Nie wątpiłam ani w Claudynkę, ani w skuteczność jej metod, ale w tej chwili jakoś nie potrafiłam się skupić na wdzięczności wobec tego łajdaka. A tym bardziej wyobrazić sobie, że proszę go, nawet jeśli tylko w duszy, no ale zawsze, żeby mi dobrze życzył. Jak miałabym mu dziękować za to, co mi dał? Przecież nie dostałam od niego nic poza tą straszną chwilą, której nigdy nie zapomnę, kiedy weszłam do kina i zobaczyłam go w objęciach jakiejś małolaty. No, może nie w objęciach, może w czymś, co je poprzedza, ale mimo wszystko...

Dlaczego zawsze to kobieta ma dziękować, dygać i przeproszać? Dlaczego to ona ma się głowić, jak wykrzesać w mężczyźnie ogień nie do ugaszenia? Stawać na głowie, żeby go przekonać, że zacieśnienie więzów było jego pomysłem, tylko po to, by nie czuł, że ktoś go popchnął ku jakiejś zobowiązującej decyzji? Dlaczego to kobieta ma się godzić na to, że mężczyzna jest jej priorytetem, podczas gdy ona w jego życiu jest zaledwie jedną z aktualnych opcji? Niestety. Choć żyłam już dość długo, nie znałam jeszcze odpowiedzi na żadne z tych pytań. Włączyłam Hannę Banaszak i padłam na łóżko.

Żegnaj, świnko,

Moja przyjemności krzynko

Przez krótkiego rozdziału część...

Za to, gdy się z tobą rozstać,

To ze szczęścia bżika dostać,

Nie ma dla mnie chyba

Żadnych większych szczęść,

Nie ma żadnych większych szczęść.

ROZDZIAŁ 12

Czas uwalniania drobiazgów i rzeczy większych

Pytać, nie pytać? Oto jest pytanie, pomyślałam, patrząc, jak za oknem spadają pierwsze płatki śniegu i niczym wata oblepiają nagie gałęzie drzew, delikatnie je otulając. Skończyłam właśnie pisać tekst do czasopisma o macierzyństwie z pasją. Niby o potrawach, które ułatwiają uzupełnianie mikroelementów w ostatnim trymestrze ciąży, a tak naprawdę o tęsknocie za bliskością, której deficyt obniża ciężarnym dobre samopoczucie. Zaglądając do lodówki, przypomniałam sobie, że czeka w niej jak wyrzut sumienia od wielu dni ta nieszczęsna brukselka. Kilka główek wyglądało już na mocno sfatygowane. Przebrałam je, wyrzucając popsute, i zaczęłam się zastanawiać nad ewentualnym sosem. Nie mogłam się skupić na gotowaniu. Dźwięczało mi w głowie...

Pytać... Nie pytać... Pytać... Czy czekać... Tykało to we mnie jak metronom. Kliknęłam w przepowiednię. Wypadł heksagram 59: Marnotrawienie. *Wiatr na górze. Woda na dole.* Jak zwykle bingo, pomyślałam. *Pozbądź się uprzedzeń i negatywnych emocji. Nie broń swojej prywatności przed innymi ludźmi, tylko korzystaj z szansy i otwórz się...* Pytanie tylko, czy mogę jeszcze bardziej się otworzyć, by ruszyć naprzód? Ciotka Aurelia lubiła mawiać, że tym, którym najczęściej się zdaje, że idą naprzód, świat ucieka w przeciwnym kierunku. Czy mogłam coś z tym zrobić? Chwyliłam za kartkę papieru i napisałam na niej wielkimi literami:

Nie odkładać na później:

brukselk,

trudnych pytań

i ciężkich rytuałów.

Przetestowałam wszystkie trzy miody, które miałam w domu. W końcu podjęłam decyzję, że w reaktywacji brukselki weźmie udział akacjowy. Lubiłam jego słodkavo-mdły zapach przywodzący na myśl kwitnienie letnich akacji. Jego jasnosłomkowy kolor ładnie się komponował z barwą brukselkowego wnętrza. Kiedy kończyłam usuwać nadgnite listki z małych kapustek, zadzwonił Konstanty.

— Kochanie, czy jesteś może teraz w domu? — rzucił, najwyraźniej pędząc gdzieś autem.

— Tak. Zamierzasz pojawić się na obiedzie? — zapytałam z odrobiną nadziei w głosie.

— Nie, niestety, ale zamówiłem pilną przesyłkę i kurier ją zawiózł pod dom o tak nieszczęsnej porze — relacjonował pospiesznie Konstanty. — Może podam mu twój adres, żeby ją u ciebie zostawił, a ja wieczorem odbiorę, dobrze? — zapytał.

— Aha — odparłam bez entuzjazmu. — Dobrze, oczywiście, jestem, czekam.

— Wspaniale, dzięki. Do zobaczenia wieczorem, kochanie — rzucił w biegu.

Brukselka zamiast Elemelka

Jak dobrze to znamy. Te krótkie chwile przebłytku nadziei, kiedy już nam się zdaje, że wiecznie nieobecny ptaszek na chwilę zajrzy do gniazda, bo daje akurat znak dziobem. I jakże często zaraz po znaku pojawia się zimny prysznic... i żadnego ptaszka. Czasem nie cały znowu prysznic, ot, tylko prysznicowa rura albo choćby jakaś zabłąkana u kuriera przenośna prysznicowa słuchawka. Tak czy tak, kiedy próżno czekać na Elemelka... zawsze zostaje nam brukselka. Też znajoma, też rzadka i pełna sprzeczności, jak większość Elemelków na tym świecie.

Przygotuj:

- 1/4 szklanki oleju
- 1/2 kg brukselki
- 2 cebule
- 6 ząbków czosnku
- 2 łyżki octu balsamicznego
- 2 łyżki miodu
- sól, pieprz

Piekarnik nagrzewamy do 180 stopni. Na patelni rozgrzewamy olej i wrzucamy przepołowione brukselki. Mieszając, czekamy, aż się przyrumienią. Wrzucamy pociętą w piórka cebulę, a potem czosnek. Zdejmujemy, gdy wszystko jest rumiane, i przekładamy do brytfanki. Polewamy octem balsamicznym i miodem, doprawiamy solą i pieprzem. Potrząsamy, żeby dokładnie wymieszać, i pieczemy ok. 15 minut.

Brukselka sprawdza się na ciepło i na zimno, na samotność i na sentyment, bo któż z nas nie pamięta jej z czasów dzieciństwa, trochę bardziej gorzkiej i ponurej? Któż z nas nie schrupie jej dziś uradowany, że w tak prosty sposób, za pomocą miodu, nauczył się ośladzać sobie najbardziej gorzkie wspomnienia?

Nadrabianie zaległości dobrze mi szło. Rozprowiłam się z brukselką, a zaraz potem zabrałam się za rytuał pożegnalny Cezarego. Zgodnie z instrukcją Claudynki zasiadłam naprzeciw świeczki, odprężyłam się. Ale długo nie umiałam znaleźć tych darów, za które mu dziękuję. Aż wreszcie przystałam na to, że nie muszę ich szukać ani nazywać, że one są w moim ciele, które zapisało je w swojej pamięci komórkowej jako wspomnienia. Wtedy ruszyło. Najpierw suchość w gardle, chrząknięcia, aż w końcu pociekły łzy. Puściło. Poczulałam uwalniające zmęczenie, senność. Zupełnie jak u noworodka, który wypłakuje się, by się utrudzić i zasnąć.

Zostały już tylko trudne pytania. Z całą resztą się uporałam. Te, których wciąż nie zadałam Konstantemu, odłożyłam na lepszy czas. Może najpierw powinnam odpowiedzieć sobie, czy nie staję się jedną z tych desperatek, które oczekują od mężczyzny tego, co same powinny sobie dać. Zawołałam Amaretta, który wiercił się niemiłosiernie, rozrywając na strzępy swoją pluszową zabaweczkę. Od dobrych kilku minut tolerował natarczywe brukselkowe zapachy, chyba tylko dlatego, że przeczuwał, że zaraz po nich będzie wietrzenie i jakaś urocza przebieżka. Miał nosa. Zabrałam go na długi, zasłużony spacer. Dzień był mroźny. Na drzewach gdzieś leżała symboliczna ilość śniegowego konfetti. Czułam się dziś wyjątkowo ciężka. Jakby przez noc przybyło mi z dziesięć litrów wód owocowych. Wstąpiłam do herbaciarni po Lapsang souchong. Jej wędzony aromat dymu z korzeni chińskiej sosny przypominał mi trochę czas dziecięcych biwaków, leśnych wędrówek z dymieniem ognisk. Kupiłam dwie torebki z myślą o przyrządzeniu w jej naparze wędzonego tofu. Kiedy wkładałam herbaty do torebki, z głośników zaczęła się sączyć Katie Melua. Zupełnie nie mogłam sobie przypomnieć, skąd tak dobrze znałam ten kawałek. Coś we mnie nuciło wers za wersem...

Show me how you do that trick

The one that makes me scream he said

The one that makes me laugh he said

And threw his arms around my neck

Show me how you do it

And I promise you I promise that

I'll run away with you

I'll run away with you.

Sama nie wiedziałam, czy dziś wolałabym uciec z Konstantym, czy od niego. Może chodziło po prostu o to plugawe uczucie niedosytu? To ciągle czekanie, aż się zjawi, i wieczny jego brak. Czy po tym się poznaje wielką miłość? Ten nałóg ludzkości i ryzykowną grę oczekiwań na to, że ktoś ci da to, czego sama sobie dać nie potrafisz.

W parku było zupełnie pusto. Żadnych znajomych psów i ich właścicieli, których już dobrze kojarzyłam z widzenia i traktowałam jak swoją małą społeczność. Czyżby ludzie utknęli w wirze przedświątecznych przygotowań? Przebiegł mnie dreszcz na samą myśl, że muszę

wybrać jakiś prezent dla córki Konstantego. Moja progresywna Claudynka twierdzi, że dziewczynki w tym wieku myślą głównie o atrybutach uwodzenia kolegów z klasy, więc chcąc sprawić im przyjemność, najlepiej wybrać coś z kategorii *beauty*. Pytanie tylko, jakie *beauty* ucieszy dziewczynkę w trampkach i centkowanych spodniach, dla której czesanie włosów to nawyk geriatryków?

Amaretto pędził w tę i z powrotem. Dobiegał do obranego przez siebie celu, a potem wracał, by okrążyć mnie kilka razy, i znowu gdzieś biegł, jakby drwił sobie ze zbędnych dociekań absorbujących istoty dwunożne w przededniu dorocznych świąt, które jak donoszą statystyki krajowe, generują największą liczbę rozstań i rozwodów w roku. *Uno... due... tre...* Próbowałam rozbroić oddechem swój wisielczy nastrój. Przypatrywałam się listkom małych bylin, oprószonym pojedynczymi płatkami śniegu — czy zdążą rozkwitnąć przed moim porodem? W pewnej chwili podniosłam głowę na wielki billboard wystający za parkanem parku. Przełknęłam ślinę, a potem raz jeszcze. Przetarłam oczy i podeszłam bliżej. Na tle piaszczystego brzegu przeżyła się seksownie zgrabna kobieta w stroju kąpielowym, reklamując balsam. Wyglądała jak Isabelle Adjani, ale to nie była Isabelle. To była moja własna, siedemdziesięcioletnia matka!

— Mamuś, nie do wiary! — zawołałam do słuchawki. — Widzę cię na billboardzie, wyglądasz rewelacyjnie!

— Dziękuję, córuś, całe życie się człowiek uczy. Właśnie odkryłam, że prawą stronę mam bardziej fotogeniczną, a nie lewą, jak myślałam — odpowiedziała matka rzeczowo.

— Ależ wyglądasz jak gwiazda filmowa, naprawdę!

— Owszem, ale mimo wszystko profesjonalizm wymaga dbania o detale wizerunku, muszę pamiętać o tej prawej stronie, żeby dobrze się ustawiać, jak będziemy kręcić filmy...

— Jakie filmy?

— Ach, to ty, Lukrusiu, jeszcze nic nie wiesz... Lecimy na Gran Canarię, kręcić promo w odcinkach do premiery mojej książki — wyjaśniła matka.

— Kiedy? Teraz?

— Za tydzień, córeczko. Przechodzę teraz dziesięciodniowy detoks, żeby maksymalnie oczyścić się z toksyn.

— Mamuś, obawiam się, że ty już nie masz żadnych toksyn — jęknęłam. — Ale zaraz, to nie spędzisz z nami świąt? — zawołałam.

— Lukrusiu, toksyny wciąż nas atakują, więc detoks powinien być rutyną. A co do świąt, no dajżeż spokój, kto by miał czas wcinać śledzie i makowce za stołem. — Roześmiała się matka.

— Ale moglibyśmy uczcić nasze pierwsze święta razem... Ja, Konstanty, ty, Miecio — wyznałam, sama zaskoczona swoją szczerością.

— Lukrusiu, ty czasem jesteś taka niecierpliwa — powiedziała matka. — Przed nami jeszcze dziesiątki świąt! A teraz musimy zdążyć z premierą kampanii na walentynki, potem z kolejną serią na Dzień Kobiet. Uff, gorący okres. — Podekscytowała się. — Będzie się działo! Przygotuj się na koniec marca, zaczynamy cykl spotkań z publicznością i ty się wtedy zaczniesz pojawiać na konferencjach jako moja córka i moja fooderka.

— Kto taki?

— No wiesz, to jest koncepcja holistyczna — nadawała moja matka. — Będą eksperci od ciała, ducha, a ty będziesz od jedzenia.

— Jak to ekspertka od jedzenia? Na jakiej twojej konferencji? Mamo, co ty opowiadasz?

— Córuś, chcę cię wprowadzić w ten świat, żebyś dzięki mnie troszkę podbiła sobie klikalność — wyjaśniła matka. — Moja asystentka już ci zrobiła całą rozpiskę.

— Mamo, czyś ty zwariowała? Pod koniec marca to ja rodzę dziecko! Moje pierwsze dziecko! — zawołałam kompletnie oszołomiona.

Skręciłam pospiesznie w Nowy Świat, a potem w ulicę Górskiego i weszłam do cukierni. Tylko tyle mogłam dla siebie zrobić, by doraźnie osłodzić sobie reakcję szokową. Wybrałam obłędny mus kokosowy z kremem z marakui i biszkoptem oraz galaretkę malinową z owocem liczi, różą i mussem z wanilią z Madagaskaru. Po chwili wewnętrznej walki nie zjadłam ich na miejscu. Uzbroiłam się na wieczór. Wyobraziłam sobie, jak wbijamy powoli łyżeczki w słodką masę, a potem oblizujemy je sobie nawzajem. Konstany dotyka koniuszkiem języka moich warg, zlizuje resztki musu. Potem wbija język w słodkawą malinową maź, w powietrzu unosi się zapach liczi, i rozmywa owoce na moich dużych, pociemniałych sutkach... Poczułam, jak robi mi się gorąco. Chwyciłam za telefon i zadzwoniłam do Konstantego. Było zajęte. Odczekałam chwilę, zadzwoniłam drugi raz. Potem znowu odczekałam... dwie... trzy minuty... Ale wciąż było zajęte.

Po chwili zadzwieczał SMS:

Kochanie, oddzwonię po dziewiątej, mam teraz sesję, dobrego wieczoru.

Prawie byłam gotowa, by mu odpisać: *Żegnaj, kapciu, już nie będę twoją zabcią*, ale zbyt dobrze wiedziałam, że tylko desperatki odsłaniają wszystkie karty w SMS-ach. Kiedy mężczyzna się orientuje, że kobieta nic do niego nie pisze ani nie mówi, zaczyna się zastanawiać, o czym ona myśli.

Skończyłam wylizywać resztkę kokosowego musu, spojrzałam na zegarek i przyspieszyłam kroku. Kolejny wykład o świadomym życiu, który cyklicznie organizował w swoim nowym ośrodku Jeremi, zaczynał się za pół godziny. Ruszyłam na Powiśle. W sali było tłoczno, dało się odczuć delikatną woń sandałowych kadzidełek. Jeremi zrobił krótki wstęp, a po chwili na scenę wszedł nie kto inny, tylko Pamela, z którą spędzałam trzy poranki w tygodniu. Miała zwiewną pomarańczową sukienkę, która eksponowała jej piękny biust i wcięcie w talii. Wyglądała jak bogini.

— Pierwsza prawda zbalansowanego życia brzmi: *Każda osoba, którą spotykasz w życiu, jest niezbędna* — zaczęła swój wykład. — Jeśli tę prawdę przyjmiesz, zrozumiesz, że nawet te osoby, które zadały ci ból, okłamały cię, coś ci odebrały, są ci niezbędne. To są twoi najlepsi nauczyciele. Podziękuj im za to, że się pojawili, bo bez nich nie dowiedziałbyś się, jak wiele w tobie mocy, by przezwyciężać trudności, jak wiele gotowości, by iść naprzód, rozwijać się — mówiła, raz po raz odgarniając swoje piękne białe włosy. — Druga prawda brzmi: *Wszystko, co dzieje się w twoim życiu, jest tym, co ma się wydarzyć*. Nie mogło być inne. Każda sytuacja jest dla ciebie właściwa. Nawet jeśli nie rozumiesz od razu, po co się wydarza. Być może pojdziesz ją dopiero za jakiś czas, pod wpływem kolejnych spotkań czy zdarzeń. Trzecia prawda mówi: *Każda chwila, w której wszystko się rodzi, jest właściwym momentem*. Wszystko zaczyna się dla nas w odpowiednim momencie wtedy, gdy jesteśmy na coś gotowi. Nigdy za wcześnie, nigdy za późno. Dlatego nie wyczekuj nerwowo miłości i nie złość się, gdy ona nie nadchodzi. Przyjdzie, gdy będziesz gotowy ją przyjąć. Nie złość się na partnera, że nie daje ci czegoś, co pragniesz od niego dostać. Jeśli ci tego teraz nie daje, to znaczy... — Pamela zawiesiła tajemniczo głos.

Rozejrzała się po sali, przewrotnie się uśmiechając, zatrzymywała się na poszczególnych twarzach. W pewnej chwili nasze spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęła się promieniście i miałam wrażenie, że patrząc mi prosto w oczy, do mnie adresuje tę przesылkę.

— Tak, nie zawsze łatwo to zaakceptować, ale jeśli partner czegoś ci teraz nie daje, to znaczy, że to ty nie jesteś gotowy tego przyjąć — dokończyła zdanie. — Nieraz na pewno z czymś walczyłeś, wielokrotnie powtarzałeś jakieś zadanie, ale nie przychodziły żadne rezultaty. Nie przychodziły, bo nie byłeś jeszcze gotowy ich przyjąć. A oto czwarta zasada zbalansowanego

życia: *To, co się skończyło, skończyło się bezpowrotnie. Zakończenie, odejście, utrata — zawsze są właściwe. Choć nie zawsze chcemy to zaakceptować. Czasami się szamoczemy, by siłą zatrzymać coś, co chce odejść. Tymczasem kiedy coś się kończy, daje nam miejsce na nowe. Pomaga w rozwoju, a czasem nawet w głębokiej wewnętrznej przemianie. Dlatego pozwalajmy odejść temu, co chce odejść.*

Pamela zawiesiła głos i popatrzyła gdzieś w dal. Na sali panowało najwyższe skupienie. Nie było żadnych szmerów ani szeptów.

— Jeśli zatrzymujemy siłą to, co nas opuszcza, blokujemy miejsce temu, co ma nadejść. To bywa trudne. Na przykład wtedy, gdy odchodzi wielka miłość. Ale pomyśl, że nawet wtedy, gdy ta miłość odchodzi, w naszym sercu zostają dary, które nam złożyła. Zatem nawet gdy ktoś umiera, gdy życie się kończy, zostają te dobre rzeczy, którymi zostaliśmy obdarowani i które my podarowaliśmy. A więc nigdy, nigdzie nie jesteś sam. Jeśli korzystasz z tych czterech prawd, nie doświadczasz pustki ani strachu... — zawiesiła głos i znów rozejrzała się po sali. — Jesteś pełny, masz zawsze to, co jest ci potrzebne. Jesteś tam, gdzie masz być.

Wieczór błyszczał dziesiątkami świateł. Spadające białe płatki mieniły się jak odbite na tafli wody promienie słońca. Miasto ucichło.auta sunęły bezgłośnie po pokrytych śnieżnym puchem ulicach. Biała pierzynka pokrywała dachy aut, chodniki, gałęzie drzew. Mokre płatki przyklejały się do płaszcza, szala, spadały na nos, policzki. Zupełnie jak w dzieciństwie. Przypomniałam sobie zimny smak lizanych sopli zwisających z dachu. Moje stare drewniane sanki, na których zjeżdżałam z górki do spółki z moją szaloną matką, i te późniejsze, plastikowe, które dostałam w prezencie od jakiegoś adoratora matki, a na których osiągało się zawrotne prędkości. Wyobraziłam sobie tę maleńką istotkę w moim brzuchu, która jeszcze nie знаła wilgoci śniegu ani chłodu sopli, i idąc powoli przez ten bajkowy krajobraz, zaczęłam nucić jej kołysankę...

Aaa, kotki dwa,

Szarobure obydwaj,

Nic nie będą robiły,

Tylko ciebie bawiły.

— Zaraz, zaraz, córeczko — powiedziałam na głos. — Przecież my nie mamy żadnych kotków.

Minęłam jakąś staruszkę ośnieżoną jak bałwanek, która zaśmiała się na mój widok przyjaźnie. Spojrzałam na mój płaszcz, sama też wyglądałam jak bałwan. Strząsnęłam śnieg, zamachałam do niej i skręciłam w Aleje Ujazdowskie, nucąc w rytm kroków swoją własną kołysankę dla naszej maleńkiej istotki:

Aaa, pieski dwa,

Całe czarne obydwaj,

Jak się pieski rozigrały,

To córeczkę kotysały.

Aaa, pieski dwa,

Zbżikowane obydwaj,

Jeden duży, drugi mały

Oba będą cię kochały.

ROZDZIAŁ 13

Żywioty stoją zawsze po twojej stronie

Miałam przy sobie swoją Afrykę. Balsamiczny heban, spalony kamień, słodycz wanilii, chłodzące pustynny żar piżmo. Tajemnica pachnącej żywicą schadzki wśród drzew. Wszystko to czułam, wychodząc z domu otulona wonnym arcydziełem. Od kilku tygodni byłam mu wierna. A może nie była to wierność zapachowi Grenadille d’Afrique, tylko hołd składany wciąż od nowa tej romantycznej chwili, kiedy Konstanty pewnego grudniowego wieczoru wrócił z pracy i nim wydusiłam przed nim ciężące mi od wielu dni pytanie, jak spędzimy święta, on wziął mnie za rękę i powiedział tak po prostu:

— Kochanie, pakuj się, porywam cię na tydzień nad zamrznięte mazurskie jezioro, będzie kominek, koce, śnieg i las... I będę śledzie, tylko nie rękę za to, czy choć w połowie tak smaczne, jakie byłyby twoje.

Nazajutrz, z usadzonymi na tylnym siedzeniu Amarettem i psem Konstantego, pędziliśmy ośnieżonymi mazurskimi drogami, by przed zmierzchem dotrzeć do ukrytego pośród iglastych drzew hoteliku, z którego okien widać było ciemną taflę jeziora pokrytą lekką krą. O poranku odbijały się w niej nieśmiało promienie słońca. Tam właśnie trzy dni później, już po zmroku, gdy zaświeciła pierwsza gwiazdka, wpatrując się przez okno w rozgwieżdżone niebo, zasiedliśmy blisko płonącego kominka, by złożyć sobie świąteczne życzenia. Konstanty nachylił się nade mną, objął mnie czule i przez chwilę stał tak bez słowa, patrząc mi w oczy. A ja chciałam, żeby to trwało całą wieczność. W pewnej chwili odwrócił się, sięgnął ręką pod stół i wyjął srebrne pudełko. Wręczył mi je, całując mnie w usta. Kiedy rozpakowałam papier, oniemiałam. To był wymarzony Grenadille d’Afrique, do którego przyczajałam się już od jesieni.

— Jesteś, jesteś... No, sam wiesz! — krzyknęłam, rumieniąc się z emocji.

— A ty jesteś dla mnie słońcem, Mikołaj o tym wiedział, może dlatego przyniósł ci Afrykę. — Zaśmiał się.

Potem ja wręczyłam Konstantemu małe, opakowane w świecący papier pudełko, w którym były srebrne spinki do mankietów w kształcie listków lukrecji. Patrząc na nie, Konstanty wybuchnął śmiechem i powiedział, że będzie miał teraz lukrecje na dwie ręce. Były śledzie, był bigos, pierogi... Makowiec, sernik, suszone owoce w kompocie. Wszystkie te rzeczy, które chciałam mieć u nas na święta. Czekwały na nas przy stole w tamtym przytulnym hoteliku. Przedpołudniami chodziliśmy na długie spacery, psy hasały, znikając czasem na chwilę w leśnych zaspach, wieczorami czytaliśmy sobie na głos książki. Ja jemu *Zdrowie bez granic* Deepaka Chopry, a on mi *Solaris* Lema.

Któregoś popołudnia podczas spaceru, gdy opatuleni po uszy wpatrywaliśmy się w lśniący od słońca śnieg, w milczeniu podziwiając urodę chwili, pomyślałam o Pameli i jej trzeciej prawdzie na temat zbalansowanego życia. O tym, że każdy moment, w którym wszystko się rodzi, jest właściwym momentem. Że wszystko przychodzi do nas w najbardziej odpowiedniej chwili, dokładnie wtedy, kiedy jesteśmy gotowi to przyjąć. Zdałam sobie sprawę, że wreszcie się doczekałam. Że nadszedł odpowiedni czas. Założmy nawet, że to ja stałam się gotowa. Cokolwiek to spowodowało, byłam temu wdzięczna.

Po tym tygodniu wróciłam napełniona. Pachniałam Afryką i często się śmiałam. Przestałam wreszcie analizować, czy Konstanty dzisiaj wrócił jeszcze później niż wczoraj, czy odwrotnie. Zarzuciłam chwilowo rozważania, kto się do kogo sprowadzi i czy w ogóle. Po prostu

robiłam to, co lubię najbardziej, i czekałam... Tak bardzo czekałam na naszą córeczkę. Rankiem rytualnie wypuszczałam się z Amarettiem na długie spacerunki. Miałam nawet wrażenie, że aura zazwyczaj nam kibicuje. Potem był czas na moje jogiczne ćwiczenia — co drugi dzień u Pameli, w pozostałe dni samodzielnie, trochę krócej, w domu. Oprócz prowadzenia bloga i regularnych warsztatów ze zdrowego żywienia raz w tygodniu zagłębiałam się w tajniki ajurwedy z coraz to nowszymi ekspertami, których Jeremi ściągał do swojego ośrodka odnowy. Pochłonięta tym wszystkim nawet nie zauważyłam, kiedy weszłam w ósmy miesiąc mojej ciąży. Jedyne, co mi o tym przypominało, to rosnący brzuch i coraz większy trud w doborze codziennej garderoby.

Marchewka i pełnia

Nic na tym świecie nie porywa nas bardziej od miłości i nic nie ma intensywniejszego od niej smaku... Ale to jeszcze nie powód, żeby miłość odbierała nam inne przyjemności. Wybaczmy sobie pierwsze tygodnie dzikiego stanu zakochania, ale zaraz potem oddajmy hołd zaniedbanym przyjemnościom dnia codziennego. Jeśli gnani miłością zakłócimy całkiem rytm swojego życia, odczyjemy się nim cieszyć. Wpadniemy w pustkę... A potem, gdy miłość ciut przestygnie, żeby tę pustkę w sobie wypełnić, zaczniemy coraz więcej oczekiwać od partnera.

Jeśli więc kochałaś ciasto z marchewki, zanim się zakochałaś, mimo nowego afektu — nie porzucaj marchewkowych smaków.

Przygotuj:

- 300 g marchewki
- 3 łyżki siemienia lnianego, zmielonego
- 1 niepełną szklankę ciepłej wody
- 300 g mąki
- 1/2 łyżeczki sody
- 1 i 1/2 łyżeczki cynamonu
- 1 łyżeczkę imbiru
- 1/2 łyżeczki mielonej gałki muszkatołowej
- 1 łyżeczkę soli
- 225 ml oleju
- 250 g cukru

Na krem:

- 100 g namoczonych przez noc nerkowców
- 1/2 szklanki mleka migdałowego
- 2 łyżki syropu z agawy
- 2 łyżki soku z cytryny

Do dzieła!

Obraną marchew zetrzyj na grubych oczkach tarki. Siemię lniane zalej ciepłą wodą i odstaw na kilka minut.

W dużej misce wymieszaj mąkę, sodę i przyprawy, a w mniejszej utrzyj olej, cukier i spęczniałe siemię, następnie połącz suche składniki z mokrymi i wymieszaj. Wylej ciasto do tortownicy (o średnicy 25 cm) wyłożonej papierem do pieczenia i piecz w piekarniku rozgrzanym do 180 stopni przez ok. 45 minut.

W międzyczasie zajmij się kremem z nerkowców. Mleko z migdałów, nerkowce, syrop z agawy i sok z cytryny przelóż do blendera i zmiksuj na gładki krem.

Po wystudzeniu ciasta posmaruj je grubo kremem, posyp cynamonem... i delektuj się smakiem.

— Kochanie, musimy wreszcie podjąć decyzję — powiedziałam do Konstantego, serwując mu ciasto z marchewki po wieczornej kolacji.

— Jaką znowu decyzję? — zapytał niespokojnie Konstanty.

Usiadł i zrobił jedną z tych swoich min, które przybierają mężczyźni w takich chwilach jak ta, kiedy wiedzą, że jest zbyt późno, by przed rozmową ocaliło ich alibi w stylu: mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia na mieście, może pogadamy jutro. Postanowiłam się tym nie zrażać. Ani nawet tym, że dobrze wiedziałam, że mężczyźni nie reagują na słowa, tylko na nieoczekiwany brak kontaktu. W tym wypadku jednak, bądź co bądź, chodziło o słowa...

— Musimy wreszcie wybrać imię dla naszej córki — powiedziałam, rozsiadając się w fotelu.

— Uff... — westchnął Konstanty.

— Jak mam to rozumieć?

— A nie, nie... Bez presji z tym rozumieniem wszystkiego. — Zaśmiał się.

— No więc, co nowego proponujesz?

— Kochanie, bez zmian, proponuję Stanisławę — powiedział krótko, rozpierając się na kanapie.

— O, nie! Przecież Staśkę odrzuciłam już przy pierwszym podejściu, dwa miesiące temu, daj spokój. — Oburzyłam się.

— Kochanie, a ty, co tym razem proponujesz? — odbił piłeczkę.

— Orianę i Florę — powiedział.

— Co takiego? Jaką znowu Orianę? Co to za imię?

— Normalne, włoskie! Pochodzi od złota.

— Absolutnie odpada. Po pierwsze, mieszkamy w Warszawie, po drugie, trudno się je wymawia i nie ma jak zdrobnić.

— A Orianka to co?

— Nie, nie, nie i jeszcze raz nie.

— W takim razie Flora — powiedziałam stanowczo.

— Zwariowałaś? A to co znowu?

— Jak najbardziej krajowe imię.

— Fatalne, kojarzy się z jakimś zielskiem, zupełnie nieludzkie.

— Nie z jakimś zielskiem, ale z pięknem otaczającej nas natury! — Oburzyłam się.

— Nie! Absolutnie. Nie jest w ogóle dostojne.

— Sam nie jesteś dostojny!

— Tylko bez obelg, proszę.

Konstanty próbował rozładować napięcie, ale wszystko wskazywało na to, że kolejne podejście do wyboru imienia, o ile nie skończy się sprzeczką jak ostatnio, donikąd nas nie zaprowadzi.

— Flora... Florentyna... Posłuchaj, jak to pięknie brzmi — spróbowałam ponownie.

— Florcia porcia urwipołcia, a kysz!

— No to Kornelia...

— Proszę?

— Ma wszystkie pożądane przez ciebie atrybuty, mój drogi.

— Oj, nie!

— Dlaczego nie?

— Zupełnie mi nie brzmi. Kojarzy się z karmelem.

— Kochanie, z jakim karmelem? Czy ty zbzikowałaś?

— Lukrusiu, nie, po prostu nie i basta. — Zniecierpliwił się Konstanty. — Chcę imię solidne i stylowe.

— A ja chcę znaczące i piękne — odparłam.

— Masz niepraktyczne podejście. Weźmy tę Stanisławę, mówię ci.

— Praktyczne podejście, mój drogi, wygląda tak, że skoro ty dajesz dziecku nazwisko, to ja imię, uważam, że to sprawiedliwe — powiedziałam wreszcie zniecierpliwiona. — Na tym polega partnerstwo w związku.

— Nie no, kobiety są straszne, o czymkolwiek zaczną mówić, zawsze dojdą do kwestii emancypacji — powiedział ironicznie Konstanty.

— Jeśli mężczyzna mówi, że kobiety są straszne albo że się wobec niego źle zachowały, jest tak zazwyczaj dlatego, że dobrze wiem, dlaczego musimy wobec niego tak postąpić, mój drogi! — krzyknęłam i wyszłam z pokoju.

Włożyłam buty, płaszcz, czapkę, zawinęłam wokół szyi szalik i zabrałam Amaretta na spacer, żeby złapać trochę oddechu. Wieczór był rześki, ale przyjemny. Ziemia była jeszcze bardzo wilgotna, ale czuło się już w nozdrzach nadchodzącą niebawem wiosnę. Zerkając na zegarek, uświadomiłam sobie, że jutro mamy wizytę u lekarza. Czułam, że ona rozstrzygnie, czy moje trudy i heroiczna wiara w wizję naturalnego porodu nie okażą się mrzonką. Zastanawiałam się, jak zareaguję, jeśli usłyszę niepomyślną diagnozę. Na samą myśl, że Konstanty puści wtedy jeden ze swoich żarcików o nieskuteczności czarnej magii, przeszedł mnie dreszcz. Szłam coraz wolniej, przypatrując się drzewom, które są podobno wyposażone w korzenny system wsparcia — mocniejsze wspierają swoimi sokami te słabsze. Położyłam rękę na brzuchu i zaczęłam go gładzić. Czułam, że sama jestem podłączona niewidzialnymi korzeniami do moich przodków, że stoją za mną w dwóch długich rządach i zrobią wszystko, co w mojej mocy, żeby poród był dla

mnie pomyślny. Zastanawiałam się, czy aby na pewno powinnam tam jutro pójść z Konstantym. Zdałam się na I-Ching. Wypadł heksagram 19: Przybliżenie. *Ziemia na górze. Jezioro na dole. Otwierają się przed tobą nowe możliwości. To dobry czas na rozpoczęcie nowego etapu w życiu i budowanie trwałych podstaw lepszej przyszłości...*

Czy mogło mnie spotkać coś lepszego? Spojrzałam na rozbawionego Amaretta i rzuciłam mu kij. Pobiegł jak szalony. Schylając się, poczułam lekkie strzyknięcie w krzyżu. Oho, pomyślałam. Zaczyna się okres niedołęstwa na ostatniej prostej. Uśmiechnęłam się sama do siebie, głaszcząc się po brzuchu. Oczywiście, że musimy tam pójść razem, pomyślałam. Pamiętałam o odwiecznej zasadzie Aurelii: *Im bardziej będziesz rzeczowa i opanowana, tym bardziej on stanie się uczuciowy.*

Poranek stanął na wysokości zadania. Słoneczny blask wlewał się przez okno tak natarczywie, jakby chciał obwieścić światu, że wiosna jest już gotowa do startu, choć wie, że to jeszcze nie jej pora. Zrobiłam dla nas sok z marchwi oraz omlet z awokado.

— Wyborny, kochanie! — zawołał Konstanty.

— Sok czy omlet? — zapytałam, patrząc mu w oczy.

— Oba, a ty najbardziej — powiedział, całując mnie w czoło. — Mam tylko nadzieję, że dziś nie storpedujesz lekarza, na wypadek gdyby się okazało, że cuda nie działają? — zapytał delikatnie Konstanty.

— Nie będę musiała — odpowiedziałam, rzucając mu jeden ze swoich najbardziej bezwzględnych uśmiezków. — Mam dziś nad swoim kosmogramem tranzyt Jowisza.

— Co to znaczy, jeśli wolno spytać?

— Pomyślność, kochanie, absolutną pomyślność! — zawołałam, próbując dopiąć ciasną sukienkę.

Konstanty podszedł do mnie, dosunął mi suwak, a potem położył ręce na moim brzuchu. Nasza maleńka bezimienna córeczka najwyraźniej poczuła dłonie tatusia na swoim terytorium, bo zaczęła z radości leciutko się wiercić.

— Coś mi się wydaje, że ona wyprzedzi tegoroczną wiosnę — powiedziałam, śmiejąc się.

— Oby nie. — Zasępił się Konstanty.

— A w czym ci to przeszkadza? — zapytałam.

— Mnie w niczym, ale... — zawiesił się. — Jak donosi twoja mądra książka o duchowym położnictwie, dziecko, które przyjdzie trochę wcześniej na świat, ryzykuje problemami z napięciem.

— Kochanie, czytasz książki o duchowym położnictwie, żeby mnie wspierać podczas porodu? — zapytałam zaskoczona. — Jestem pod wrażeniem.

— Lukrusiu, czytam z ciekawości. Wspierać cię będę zza drzwi i to raptem kwadrans, bo podobno tyle trwa cała operacja — odpowiedział Konstanty.

Nie musiałam o nic pytać. Wiedziałam na pewno, że on kompletnie nie wierzył w to, że urodzę naturalnie. Tylko dlatego, że pokładał przesadną ufność w medycynie i słowach lekarzy? Czy może dlatego, że był facetem i kompletnie nie mógł sobie wyobrazić, jaka moc tkwi w kobiecie ciężarnej? A co, jeśli to ja śniłam i szukając podtrzymania swoich iluzji, oddawałam się całymi tygodniami praktykom, które co najwyżej pomogą potem mojemu brzuchowi szybciej dojść do siebie po operacji?

— Lukrusiu, tylko zobacz! — zawołał podekscytowany Konstanty, gdy zatrzymaliśmy się na światłach przy dawnej Rotundzie.

— Niesamowita! — powiedziałam, patrząc na telebim reklamowy, na którym moja matka

prezentowała się w kostiumie kąpielowym na kanaryjskiej plaży ze swoją książką o neomłodości w ręku.

— Ale masz geny! — Westchnął.

— Oby nasza córka nie wdała się nadmiernie w babcie — powiedziałam.

— Oby się wdała, to nam zapewni udaną i bezpieczną starość. — Zaśmiał się Konstanty.

— Myślisz, że wytrzymamy ze sobą do starości? — zapytałam nagle.

— Ty ze mną na pewno, a czy ja z tobą, to zależy od ekspresji twoich genów — zażartował Konstanty.

— Co masz na myśli? — zapytałam podejrzliwie. — Nie jesteś pewien, czy okaże się tak doskonała jak moja matka?

— Doskonała? Eee... Mężczyźni nie chcą przeżywać życia z kobietami doskonałymi.

— A z jakimi?

— Z takimi, które ich fascynują.

W gabinecie czekał na nas ten sam sceptyczny lekarz z łysiną. Położyłam się na łóżku do badania USG i czując, że jednak zaczynam się denerwować, zaczęłam robić głębokie wdechy i wydechy.

— Spokojnie, proszę się odprężyć, to już ostatnie badanie, a za trzy tygodnie szybkie cięcie i mamy panienkę na świecie — powiedział.

— Właśnie się odprężam — szepnęłam.

Zamknęłam oczy i w myślach powtarzałam na wrywkę jak mantrę słowa przepowiedni: Otwierają się przed tobą nowe możliwości... Nowe możliwości... Nowe możliwości... To czas otwarcia... Czas otwarcia... To nowy etap... Etap budowania... Etap możliwości... Trwałe podstawy... Możliwości... Twoje możliwości...

— A niech mnie szlag, nie do wiary! — wrzasnął lekarz.

— Co się stało? — zawołał przestraszony Konstanty.

— Czy coś... — jęknęłam, otwierając z przerażeniem oczy.

— Gdybym nie widział, tobym nie uwierzył — powiedział lekarz. — Pani dziecko się odwróciło.

— To nie ono... To ja je odwróciłam, panie doktorze... Razem to zrobiliśmy — szepnęłam ze łzami w oczach.

— Lukrusiu! — zawołał blady Konstanty, łapiąc mnie za rękę. — Jesteś... jesteś... jesteś... najbardziej... — urwał, całując mnie po rękach.

— No, muszę przyznać, że pani odmieniła nam tu poważnie statystyki — powiedział lekarz. — Gratuluję panu charakternej żony — zwrócił się do Konstantego.

— Oby tylko teraz z tej wprawy nie zaczęła przekręcać do góry nogami mnie. — Zaśmiał się Konstanty.

Kolejne dni, jak sądziłam, miały być po prostu chwilami błęgiego wytchnienia i przygotowujących do porodu ćwiczeń z Pamelą. Tymczasem już nazajutrz po triumfalnym opuszczeniu przychodni z informacją o tym, że marzenia na naturalny poród naprawdę są o krok od realizacji, Konstanty powiedział do mnie o poranku:

— Droga Lukrusiu, nadszedł właściwy dzień i właściwa chwila... — zawiesił głos.

— Na co? — zapytałam kompletnie zaskoczona jego uroczystym tonem.

— Abyś włożyła płaszcz, wsiadła ze mną do auta i pojechała w pewne miejsce —

wyjaśnił.

— Kiedy? Teraz?

— Właśnie tak — powiedział stanowczo Konstanty.

— Minę masz taką, że chyba wsiądę. — Zaśmiałam się. — Ale pod warunkiem, że nie jedziemy do jakiejś Lizbony czy na inny kres świata, bo mam dziś parę spraw do załatwienia.

W samochodzie Konstanty nie spuszczał z tonu. Włączył ciut kiczowaty przebój Wodeckiego w duecie z Sośnicką i zaczął nucić:

Z Tobą chcę oglądać świat,

Jaki piękny księżyc, patrz.

Widzisz to, to co ja,

Jakie to jest proste,

Wystarczy być.

Jaki świt, jaki blask,

Jaki śpiew, jaki ptak,

Wszystko to, to wszystko w nas,

Gdy ty i ja, cały świat jest dla nas.

Po pięciu minutach wysiedliśmy przed kamienicą na ulicy Willowej na Mokotowie. Konstanty zaparkował samochód, po czym wziął mnie za rękę i podszedł do drzwi wejściowych osadzonych w pięknej odnowionej fasadzie. Wstukał szyfr, co nie uszło mojej uwadze, i weszliśmy na górę po odrestaurowanych schodach. Konstanty, ku mojemu zdumieniu, wsunął klucz do zamka i zaprosił mnie do przestronnego wnętrza.

— *Voilà!* — zawołał podniecony. — Witam w naszym domu, droga Lukrusiu.

— Co takiego? — szepnęłam oniemiała.

— Tu właśnie będziemy mieszkać — powiedział Konstanty. — Na szczęście wyrobiłem się z remontem — dodał z wyrazem ulgi na twarzy.

— Madonno! Jak tu pięknie! — jęknęłam, czując, że łzy napływają mi do oczu.

Przeszłam przez wielki salon z otwartą kuchnią, gdzie były dwa supernowoczesne piekarniki, ogromny blat, o jakim nawet nie ośmieliłabym się zamarzyć, wspaniałe duży zlewozmywak i gigantyczna lodówka — wszystko w subtelnej bieli z delikatnymi wstawkami

zieleni. W salonie była przeszklona ściana prowadząca na duży balkon. Już sobie wyobraziłam wzdłuż tych wszystkich drzwi moją kwiatową oranżerię. Dalej była sypialnia z wielkim łóżem, a obok mały pusty pokój z łóżeczkiem dziecięcym na środku. Duża łazienka z obszerną wanną i osobną kabiną prysznicową, ze ścianami w kolorze pięknej zieleni. W odcieniu dokładnie takim, jaki kochałam najbardziej, lekko zbliżającym się do błękitu. Nie mogłam w to uwierzyć. Całe to wnętrze było absolutnym odzwierciedleniem moich pragnień, których Konstany nie miał nawet szansy znać.

— Konstany, nie mogę w to uwierzyć! — pisnęłam. — Jeśli to sen, to mnie nie budź.

— Chwilami był to nawet koszmar, nie powiem, burzenie ścian i cała ta konspiracja z wieczornymi sesjami, ale teraz... — zawiesił głos. — To już jest rzeczywistość. Nasza rzeczywistość, kochanie.

— Ale jak zdołałeś sam to urządzić? Chyba nawet Wera nie zrobiłaby tego tak perfekcyjnie, a ona jest największą perfekcjonistką świata.

— Hm... A jednak. — Zaśmiał się Konstany i kliknął coś na telefonie.

— Jesteś najbardziej totalnym mężczyzną na świecie — powiedziałam, ściskając go za szyję.

W tym momencie ktoś zapukał delikatnie do drzwi i chwycił za klamkę. W progu stała Wera z bukietem czerwonych tulipanów, uśmiechnięta od ucha do ucha.

— O wilku mowa — powiedział Konstany.

— Czy to znaczy? — zapytałam, zerkając to na Werę, to na Konstatego.

— To niestety znaczy, że nie jestem aż taki totalny, jak myślisz, nie czytam w twoich myślach, nie znam twoich snów. O tym, jak to wszystko ma wyglądać, decydował dyrektor brygady remontowej, *lady* Wera — zawołał Konstany. — Brawa dla niej!

— Juuhuu! — wykrzyknęłam, klaszcząc w dłonie.

— Nie wiem, co powiedzieć! Jesteście niesamowici. Weruś, wszystko tu jest NAJ! Najbardziej, najlepiej... — powiedziałam, rozglądając się po domu.

— Za tak doskonałą realizację odpowiedzialny jest menadżer projektu, zabujany do cna w swojej dziewczynie — powiedziała Wera, wskazując na Konstatego.

Nie zmrużyłam tej nocy oczu z emocji. Granica między jawą a snem zaczęła mi się zacierać. Za trzy tygodnie miałam rodzić, tymczasem to, co wydawało się największym moim strachem, udawką, która miała mnie czekać po narodzinach dziecka, samo się rozwiązało. Zamiast medytować, musiałam teraz nadzorować przeprowadzkę. A w dodatku na dziesięć dni przed porodem miałam jeszcze wygłosić wykład o bioindywidualnym podejściu do ciąży. Moja twarz znalazła się na okładce marcowego wydania czasopisma o świadomym macierzyństwie. Najdziwniejsze na całej tej karuzeli zdarzeń było to, że miałam czterdzieści lat, ogromny brzuch, a wciąż czułam się świetnie.

— Wszystko zaczyna się od autentyczności. Od tego, czy jesteś w stanie spotkać się sama ze sobą, to znaczy spojrzeć na siebie w lustrze i przyznać, że ufasz sobie takiej, jaka jesteś — zaczęłam mój wykład. — Czy jesteś w stanie powiedzieć sobie: szanuję siebie z tym wszystkim, co ze sobą niosę, z tym czy tamtym rozstępem, z tym niedokończonym zadaniem, z drugim nadprogramowym ciastkiem z marakują, które zjadłam, bo nie umiałam sobie odmówić. Czy potrafisz całą taką siebie przyjąć? Czy możesz spojrzeć na swoje błędy i głupstwa jak na część swojej siły, którą zyskałaś i którą masz w sobie? — zawiesiłam głos.

Rozejrzałam się po rzędach, biorąc łyk wody. Sala była wypełniona po brzegi.

— Czy potrafisz powiedzieć sobie: wszystko, co mnie spotyka, jest dla mnie dobre? Czy potrafisz stanąć i powiedzieć sobie: OK, już tego nie poprawiam, wypuszczam to takie, jakie jest? Czy potrafisz trzymać się siebie i iść za swoim głosem, nawet jeśli ci, których kochasz, mówią, że może nie warto? Czy potrafisz wyłączyć własny umysł, kiedy on krzyczy: daj spokój, to nonsens, nie dasz rady? Czy potrafisz stanąć przy swoim sercu, posłuchać, co ono do ciebie krzyczy? Jeśli umiesz to wszystko, to możesz więcej niż ja; jeśli umiesz tylko część, to nadal możesz więcej niż ja; jeśli zdołasz tylko przyjąć, że mnie się udało to, co niemożliwe, to wiedz, że ty możesz dokonać tego samego — zakończyłam.

Salę wypełniła burza oklasków, a ja poczułam, jak po nogach płyną mi wody płodowe. Widziałam w pierwszym rzędzie Konstantego, Werę z Piotrem i Franiem, Claudynkę z Jeremim, nawet moją rozpromienioną matkę z Mieciem, ale oni, przejęci wiwatowaniem na moją cześć, nie dostrzegli, że oto właśnie zostawiam za sobą stróżkę wody na podłodze. Nie miałam siły przeciskać się przez tłum. Robiło mi się słabo. Chwyciłam więc ponownie za mikrofon.

— A czy potrafisz teraz, na ochotnika, zawieźć mnie na porodówkę? Bo wygląda na to, że moja córka przyspieszyła w podróży na ten świat! — zawołałam spanikowana.

Konstanty wbiegł na scenę, objął mnie i sprowadził ze schodów, tłum rozstąpił się momentalnie, robiąc drogę do wyjścia. Na zewnątrz zerwała się burza, lał straszny deszcz, hulał wiatr. Przerazona siedziałam na fotelu obok Konstantego, który pędził jak szalony. Potem wszystko zlało się w jeden ciąg. Sunęłam przez korytarze, mijałam białe fartuchy, białe ściany. Aż w końcu przykucnęłam, patrząc w okno. Wiatr ustał, deszcz także, burza się skończyła. Niebo się rozsunęło słońce, wyjrzało na świat. W tej właśnie chwili zza powłok bolesnych skurczów usłyszałam echo własnych oddechów... *Uno... due... tre... Uno... due... tre...* A zaraz potem, w świetlistym słońcu, rozległo się kwilenie niemowlęcia.

— Gloria na wysokości! — szepnął Konstanty.

Gloria... — powtórzyłam w myślach, ale nie miałam siły wydobyć z siebie głosu.

Patrzyłam na tę istotkę, która leżała w mazi i krwi na moim sercu, taka maciupenka, a już zdołała uruchomić na powitanie wszystkie żywioły. Ogień, ziemię, powietrze i wodę, a na finał poruszyła też słońce, które wyszło dla niej, by ogrzać ziemię. Patrzyłam na nią, czułam ciałem jej ciało, sercem serce i patrzyłam na Konstantego, który przyglądał się nam. To ten moment, w którym jest absolutnie wszystko.

